



PAYBACK'S

A

WITCH

LANA HARPER



see YA

LANA HARPER

PAYBACK'S A WITCH



Przełożyła
Natalia Mętrak-Ruda

seeYA

Spis treści

- [1. Wiedźma marnotrawna](#)
 - [2. Katastrofa w Koniczynowym Kotle](#)
 - [3. Seksowna wilczyca syberyjska](#)
 - [4. Objawienia i oponki](#)
 - [5. Pakt mściwych wiedźm](#)
 - [6. Oryginał grymuaru](#)
 - [7. Efekt pierścienia](#)
 - [8. Bo wyjechałaś](#)
 - [9. Kolor grzesznych myśli](#)
 - [10. Na mój znak!](#)
 - [11. Bawię się jak półbogini](#)
 - [12. Puszcza Czarownic](#)
 - [13. Nie, nie, duchy mieszkają w drzewach](#)
 - [14. O sadach, dzbanach i najlepszych przyjaciółkach](#)
 - [15. Świeca](#)
 - [16. Zagubiona czarownica w wielkim mieście](#)
 - [17. Płatki w bursztynie](#)
 - [18. Co mówi się w zaufaniu](#)
 - [19. Anomalie, artefakty](#)
 - [20. To jest prawdziwa awaria apple'a](#)
 - [21. To jest twoje miejsce](#)
 - [22. Moje potworne dziecko](#)
 - [23. Jak ocean pełen gwiazd, jak obce niebo](#)
 - [24. Tylko to potrafisz](#)
 - [25. Gdy nawet magia nie pomaga](#)
 - [26. Sprytne sztuczki i zaklęcia](#)
 - [27. Anatema](#)
 - [28. Muszą się wycofać](#)
 - [29. Słowo i sen, serce i oko](#)
 - [30. Zwycięstwo należy do...](#)
 - [31. Więcej niż dość](#)
- [Podziękowania](#)

Przypisy.

Tytuł oryginału: *Payback's a Witch*

Copyright © 2021 by Lana Harper

Copyright © for the Polish translation by Natalia Mętrak-Ruda, Warszawa 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023

All rights reserved

Redakcja: Agnieszka Zygmunt

Projekt okładki: Alison Cnockaert

Adaptacja okładki: Natalia Twardy

Korekta: Kamila Reclaw

Redaktorka inicjująca: Laura Kusiak

Wydanie I

ISBN 978-83-8252-541-0

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Dla mojej matki, która zaopiekowała się moim dzieckiem, żebym ja mogła gonić za marzeniem

1



Wiedźma marnotrawna

Ledwie przekroczyłam granice miasta, poczułam na skórze Thistle Grove.

Nieważne, że jechałam swoją starą, gównianą toyotą; być może nawet po pięciu latach mojej nieobecności miasto umiało wyczuć, że do domu wraca jedna z jego córek. Do samochodu sfrunęła fala czystej magii, aż powietrze wokół mnie niemal rozbłysło możliwościami; było jasne, żywe, uderzało do głowy mocniej niż szampan. Jakby samo magiczne serce Thistle Grove pulsowało ku mnie, witało mnie z powrotem. Najwyraźniej nie gniewało się, że nie było mnie tak długo.

Przynajmniej ono.

Kaskada magii spływająca w odpowiedzi na mój jej brak była tak odurzająca, że pochyliłam się nad kierownicą, oddychając płytko i zastanawiając się nieco nerwowo, czy po tak długiej przerwie da się przedawkować magię. Siedzący na fotelu pasażera Jasper spojrzał na mnie z troską spod srebrnej grzywy i położył na moim kolanie niezdarną łapę.

– Wszystko w porządku, chłopcze – wymamrotałam przez ściśnięte gardło, sięgając ku jego ciepłej szyi. – Po prostu... dużo się dzieje, wiesz?

Tak to już jest, gdy dorasta się w otoczeniu magii: póki nie porzucisz jej na dobre, nie wiesz, jak niesamowita jest jej obecność.

Nie tylko powietrze wydawało się inne. Przez porysowaną szybę patrzyłam na nocne niebo, które stało się nagle ultrawyraźne, jakbym patrzyła na nie przez skalibrowany teleskop. Nad Hallows Hill, wyjątkowym wzgórzem, do którego przytulone jest miasto, księżyc unosił się niczym świeżo naostrzony sierp. „Sierp ubywający” – wyszeptał mój mózg wiedźmy, obmyślający już zaklęcia, które najlepiej rzucić w tej fazie. Jego zarys wyglądał, jakby mógł ściąć trawę, precyzyjny i doskonały – taki księżyc,

jaki można zobaczyć w snach. Konstelacje otaczające go niczym iskrzące się krople mleka były ułożone tak samo, jak poza miastem, ale jednocześnie jakby lepiej, bardziej umyślnie; wyraźne i świetliste niczym mozaika z drogich kamieni. Były tak nęcące, że miałam ochotę zatrzymać samochód i wysiąść, odchylić głowę i usta, i tylko przyglądać się ich blaskowi.

To pieprzone miasto. Zawsze takie cholernie wyjątkowe.

Z trudem oparłam się pokusie. Ale kiedy po mojej lewej stronie pojawiły się sady przynależące do Thornów, poddałam się na tyle, by otworzyć okno.

Nocne powietrze uderzyło mnie w twarz, pachniało jak pełnia jesieni; palone drewno i więdnące liście, i jeszcze delikatny podmuch przyszłego śniegu. A dalej zapach magii Thistle Grove, którego nie spotkałam dotąd nigdzie indziej. Ostry i ziemisty, jakby duch kadzidła palonego przez wiedźmy w ciągu trzystu lat nigdy nie uleciał. Wieczna woń Halloween, która wprawia cię w jednocześnie przerażające i przyjemne drżenie.

I, oczywiście, jabłka, które spadły z drzew. Całe rzędy rosnących u Thornów odmian gala, honeycrisp, pink lady, słodkich, cydrowych, niewytłumaczalnie przywodzących na myśl dom.

Wszystko to sprawiało, że ta część mnie, która kiedyś kochała to miejsce – Emmy, nie pierdol, ta część kocha to miejsce nadal i nigdy nie przestanie – poczuła ukłucie jak przy pierwszym zakochaniu. Do moich oczu napłynęły ciepłe łzy, które wytarłam dłonią gwałtowniej, niż trzeba, wściekła, że już poddałam się nostalgii.

Czując, że humor mi się pogarsza, Jasper prychnął smutno i trącił mnie swoim wąsatym pyskiem.

– Wiem, wiem – jęknęłam, pocierając twarz dłonią. – Obiecałam, że nie ulegnę emocjom. Jestem po prostu zmęczona. Od tej pory zajmujemy się tylko interesami, a potem uciekamy.

Znów fuknął, jakby znał mnie zbyt dobrze, by uwierzyć w te stoickie bzdury. Być może przyjechałam tylko dlatego, że „tradycja wymaga obecności potomkini Harlowów”, ale w Thistle Grove nic nie jest takie proste. Zwłaszcza kiedy mowa o dziedzicze jednego z założycielskich rodów.

Dziesięć minut później zaparkowałam na wybrukowanym podjeździe na obstawionym dębami osiedlu moich rodziców. Na widok rodzinnego domu poczułam się tak, jakby pięść zacisnęła mi się mocno wokół serca. To całkiem ładny dom, choć nie tak okazały jak niektóre posiadłości założycielskich rodzin. Blackmoore’owie mieli swój okazały Tintagel, Thornowie – Honeycake Orchards, zaś Avramovowie – pełną zakamarków, wiktoriańską

rezydencję, którą kazali nazywać The Bitters, bo bardzo lubili melodramatyczne nazwy rodem ze starego świata.

A my, Harlowowie, mamy... no cóż, dom.

Okazałe domostwo w stylu kolonialnym, niemal równie stare, co samo miasto – chociaż trudno byłoby się tego domyślić, patrząc na jego odporną na pogodę fasadę – Harlow House nie miał nigdy żadnej specjalnej nazwy, co tylko podtrzymywało reputację rodziny Harlowów jako jednocześnie najmniej pretensjonalnego i najmniej istotnego z założycielskich rodów. Jak zawsze w każdym oknie paliła się świeca; trzynaście płomieni miało chronić dom i przynosić mu bogactwo. Wiatrowskaz w kształcie latającej sowy kręcił się leniwie, a dzwonki łapacza snów, zawieszane przy drzwiach wejściowych, uderzały o siebie z delikatnym brzękiem. Z ceglanego komina wznosił się zwinięty wiecheć dymu, który zaraz znikał w aksamitnej ciemności.

Wyglądał jak idealny dom należący do najrozsądniejszej z wiedźm – a tak w zasadzie można by określić oboje moich rodziców.

Wyglądał też tak, jak go zapamiętałam, tyle tylko, że na samą myśl o wejściu do środka czułam, że się duszę. Mój dawny dom otaczała niewidzialna fosa smutku, całe lata pełne pytań bez odpowiedzi. Niespokojne wody pełne emocjonalnych odpowiedników piranii i parzących meduz.

Niewiele mogłam z tym bólem zrobić, a wyjaśnienie: „Bo przez Garetha Blackwooda nienawidzę tego miasta” było kiepską próbą odpowiedzi na najważniejsze pytanie: „Emmy, dlaczego nie wracałaś do domu przez tak długi czas?”.

Zgasiałam więc silnik i siedziałam z opuszczoną głową, wsłuchując się w jego gasnące tykanie i ciche jęczenie Jaspera, próbując skupić się na oddechu. Kiedy uspokoiliam się na tyle, na ile było to w tym momencie możliwe, wysiadłam z samochodu na zeszywniałych po podróży nogach i wypuściłam Jasa, żeby ochrzcił cichą uliczkę, po czym wyciągnęłam z bagażnika moją zniszczoną walizkę i gigantyczną sportową torbę. Zanim pies wrócił, zdążyłam już wyłożyć wszystko na otoczony kolumnami ganek, i to z godną podziwu wstrzemięźliwością, jeśli chodzi o liczbę wypowiedzianych przy tym przekleństw.

Wciąż miałam klucz, ale samodzielne otworzenie sobie drzwi po pięciu latach nieobecności wydało mi się okrutnie niegrzeczne i aroganckie, więc zapukałam. Kiedy drzwi się otworzyły, udało mi się tylko lekko wzdrygnąć. Zmrużyłam oczy, gdy ze środka wydostało się ciepłe światło.

– Kochanie – powiedziała po prostu moja matka, która wyszła mnie powitać. Jej głos był opanowany jak zawsze, jak to wśród brytyjskiej klasy wyższej, ale w jej zielonych oczach – w moich oczach – dostrzegłam podejrzany blask. Były w nich te same stłumione emocje, które przepełniały i mnie.

– Mamo – wyszeptałam przez ściśnięte gardło.

Nie to, żebyśmy się nie widziały przez tych pięć lat, bo jednak żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Nawet taka magiczna przystań jak Thistle Grove ma niezły zasięg i wi-fi – jeśli nie liczyć zakłóceń wywołanych od czasu do czasu przez magiczne napady złości. Jednak patrzenie na nią na ekranie to co innego. Kiedy pochyliłam się, żeby ją objąć, i poczułam znajomy zapach cytryny i polnych kwiatów, musiałam się bardzo postarać, żeby się nie rozryczeć. Chociaż jesteśmy niemal tego samego wzrostu, nagle czas między moim szóstym a dwudziestym szóstym rokiem życia jakby wyparował. Przez krótką chwilę znów byłam małą, a ona była mamusią, którą wołałam, kiedy śniły mi się koszmary, która koła mnie swoimi delikatnymi dłońmi i nieskończoną ilością ślicznych brytyjskich kołysanek.

Potem, niczym lodowaty deszcz wlewający się za kołnierz, powróciło między nas poczucie niezręczności. Kiedy odsunęłam się od niej, przełykając ślinę, pochyliła się, żeby dać Jasperowi powąchać swoją dłoń.

– Naprawdę masz chowańca? – powiedziała, uśmiechając się, kiedy pies delikatnie ją wąchał. – Przyznam, że jestem nieco zaskoczona.

– Nie, nie. Jas to... to po prostu uroczy szczeniak – powiedziałam wesoło, tłumiąc lekką irytację na myśl o tym, że tego nie przewidziałam. W żadnym innym miejscu twoja matka nie założyłaby z góry, że twój dobrze wychowany sznaucek jest chowańcem. – Zazwyczaj ma więcej energii, ale teraz jest zmęczony. Zresztą oboje jesteśmy. Myślisz, że moglibyśmy...

– Oczywiście – powiedziała pośpiesznie i sięgnęła po moją ciężką jak kamień torbę, zanim zdążyłam ją powstrzymać. – Za wami bardzo długa podróż, prawda? Rozgośćcie się.

Zapach domu był jak uderzenie obuchem: płyn do podłóg o zapachu trawy cytrynowej, liście herbaty, topniejąca słodycz woskowych świec. Zostawiłam gigantyczną walizkę w korytarzu i zawiesiłam denimową kurtkę na stojącym wieszaku, po czym poszłam za mamą do ciemnej kuchni. Zamiast zapalić lampę sufitową, machnęła ręką na ustawione na stole i granitowej ladzie wysokie świece. Ich płomienie posłusznie ożyły,

oświetlając przytulny kącik śniadaniowy, gdzie znajdował się wazon brzoskwiniowych tulipanów, żółte zasłony i mój stary ścienny zegar w kształcie kota, którego ogon był jednocześnie wahadłem. Zapalanie świec to skromne, domowe czary, które nawet Harlowom wciąż nie sprawiały żadnego problemu.

Zanim wyjechałam, potrafiłam czarować w ten sposób, nawet o tym nie myśląc.

Od niemal czterech lat nie umiałam już jednak przywołać nawet płomienia świecy, a swoboda, z jaką uczyniła to moja matka, sprawiła, że ogarnęło mnie dobrze znane poczucie straty. To dlatego członkowie założycielskich rodów rzadko opuszczali Thistle Grove: odległość osłabia nasze magiczne zdolności. Im dłużej jest się z dala od domu, tym mniej zaklęć da się rzucić, aż wreszcie umiejętności całkiem zanikają – tak jak zanikły moje.

Wciąż czułam fantomowy ból ich braku, puste pulsowanie nigdy nie słabnącej do końca tęsknoty. Nawet ta drobna iskierka magii tylko pogłębiła moje pożądanie.

Zaraz jednak ustawiłam się do pionu, przypominając sobie, że to cena, którą zgodziłam się zapłacić za moje nowe życie. Za prawdziwe życie, w którym mam prawdziwą pracę, prawdziwy dyplom ukończenia studiów, a także – niestety – równie prawdziwy dług studencki. Na taki poszłam kompromis – za cenę utraty magii wybrałam życie, które mogłam uformować tak, by naprawdę mi pasowało.

– Niestety, spóźniłaś się na kolację – powiedziała mama, opierając się o ladę z ramionami skrzyżowanymi na szczupłej piersi. Jasper rozłożył się na trawertynowych kaflach, a ja opadłam na jedno z drewnianych krzeseł przy śniadaniowym stole i zrobiłam przepraszającą minę, jakbym wcale nie zaplanowała precyzyjnie godziny przybycia tak, żeby uniknąć obowiązkowej godziny w więzieniu towarzystwa rodziców.

– A tata wrócił na parę godzin do sklepu, żeby uporządkować rachunki – dodała. – Cholerne szaleństwo Samhain każdego roku rozpoczyna się coraz wcześniej. Już teraz zalewają nas turyści, a wiesz, jak reaguje na to twój biedny ojciec.

– Domyślam się – skrzywiłam się ze współczuciem. – Ci wszyscy obcy ludzie, z którymi musi rozmawiać, to dla niego horror.

Co roku w okresie „strachów” – od początku października do czasem aż połowy listopada – Thistle Grove zwiększało obroty. Przez resztę roku również był to popularny cel podróży wśród wielbicieli Halloween – choć tury-

ści nie mieli oczywiście pojęcia, jak głęboko zakorzeniona i prawdziwa jest mityczna magia tego miasta – ale wtedy było dość spokojnie, by mój introwertyczny ojciec mógł to jakoś znieść.

– Jeśli jesteś głodna, zrobię ci kanapkę – zaproponowała mama. Posmutniała lekko, kiedy pokręciłam głową. – Może chociaż herbaty? Sama się chętnie napiję.

Jechałam wiele godzin i zdecydowanie wolałam pójść pod gorący prysznic i potem prosto do łóżka, zanim będę musiała zmierzyć się z kolejnymi scenami z historii o powrocie córki marnotrawnej. Jednak, kiedy mama proponowała mi herbatę, zdawała się tak pełna nadziei, że nie potrafiłam się zmusić do odmowy.

– Bardzo chętnie się napiję, dzięki – poddałam się. – Czy mogłabym też poprosić o wodę dla Jaspera?

– Oczywiście. Ależ z niego niezwykle uprzejmy jegomość. – Zmrużyła oczy i przechyliła głowę na bok. – Jesteś pewna, że nie jest chowańcem?

– Absolutnie pewna, mamó.

Patrzyłam, jak porusza się z rozmysłem po kuchni, emanując sprawnością i kompetencją; jej bladoniebieski kardigan wirował wokół niej, a błyszczący, ciemny warkocz zwisał z ramienia. Kiedy postawiła przede mną mój ulubiony kubek – duży, z wizerunkiem złotej ważki – delikatnie dotknęła go palcem wskazującym, żeby ostudzić herbatę do odpowiedniej temperatury. Była to znana sztuczka Harlowów, dość nijaka jak na zaklęcia podobieństwa. Moja matka, Cecily Fletcher Harlow, nie urodziła się, rzecz jasna, w tej rodzinie, ale małżeństwo z członkiem założycielskiego rodu było jak małżeństwo z członkiem rodziny królewskiej. Tyle że zamiast życia wypełnionego ozdobnymi kapeluszami, anemicznymi kanapkami z ogórkiem i publicznym noszeniem cielistych rajstop, można było samej stać się wiedźmą.

– No dobrze, kochanie – zaczęła, zaplatając palce wokół swojego kubka i siadając naprzeciwko mnie. – Powiedz, co u ciebie.

– Wszystko dobrze – powiedziałam, kiedy wypity rooibos rozluźnił nieco moją klatkę piersiową. Zapomniałam o leczniczej wartości naparów mamy. – Parę dni temu dostałam nawet awans. Nie chciałam o tym wspominać, póki wszystkie papiery nie zostaną podpisane, ale tak. Oficjalnie zajmuję teraz stanowisko dyrektorki kreatywnej w Enchantify.

– O rany, to fantastycznie! – rozpromieniła się, chociaż dostrzegłam drganie w kącikach jej oczu, kiedy zarejestrowała, że z opóźnieniem

poznaje dobrą nowinę. – Gratulacje, skarbie. Co za triumf.

– I to w świetnym momencie. Miałam kartę przetargową podczas rozmowy o długim urlopie.

– A dla nas miesiąc w twoim towarzystwie to ogromna przyjemność! Mówiąc szczerze, obawiałam się, że w ogóle nie będziesz mogła przyjechać.

Zagryzłam policzek, nieco zaskoczona nietypową dla niej szczerością. W domu Harlowów rzadko rozmawialiśmy w ten sposób. Nie byliśmy ograniczonymi elitarystami jak Blackmoore'owie, nie byliśmy pogrążeni w chaosie i współzależności jak Avramowowie ani niemal nierozzerwalnie związani ze sobą jak Thornowie. Woleliśmy trzymać trudne sprawy i siebie nawzajem na dystans.

Być może czasem zbyt duży.

– Dziedzic Harlowów ma być arbitrem turnieju, pamiętasz? – powiedziałam z wymuszoną lekkością. – Nie tak łatwo wymigać się od czarodziejskiego obowiązku spoczywającego na nas od setek lat. Czy mogłabym mieć absolutną pewność, że jeśli sprzeciwię się tradycji, nie zmienię się w jeża?

Uśmiechnęła się i upiła łyk herbaty.

– Pomijając nie-całkiem-nieosiągalną-lecz-dość-nieprawdopodobną jezyfikację, grymuar nie zabrania zająć twojego miejsca kolejnej wiekiem osobie z młodego pokolenia. Delilah z pewnością mogłaby cię zastąpić.

– Och, Delilah z pewnością by mogła – mruknęłam pod nosem, starając powstrzymać się przed odruchowym przewróceniem oczami na dźwięk imienia kuzynki.

– Nie bądź dla niej niemiła, kochanie. Ona jest po prostu... gorliwa.

Padł jeden z epickich brytyjskich eufemizmów mojej matki, jako że Delilah to zarówno najgorliwsza osoba na świecie, jak i największa fanka Harlowów. Była ode mnie rok starsza, ale na jej nieszczęście nie przyszła na świat jako pierworodna córka głównej linii rodu, co automatycznie dyskwalifikowało ją jako sędzię – mogła nią zostać tylko wtedy, gdybym ja zrezygnowała.

Obsesja Delilah na punkcie historii naszej rodziny zawsze bardzo mnie bawiła, biorąc pod uwagę, jaką rolę Harlowowie odegrali w założeniu miasta. Wedle legendy niewiele ponad trzysta lat temu czworo czarodziejów zostało ściągniętych do Hallows Hill przez dobiegający z tego miejsca magiczny śpiew syreny. By uczcić założenie miasta, Caelia Blackmoore wywołała spektakularną burzę, Margarita Avramov wezwała na świadków

duchy zza magicznej przesłony, Alastair Thorn zgromadził wokół siebie stado ptaków, zaś Elias Harlow wyciągnął swe potężne pióro i...

Zrobił notatki.

Serio, to tyle. Mój wybitny przodek brał udział w tym czarodziejskim wydarzeniu o wzniosłości i wadze bez precedensu i zajął się opisywaniem go w najnudniejszy z możliwych sposobów, świadomie unikając wszelkich ozdobników i żartów; Boże broń, by ta historyczna kronika stała się choć trochę interesująca dla przyszłych czytelników. Zasadniczo był odpowiednikiem pani Irmy o nieintencjonalnie fioletowych włosach, zapisującej najważniejsze punkty każdego zebrania rady miasta.

Gwoli sprawiedliwości dodajmy, że Elias był odpowiedzialny także za grymuar – księgę zawierającą zebrane zaklęcia wszystkich czterech rodów i zasady odprawianego co pięćdziesiąt lat turnieju o nazwie Zawody w Zagajniku, decydującego, który z założycielskich rodów ma zarządzać wszystkim, co w Thistle Grove magiczne. Wedle zasad, w konkursie miało wziąć udział młode pokolenie, tak by każdy zwycięzca rozpoczynał panowanie w kwiecie wieku – a to oznaczało, że rywalizowali ze sobą pierworodni dziedzice każdej linii, „następcy tronu”, którzy ukończyli osiemnasty rok życia.

Harlowowie nawet nie biorą udziału w tej rywalizacji – nasze czary są tak skarłałe, że jesteśmy jedynie arbitrami. Jako dziedziczka Harlowów i rówieśniczka pozostałych dziedziców, wedle zasad grymuaru to ja mam być arbitrem, nie mój ojciec.

Świetna tradycja.

– No cóż, to zła wiadomość dla Delilah – burknęłam. – Ale oto jestem! Nie zajmie mojego miejsca Emmeline, dziedziczki Rodu Harlowów, czarodziejskich zarządców Thistle Grove.

Mama zmarszczyła brwi zza kubka.

– Jeśli zamierzasz być taka gburowata, być może naprawdę powinna zająć twoje miejsce. Wiesz, że poszanowanie ducha tego wydarzenia jest bardzo ważne dla twojego ojca.

Oparłam się, czując, jak ściska mi się żołądek. Owszem, wiedziałam. Dowiedziałam się tego z rozpaczliwie wylewnego i imponująco obciążającego poczuciem winy listu, który wysłał mi kilka miesięcy wcześniej. Na samą myśl o zamaszystym piśmie na ziarnistej papeterii z Woluminów i Wróżb czuję w gardle ucisk i smak niepokoju przeznaczonego dla rozczarowanych córek.

Najdroższa isquierko, wiem, że zdecydowałaś, że twoje życie będzie odmienne – i oddzielone od naszego. Bardzo cię jednak proszę, byś rozważyła powrót na sabat czarownic, tylko ten jeden raz, w imię tradycji. Rozważ wypełnienie tego ostatniego obowiązku wobec twojej historii i krewnych, wobec twojej matki i mnie, a obiecuję, że nigdy więcej nie będziemy podnosić tego tematu.

Jak mogłabym odmówić? Zwłaszcza rodzicom, którzy zawsze tak bardzo wspierali moje wybory i moje pozbawione magii życie w Chicago? Życie, którego nigdy nie rozumieli i w którym wyraźnie nie było dla nich miejsca?

– Wiem – odparłam, nie wspominając o liście. Gdyby matka o nim wiedziała, nigdy nie pozwoliłaby ojcu wysłać tekstu opartego na emocjonalnej manipulacji. Moi rodzice byli ucieleśnieniem hasztagu *#relationshipgoals*, a ja nie miałam najmniejszego zamiaru tego popsuć. – Poza tym duch owego „czegoś” wymaga tego ode mnie. A jako że Blackmoore’owie wygrywają w zasadzie od zarania dziejów, zapewne nie będę miała przed sobą zbyt wiele sędziowania.

Technicznie rzecz biorąc, była to nieprawda. W 1921 roku raz zwyciężyli Thornowie, ale to tylko dlatego, że Evrain Blackmoore był tak beznadziejnym pijakiem, że podpalił siebie i rywala z rodu Avramovów podczas próby przemienienia stawu w fontannę płonącego rumu.

Widzicie? Bujaj się, Delilah, też znam historię Thistle Grove.

Mama westchnęła lekko i skapitulowała. Potarła skronie.

– Pewnie masz rację. Masz kilka dni na odpoczynek, turniej zaczyna się dopiero w środę. Zdążysz się zaaklimatyzować.

Kiedy usłyszałam słowo „odpoczynek”, poniosłam sromotną porażkę w konfrontacji z ziewnięciem. Omal mi szczęka z zawiasów nie wypadła.

– Przepraszam. Jestem wykończona.

Matka odsunęła się od stołu, szybko zebrała puste kubki i wstawiła je do zlewu.

– W porządku, skarbie. Przygotowałam dla ciebie powozownię. – Zerknęła na mnie przez ramię, oplukując dłonie. – Pomyślałam, że skoro będziesz tu przez miesiąc, wygodniej ci będzie w osobnej przestrzeni niż w pokoju gościnnym.

– Wspaniale – powiedziałam, szczerze uradowana. Jako dziewczynka uwielbiałam powozownię i większość nocowanek z Linden Thorn spędzałam właśnie tam, oddalona od rodziców, ale wciąż na tyle blisko, żeby mogli nam pomóc w razie potrzeby. Zapewne wyobrażali sobie, że kiedy dorosnę, będzie nas dzielił podobny dystans, a nie ponad trzysta kilometrów

nizin Illinois, które rozciągały się teraz między nami, ogromne i nieustępliwe.

Wspólnie wyniosłyśmy moje rzeczy tylnymi drzwiami na dróżkę prowadzącą przez kwiatowy ogród mamy. Kwitnące nocą rośliny przeciągały się w łózkach, pochylały ku sobie nawzajem i chichotały piskliwie niczym plotkujące wróżki. Jasper podszedł powąchać szczególnie ożywiony wiesiołek i odskoczył od niego jak zając, kiedy ten przechylił się ku niemu i z chichotem uderzył go w nos.

Było to proste zaklęcie animujące, dalekie od tego, co mogliby zrobić Thornowie. Kwiaty w ogrodzie animowanym przez Thornów miałyby własne imiona, osobowości i zdolność porozumiewania się, wszystkie cechy istot żywych. Wiem o tym dobrze, bo moja najlepsza od dwudziestu lat przyjaciółka Linden Thorn z okazji moich urodzin zanimowała kiedyś drzewo wiśniowe w Honeycake Orchards. Cherry – nazwana tak przez niżej podpisaną, najbardziej dosłowną ośmiolatkę świata – ograła mnie w szachy cztery razy na pięć i dzieliła się ze mną swoimi cudnymi, niesamowitymi snami.

Czasem wciąż tęsknię za tamtym drzewem.

Jednocześnie upuściłyśmy torby na progu, wydając z siebie podobne, bardzo nieeleganckie chrząknięcia, i uśmiechnęłyśmy się do siebie szeroko. Mama podała mi klucze.

– Całkiem niewykluczone, że jeśli tacie czas przeleci przez palce, to będzie spał w sklepie – powiedziała, z czułością przewracając oczami. – Często się tak zdarza, więc nie musisz pędzić na śniadanie, żeby się z nim zobaczyć.

– Umówiłam się już na brunch z Linden. – Napisałam do Lin kilka tygodni wcześniej, żeby dać jej znać, że przyjeżdżam na turniej, i zapytać, czy chce się spotkać zaraz po moim przyjeździe. Wciąż byłyśmy blisko, głównie dzięki jej wysiłkom, byśmy mimo odległości pozostawały na bieżąco z tym, co się u każdej z nas dzieje, uznałam więc, że to ja powinnam wyjść z inicjatywą pierwszego spotkania na żywo po latach. – Ale zaraz potem zajrzę do Woluminów & Wróżb, OK?

– Oczywiście – powiedziała matka, pochylając się nade mną, żeby pocałować mnie w czoło. – Dobranoc, kochanie. Jeśli będziesz czegoś potrzebować – wołaj. Naprawdę bardzo się cieszę, że przyjechałaś.



Katastrofa w Koniczynowym Kotle

Wnętrze powozowni przypominało przestrzenny loft z widocznymi krokwiemi, aneksem kuchennym, rustykalnym kominkiem i łóżkiem umiejscowionym bezpośrednio pod świetlikiem. Zazwyczaj służyła mojej matce za gabinet do topienia świec, ale nigdzie nie było śladu jej twórczego bałaganu. Wszystkie powierzchnie lśniły, zostawiła mi nawet miskę moich ulubionych pomarańczy sumo.

Wysięk, jaki włożyła w moje powitanie, sprawił, że zapragnęłam się napić i to tak bardzo, że gdyby ktoś się nad tym dłużej zastanowił, mógłby to uznać za problematyczne.

Kiedy ustawiłam ostatnią parę zapewne-niepotrzebnych-ale-a-co-jeśli-się-jednak-przydadzą butów i włożyłam walizkę pod łóżko, poczułam, że moje zmęczenie zmieniło się w to irytująco brzęczące znużenie, które nie pozwoli mi zasnąć bez wspomagania. A ostatnim, na co miałam ochotę, był powrót do domu w poszukiwaniu jakiegoś skomplikowanego alkoholu, którego moi rodzice, należący do osób „trzymających butelkę szkockiej na specjalne okazje”, zapewne i tak nie mieli.

Pozostawała mi tylko jedna opcja.

Pół godziny później zasiadłam na stołku w Koniczynowym Kotle, omiatając wzrokiem znajomą płataninę radosnych lampek w kształcie nietoperzy wiszących wciąż nad żłobionym barem, te same psychodelicznozielone i fioletowe pajęczyny lśniły na ścianach. No i oczywiście Martwego Fryderyka: plastikowy szkielet w kapeluszu leprechauna i kolorowym naszyjniku

pozostałym z Mardi Gras, który siedział na tyłach baru z ukulele na kości-
stych kolanach.

Zaprawdę trudno byłoby o miejsce wyższej klasy.

Bar znajdował się na tyle daleko od głównej trasy, że nie przychodziło tu
zbyt wielu turystów, dzięki czemu stał się doskonałą lokalną spelunką.
O wpół do dziesiątej w niedzielny wieczór było tu prawie pusto, jeśli nie
liczyć jakiejś samotnej panny ze zwisającą ozdobą „żony Frankensteina” na
rozczochranych włosach, ponuro wysysającej jasnozielony koktajl.

Przynajmniej ktoś bawił się jeszcze gorzej ode mnie.

Kiedy sięgałam po kartę drinków, barman odstawił wytarty kubek
i pochylił się ku mnie, po czym na jego twarz wstąpił szeroki uśmiech.

– Hej... Emmy Harlow? Cholera, to naprawdę ty!

Spojrzałam na niego pustym wzrokiem, kompletnie zagubiona – ale
wtedy jego dorosła twarz nałożyła się na mętne wspomnienie twarzy młod-
szej, którą rozpoznawałam z lat szkolnych. Te same rozczochrane, ciemne
włosy, ten sam eyeliner wokół jasnoniebieskich oczu, nawet strój złożony
z ogrodniczek i luźnej koszulki wydawał mi się znajomy, choć teraz wysta-
wały spod niego wytatuowane przedramiona. Byliśmy z Mortym tylko zna-
jomymi, ale ze zdziwieniem odkryłam, że bardzo mi miło go widzieć, a tym
bardziej słyszeć, że pamięta moje imię.

– Nikt inny – odwzajemniłam uśmiech. – To mój pierwszy wieczór po
powrocie. Co słychać, Morty?

– Nie narzekam. Tata parę lat temu przeszedł na emeryturę i powierzył
mi tę elegancką instytucję. – Szerokim gestem wskazał wewnątrz Kotła. –
Z radością donoszę, że nasze enchilady buffalo są obecnie jadalne. Zlitowa-
liśmy się również i odświeżyliśmy listę koktajli. Podać ci coś?

Przeciągnęłam palcem po nowym zestawie tandetnie brzmiących hallo-
weenowych drinków, aż dotarłam do klasycznych koktajli. – Na początek
poproszę Old Fashioned.

– Już się robi. – Raz jeszcze uśmiechnął się do mnie szeroko i rozbraja-
jąco, a potem sięgnął po shaker. – Chętnie bym się z tobą umówił, kiedy już
się rozgościsz. Jestem strasznie ciekawy, czym zajmowałaś się w mieście
przez te wszystkie lata.

Serce zabiło mi zaskakująco mocno, kiedy usłyszałam, że kolega z klasy
nie tylko jest ciekawy, czym się zajmuję, ale nawet zainteresował się mną
na tyle, żeby wiedzieć, dokąd wyjechałam. Kiedy postawił przede mną
drinka, wypiałam połowę trzema słodko-dymnymi łykami, myśląc, że być

może miesięczny pobyt tutaj nie będzie aż tak straszny, jak w moich najgorszych przypuszczeniach.

Wtedy otwarły się drzwi pubu, wpuszczając do środka chłodny, jesienny wiatr. I usłyszałam jego głos, a zaraz po nim niepodrabialny śmiech.

Gareth Blackmoore wtoczył się do środka, za nim jego młodszy brat Gawain i kłębowisko kuzynów Blackmoore'ów, a wszyscy tylko o pół kroku od kompletnego pijaństwa.

– Wszechświecie, pogrzało cię? – jęknęłam przez zaciśnięte zęby, ledwo powstrzymując się przed ukryciem twarzy w dłoniach.

I, jako że najwyraźniej w przeszłym życiu dopuściłam się niewyobrażalnych zbrodni na dzieciach i małych kotkach, Gareth podszedł do baru i opadł na stołek obok mojego. Jego ekipa podążyła za nim, wciąż przepychając się i rechocząc, i zajęła pozostałe miejsca przy barze.

– Heeej! – zawołał Gareth, jakbyśmy wpadali na siebie regularnie. Uśmiechnął się tym krzywym uśmiechem, który kiedyś zmienił całe moje życie. Kiedy odgarnął z czoła kosmyk piaskowych włosów, całe moje ciało napięło się, zażenowane bliskością i okrutnie znajomym gestem, który dawno powinnam była zapomnieć. – Zajęte?

– Tak – wydusiłam, czując, jak serce podchodzi mi do gardła. – To krzesło jest zajęte.

– Serio? – Gareth uniósł brew i zamaszystym gestem wskazał puste miejsca w pubie. – Nie widzę tu nikogo.

– Widzisz, chodzi o to, że to miejsce zawsze było zajęte. Ma długą tradycję bycia wiecznie zajętym, więc...

Zmrużył oczy, wciąż uśmiechając się nonszalancko i starając ustalić, czy robię sobie z niego jaja.

– To może posiedzę na nim, póki prawowity właściciel nie wróci... Co o tym myślisz? – zaproponował konspiracyjnym szeptem, pochylając się nade mną. Był tak blisko, że czułam dobiegający z jego ust zapach piwa. – To będzie taki kompromis.

Odsunął się ode mnie, gwałtownie kołysząc całym ciałem, i stuknął kłykciami o bar. Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, pstryknął palcami w kierunku Morty'ego, jak karykatura samego siebie – zarozumiały pijak.

– Hej, stary, rundka Don Julio Real dla całej ekipy!

Wpatrywałam się w Garetha, przerażona faktem, że jakimś cudem jego prawdziwa postać była jeszcze gorsza niż moje najgorsze wspomnienia.

– Czy ty... serio pstryknąłeś palcami na żywego człowieka?

– Przecież to tylko Morty! – zawołał Gareth, rozkładając szeroko ramiona z pijacką serdecznością, na tyle gwałtownie, że omal nie walnął mnie łokciem w czoło. – Morty to stary kumpel. Nie przeszkadza mu to, prawda, Morty?

Morty wyglądał, jakby rozważał, czy nie wejść na drogę przemocy, jeśli Gareth jeszcze raz wypowie jego imię tym wstrętne lekceważącym tonem. Pokiwał jednak tylko głową, zacisnął wargi, aż zbladły, i odwrócił się, żeby odstawić na najwyższą półkę butelkę ze srebrną nakrętką.

Najważniejsza zasada Thistle Grove, mająca swoje zastosowanie zarówno w społecznościach czarodziejskich, jak i niemagicznych, brzmiała: z Blackmoore'ami się nie zadziera. Blackmoore'owie byli jak arystokraci, którzy nie reagują zbyt miło, kiedy ktoś próbuje sobie z nimi pogrywać.

Byłam dobrym przykładem, jako że dziewięć lat temu pierdolenie się z Blackmoore'em dosłownie skłoniło mnie do udania się na dziesięcioletnie wygnanie.

Kiedy znów otworzyłam usta, żeby zaprotestować, Morty napotkał mój wzrok i lekko pokręcił głową. „Nie warto” – powiedział do mnie bezgłośnie, nalewając tequilę do sześciu kieliszków w kształcie czaszek, ze spojrzeniem pełnym dystansu, które towarzyszy mu zapewne w takich właśnie, paskudnych sytuacjach.

Kiedy Gareth podniósł kieliszek i wzniósł jakiś bełkotliwy toast za Camelot, koronny klejnot Blackmoore'ów, szczęśliwie odwrócił uwagę ode mnie. Zacisnęłam na kubku obie dłonie w śmiertelnym uścisku, jakby mógł powstrzymać mnie przed utratą kontroli, która wysłałaby mnie wpierw do mezosfery, a potem dalej w kosmos; byłam pełna takiej wściekłości i takiego niepokoju, które autentycznie byłyby w stanie uwolnić mnie od ziemskiej grawitacji.

Kiedy już sądziłam, że udało mi się w miarę ogarnąć, Gareth przemówił do mnie.

– Wracając do tematu – powiedział, jakbyśmy wcześniej prowadzili przyjemną konwersację. – Przyjechałaś na weekend? Chyba nigdy cię tu nie widziałem?

Wpatrywałam się w niego z zaskoczeniem, które walczyło o pierwszeństwo ze złością, że z biegiem czasu stał się jeszcze przystojniejszy. Miał na sobie nieco pomięty garnitur w paski, który elegancko układał mu się na szerokich ramionach, a jego jasne włosy, bez wątpienia podcięte przez drogiego fryzjera, były zaczesane do tyłu i odsłaniały ciemniejsze brwi i błę-

kitne ogniki oczu, które uwiodły mnie, kiedy miałam siedemnaście lat. Jego twarz była nieco szczuplejsza, niż zapamiętałam, a szczeka i brwi – cięższe i wyrazistsze. Niestety, dziewięć lat później wyglądał jeszcze lepiej.

Jego osobowość z kolei najwyraźniej wciąż wymagała generalnego remontu.

– Garcie Blackmoore, czy ty robisz sobie ze mnie jaja? – zapytałam. – Nie widziałeś mnie tutaj? Czy to jakiś nowy sposób na podryw? Bo jeśli tak, jest wyjątkowo żenujący nawet jak na ciebie.

– Hej, spokojnie – wycedził, unosząc ręce i brwi. – Cholera, źle zaczęliśmy. Mam na imię Gareth, ale... zaraz, ty już znasz moje imię! Skąd je znasz, nieznajoma?

Kiedy jego twarz powoli rozciągnęła się w uśmiechu, ja poczyniłam jedno z najtragiczniejszych odkryć w moim życiu. Gareth Blackmoore – moja pierwsza miłość, rozstanie z którą było najbardziej upokarzającym, najstraszniejszym wydarzeniem w moim życiu, powodem, dla którego porzuciłam cały mój dotychczasowy świat – naprawdę mnie nie pamiętał.

Niewyobrażalne zbrodnie? Najwyraźniej w poprzednim życiu po prostu zjadałam dzieci i kotki, aż tłum wygonił mnie z miasta widłami.

Faktycznie ostatni raz widzieliśmy się dziewięć lat temu, jeśli nie liczyć przelotnych spojrzeń, jakie rzucałam mu, kiedy jeszcze wracałam do Thistle Grove na obchody wiedźmińskich świąt. Od tamtego czasu mój styl mocno się zmienił. Zamiast dzikiej, rozjaśnionej słońcem czupryny, sięgającej niemal do pasa, miałam na głowie gładki, ciemny, asymetryczny bob, który kończył się w okolicach podbródka. Przedramiona pokrywały mi drobne tatuaże, no i za nic w świecie nie pokazałabym się teraz w jednej z tych białych, zwiewnych sukienek, które tak się Garethowi podobały.

A jednak ten mężczyzna był we mnie wiele, wiele razy. Pomijając naszą relację uczuciową, czy sam ten fakt nie powinien zagwarantować mi choćby przeblysku wspomnienia? Mnie nie było trudno rozpoznać jego. A jednak w jego oczach nie było nic prócz typowego spojrzenia pijanego samca, który chciałby mi się dostać do majtek.

Przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć, tak zażenowana, że żałowałam, że nie mogę się zapaść pod ziemię, a jednocześnie przygnieciona przez tsunami. Morty tymczasem przenosił wzrok z niego na mnie i z powrotem, jakby oglądał najżałośniejszy mecz tenisowy świata. Nie mógł wiedzieć, co dokładnie się dzieje – lista osób świadomych tego, co się

między nami wydarzyło, była tak krótka, że nie obejmowała nawet moich rodziców – ale zapewne był w stanie dostrzec istotę rzeczy.

– Jasna cholera – wymamrotał pod nosem, a na jego życzliwej twarzy pojawił się wyraz współczucia, który natychmiast zmienił moje upokorzenie w gniew.

Jakby na zawołanie, kubek roztrzaskał się na kawałki w moich dłoniach.

– O cholera, twoja szklanka! – zawołał Gareth, szeroko otwierając oczy, w których pojawiła się szczerza troska. Trzeba przyznać, że mimo licznych wad, nigdy nie był intencjonalnym sadystą. – Poczekaj, pomogę ci.

Nie pytając o pozwolenie, zacisnął dłoń wokół mojej ręki i garści pełnej odłamków. Łaskoczące czary z jego dłoni przeniosły się na moją, zmieniając połamane resztki kubka w opalizujący płyn, falujący i lśniący jak rtęć. Wirowały i kołysały się w miejscu, po czym kubek powrócił do swojego poprzedniego kształtu, z cichym trzaskiem na powrót skryształizował się w ciało stałe.

W tym właśnie Blackmoore'owie byli najlepsi – potrafili manipulować materią, bez trudu zmieniać jeden żywioł w drugi, dla kaprysu łamać rzeczy i sklejać je na nowo. Podobno pochodzili od legendarnej arturiańskiej czarodziejki Morgan le Fay, jak można by się zresztą domyślić dzięki ich absurdalnym imionom. (Garetha potraktowano całkiem łagodnie, ale reszta... no, nie bardzo. Jego młodszy brat ma na imię Gawain, a siostra – Nineve). Są najsilniejszymi czarownikami, bez wątpienia najpotężniejszym z rodów.

Ale nawet oni nie byli zazwyczaj na tyle bezwstydni, żeby czarować na oczach zwykłych ludzi, takich jak Morty – który wciąż patrzył na nas jak zahipnotyzowany, poruszając ustami, kiedy próbował pogodzić prawa fizyki z nieprzystawalną rzeczywistością całego kubka w mojej dłoni.

Chociaż uczono nas, żeby unikać publicznego rzucania zaklęć, wieki temu Avramowie zaczarowali też na wszelki wypadek miasto, tak by lokalni mieszkańcy nie mogli spojrzeć z bliska na żadne zabłąkane czary. Widziałam, jak ich magia działa teraz na Morty'ego, w którego oczach pojawiła się niepewność, kiedy przepisywał swoje wspomnienie niczym redagowany dokument.

Garethowi moje zaskoczenie pomyliło się chyba z fascynacją i podziwem, bo pozwolił swoim palcom dalej ścisnąć moje.

– Fajna sztuczka, co? – Pochylił się nieco bliżej, chuchając na mnie kwaśnym, alkoholowym powietrzem i próbując skupić się na mojej twarzy.

Zmarszczyłam nos, zastanawiając się, jak to możliwe, że kiedyś ten mężczyzna, będący ucieleśnieniem banału, wydawał mi się atrakcyjny. – Znam ich znacznie więcej. Jeśli chcesz, możemy stąd pójść, pokażę ci zdecydowanie fajniejsze rzeczy.

– Albo może ty sobie stąd pójdziesz – zasugerowałam ze złością, wyrywając mu dłoń. – Może umówmy się tak, że ja mrugnę, a ciebie już tu nie będzie.

Odchylił się na krześle, potarł dłonią kark, a w jego oczach pojawiła się konsternacja.

– Albo, czekaj, może zostanę i kupię ci jeszcze jednego drinka? – zaproponował, wciąż niezdolny, by pogodzić się z odrzuceniem przez turystkę, która musi przecież być pod wrażeniem spotkania ze słynnym dziedzicem Blackmoore'ów.

– Już ci odmówiła, stary – wtrącił się Morty. Jego twarz rozluźniła się; prawdopodobnie zapomniał już o rozbitej szklance albo ułożył sobie w głowie jakąś historię, która lepiej pasowała do jego zwyczajowego postrzegania świata. – A dzentelmenowi jedno „nie” powinno wystarczyć, prawda?

Przez twarz Garetha przemknęła iskra przytomności, a jego szczęki zaciśnęły się wojowniczo. Spojrzał najpierw na Morty'ego, potem na mnie, składając usta w dzióbek i przebiegając językiem po zębach. Z tego, co pamiętałam, chociaż Gareth był zarozumiały, rozpieszczony i nie przyjmował do wiadomości własnych błędów, nie był tyranem, przynajmniej nie na trzeźwo. Ale za to Blackmoore'em, a poza tym też wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, mającym za sobą ekipę podobnych towarzyszy. Kiedy patrzyłam, jak zastanawia się, co zrobić, poczułam, że adrenalina uderza mi do głowy.

Napięcie zebrało się wokół nas jak przed burzą – a wtedy Gareth teatralnie przewrócił oczami, odsunął się od baru i ziewnął przeciągle.

– Masz rację, Morty – powiedział, odwracając się ode mnie i klepiąc po ramieniu najbliższego kuzyna. – Wiecie co, tu się zrobiło czerstwo. Chodźcie do Avalonu.

Rozbrzmiał refren złożony z okrzyków w stylu „dobra, stary” i zaraz wszyscy znaleźli się za drzwiami, a atmosfera niemal natychmiast się rozluźniła. Przez chwilę siedzieliśmy z Mortym w milczeniu, zszokowani, odzyskując rezon. Potem Morty cały się zatrzęsł, jakby chciał oczyścić głowę, i nalał nam po szocie wódki. Zmęczonym gestem stuknęliśmy się kieliszkami, po czym wychyliłam swój na raz i zasyczałam przez zaciśnięte zęby.

– Wszystko w porządku, Emmy? – zapytał, a w jego ciepłych oczach malowała się szczerza troska. – Nie do końca zrozumiałem, co tu się wydarzyło, ale widzę, że Gareth wciąż jest dupkiem na skalę przemysłową, co mnie szczególnie nie zaskakuje.

– Przeżyję – wymamrotałam, chowając twarz w dłoniach. – Dzięki, że interweniowałeś, zanim zdążyłam zrobić coś naprawdę głupiego. Czekał... czy on w ogóle zapłacił za te szoty?

– Ma otwarty rachunek – odparł Morty, przygotowując kolejny Old Fashioned, nim zdążyłam o niego poprosić. Co za skarb. – Szczerze mówiąc, wszystko mi jedno, byle się tu nie pchał. Blackmoore'owie mnie stresują, wiesz? Banda wkurwiających dupków, zachowują się, jakby całe miasto należało do nich. OK, wiem, że spora część miasta faktycznie do nich należy, ale mogliby trochę zmienić podejście.

– Wypijmy za to – powiedziałam, śmiejąc się gorzko. Nowy kubek wyglądał identycznie jak ten, który rozbiłam, ale wydał mi się zaskakująco solidny. Zrobiony był z tak grubego szkła, że nie dałabym rady strzaskać go uściskiem dłoni.

A to oznacza, że zrobiłam to dzięki instynktownej magii.

A to oznacza, że moje zdolności wracały.



Seksowna wilczyca syberyjska

Wciąż ze zdziwieniem wpatrywałam się w kubek, kiedy moje myśli prze-
rwał rozbawiony chrapliwy głos.

– Gdybym podeszła się przywitać, musiałybyś zbić coś innego? Czy tra-
dycja każe ci zachować te czary dla Blackmoore’ów?

Podskoczyłam na krzesło i spojrzałam w prawo. Trzy krzesła ode mnie,
w cieniu, na samym końcu baru, tuż obok Martwego Freda, siedziała Nata-
lia Avramov. Dziedziczka uniosła dłoń na powitanie w sympatyczny i swo-
bodny sposób, jakby wcale nie pojawiła się właśnie znikąd.

– Talia – przypomniała mi, dotykając obojczyka dwoma palcami
z paznokciami barwy błyszczącego granatu. Jakby ktokolwiek mógłby ją
zapomnieć.

Owszem, Talia była dwie klasy wyżej ode mnie, ale była też powalająco
piękna. Cały klan Avramovów był niesamowicie atrakcyjny, wszyscy mieli
wyraziste kości policzkowe, piękne oczy i szczęki, które mogłyby rzeźbić
szkło; jak uwodzicielscy nikkzemnicy, którzy wydostali się z jakiejś ponu-
rej baśni, wciąż z wrzoscami we włosach. Twierdzili, że pochodzą od cie-
szącej się złą sławą słowiańskiej wiedźmy Baby Jagi – która, sądząc po
genetycznym bogactwie, jakie przekazała kolejnym pokoleniom, musiała
być w młodości naprawdę gorącą laseczką.

Jednak nawet jak na standardy Avramovów, Talia była boska. Błysz-
czące, atramentowe włosy, kremowa skóra o blasku, którego nie zawdzię-
czała raczej koreańskiej maseczce, nieprawdopodobnie miękkie usta, które
budziły różne, nie zawsze przyzwoite skojarzenia. Niemal przezroczyście,
szare oczy z pierścieniem koloru sadzy wokół każdej bladej tęczęwki spra-

wiały, że wyglądała jak syberyjska wilczyca. Bardzo, bardzo seksowna syberyjska wilczyca, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Patrzyła na mnie tymi irytująco pięknymi oczyma, a na jej twarzy pojawił się cień rozbawienia. Jakby dokładnie wiedziała, jaki wpływ wywiera na ludzi.

– Emmeline – odpowiedziałam bezmyślnie, trochę skonfundowana intensywnością jej spojrzenia. – Yyy... to znaczy Emmy. Harlow.

– Wiem, kim jesteś, Harlow. – Przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się, powoli rozciągając spektakularne wargi. Talia zawsze miała niebezpiecznie zachwycający uśmiech, a także gigantyczne pokłady pewności siebie. Na sam widok zatrzęśły mi się kolana, choć przecież siedziałam. Zastanawiałam się, czy kolano w ogóle jest się w stanie zatrząść.

Najwyraźniej tak.

Przełknęłam ślinę i wzięłam łyk, po to tylko, żeby zrobić coś bardziej akceptowanego społecznie niż wgapienie się w nią i trzęsienie kolanami.

– Cieszę się – wymamrotałam, czując w gardle ciepło alkoholu. – Są osoby, które mnie nie pamiętają.

Prychnęła i przewróciła oczami.

– Nie jestem pewna, czy Gareth Blackmoore jest osobą, czy może beznadziejnym dupkiem. Albo chujkiem. Wybierz sobie część ciała.

Zachichotałam.

– To prawda. Ale pobawię się w adwokata diabła i zauważę, że przynajmniej mogłam zobaczyć, jak wchodzi do środka.

Pokręciła głowę, jakby chciała powiedzieć: *touché*. Potem podniosła swojego drinka i ślizgiem przesunęła się na stół koło mnie, z leniwym, długonogim wdziękiem seksownej zawodniczki tai chi. Z tak bliska mogłam poczuć zapach jej perfum – kremową słodycz z nutami drzewa sandałowego i kakao. Były zaskakująco dekadentkie jak na kogoś z takim pazurem i tylko obudziły we mnie jeszcze więcej skojarzeń.

– Rzeczywiście zakłęcie odwracania uwagi jest dość niegrzeczne – przyznała, ale jej ton nie był ani odrobinę przeproszający. – Ale nie byłam w nastroju na miłe pogawędki. A nawet ja czułabym się jak potwór, gdybym odrzuciła najsmutniejszą singielkę na świecie, kiedy tak bardzo pragnęła wypłakać się na czyimś ramieniu.

Zerknęłam za siebie: dziewczyna pozostawiła za sobą resztki zielonego koktajlu i kilka zgniecionych banknotów.

– Blech, myślisz, że poszła z Blackmoore’ami? – Aż dreszcz mnie przeszedł. – Nie postawiłaby na właściwego konia. Z którymkolwiek nie wyląduje, ten nawet nie zaprosi jej jutro na śniadanie.

– W teorii się zgadzam. W praktyce? – Wzruszyła ramionami i pociągnęła przez słomkę łyka swojego podejrzanego tropikalnego drinka z parasolką. – Chyba każda z nas przez to przeszła?

Otworzyłam szeroko usta, zaskoczona.

– Kiedy mówisz „każda”, masz na myśli...?

– Siebie – odpowiedziała, energicznie chwytając ustami słomkę. – I, o ile mój radar emocjonalnych rzezi kompletnie się nie popsuł, także ciebie.

Patrzyłam, jak bierze kolejnego łyka swojego nieprawdopodobnego drinka. Zakręciło mi się w głowie. Talia i Gareth? Coś... coś tu się nie zgadza.

W liceum, kiedy ja dawałam wszystkim równe szanse, Talia umawiała się niemal wyłącznie z dziewczynami. I to z najpiękniejszymi dziewczynami, gibkimi cheerleaderkami i rumianymi piłkarkami, i pyską wiceprzewodniczącą rady uczniowskiej. Wszystkie były w niej beznadziejnie zakochane i wszystkie załamywały się, kiedy traciła nimi zainteresowanie i zabierała się za poszukiwanie nowego obiektu. Nie była okrutna, raczej szybko się nudziła i szczerze okazywała brak zainteresowania związkami trwającymi dłużej niż miesiąc czy dwa. Dać sobie złamać serce Talii Avramov było właściwie rytuałem przejścia dla każdej queerowej dziewczyny w Thistle High i można było za to winić tylko siebie. Mojego istnienia nigdy nie zauważała.

A żaden z nielicznych facetów, których zdobyła, nie należał do wyma-chującego fiutami plemienia Garetha.

– Uwierz, zdaję sobie sprawę z dysonansu poznawczego – powiedziała sucho, jakby czytała mi w myślach. Choć jednak wróżbiarstwo należało do umiejętności Avramovów, znacznie chętniej nawiązywali kontakt z duchami, niż czytali w myślach żywych ludzi. – Nie jestem z tego dumna. Ale byłam akurat po okropnym rozstaniu, a on się napatoczył i sama rozumiesz. Potrafi być dziwnie uroczy, kiedy wyjmie głowę z dupy i trochę się postara.

– Wiem, wiem – powiedziałam zażenowana drżeniem w moim głosie. Zacisnęłam szczęki: nie zamierzałam popłakać się na wspomnienie mojego głupiego, złamanego serca.

– A więc to przez niego – powiedziała łagodnie Talia, wciąż przypatrując mi się z intensywnym skupieniem. – To przez niego przestałaś tu przyjeżdżać po zakończeniu szkoły.

– Po części tak. Ale... to było bardziej skomplikowane. – Przerwałam, żeby dokończyć drinka, zaskoczona tym, jak bardzo zapragnęłam nagle, żeby zrozumiała, co naprawdę się wydarzyło.

Nie było między mną a Talią jakiejś wieloletniej, głębokiej więzi, jeśli nie liczyć wspólnych obchodów wikańskich świąt, które nasze rodziny spędzały razem nad Lady's Lake, w równonoc oświetlaną blaskiem księżyca. Żadna z nas nigdy jednak nie wyszła na tych spotkaniach z inicjatywą rozmowy, jako że ona była starsza i onieśmielająco atrakcyjna, a ja – zbyt nieśmiała i powściągliwa, by inicjować kontakt. Byłyśmy co najwyżej dwoma ciałami niebieskimi, których orbity regularnie się przecinały.

Może byłam po prostu trochę pijana, a przy okazji poturbowana po kolizji z Garethem. Albo może Talia była niewypowiedzianie piękna, pachniała jak bogini i patrzyła na mnie magnetycznymi oczami z uwagą, która upijała mnie mocniej niż alkohol. Cokolwiek by to nie było, bardzo chciałam jej wszystko opowiedzieć. I raz w życiu moja duma nie wydawała się dość dobrym powodem, by zapomnieć o rozsądku.

– Chodzi o to, że to było bardziej skomplikowane, niż mógłby podejrzewać ktoś, kto rzuca czar, żeby móc w ukryciu migdalić się z Martwym Frederickiem, a unika interakcji z żywymi ludźmi – dodałam, zapewniając sobie drogę ucieczki na wypadek, gdyby po prostu próbowała być miła. Chociaż z tego, co pamiętałam, nigdy szczególnie nie zważała na dekorum.

Talia zaśmiała się, a ten bogaty dźwięk wywołał niemal rzeczywistą reakcję gdzieś poniżej mojego pępka, niczym uderzenie krzesiwa o żelazo.

– Załóżmy, że tym razem wyjątkowo odłożę na bok swoją wygodną mizantropię i cię wysłucham. Dołożę nawet parę drinków, by złagodzić ból. Dobry plan?

Uniosła zapraszająco ciemną brew i przeczesła włosy dłonią ze srebrnymi pierścieniami. Kiedy założyła je za ucho, dostrzegłam kolczyk w kształcie podwójnej helisy – srebrnego węża owijającego się wzdłuż jej ucha – i cienką, czarną obrózkę wokół jej długiej szyi, z tradycyjnym granatem Avramovów pośrodku. Wyglądała w nich jak osoba, którą zapamiętałam, chaotyczna-neutralna dziewczyna, podczas przerw paląca papierosy bez filtra na trybunach, która nieironicznie nosiła rękawiczki bez palców i jakimś cudem wyglądała w nich świetnie.

Taka dziewczyna zdecydowanie nie powinna z takim upodobaniem upijać się w turystycznym barze.

– Technicznie rzecz biorąc, owszem – powiedziałam, zerkając na jej drinka z drzeniem. – Ale mam pewne obawy co do tego, jaki napój uznasz za odpowiedni na tę okazję. Co to w ogóle jest? Sex on the beach aspirujący do miana Scorpion bowl?

Przyłożyła palec do ust i szeroko otworzyła oczy w udawanym oburzeniu.

– Cicho, dziecko, zanim wypowiesz słowa, których nie da się cofnąć. Otóż jest to Rainbow's end gimlet, najwspanialsze z dzieł Morty'ego. Domowe bittersy naprawdę podkreślają aromat smakowych wódek, których jest tu co najmniej trzy. Jest pyszny i, owszem, gdy go wypijesz, wywalisz się na dupę.

Pokiwałam powoli głową.

– To bardzo... hmmm... interesujące, że taki właśnie koktajl wybierasz w niedzielny wieczór.

– Co mam powiedzieć? W zasadzie jestem Rosjanką. Randomowe chłanie to część mojej filozofii życiowej, a od teraz także i twojej. Przepraszam, skarbie – powiedziała i zawołała Morty'ego, który wyłonił się z zaplecza. Odwrócił się do niej i uśmiechnął znacznie szerzej niż do Garetha i reszty Blackmoore'ów. W odróżnieniu od nich, ona wyraźnie była tu mile widzianą stałą klientką. – Mógłbyś przygotować nam koniczynowy specjał?

Morty zasalutował wesoło.

– Już się robi, kochana.

Kiedy zaczął miksować i nalewać, Talia oparła łokieć o ladę, ułożyła brodę w dłoni i znów na mnie spojrzała. – No dobra, zanim przejdziemy do ciężkich tematów... Czym zajmowałaś się przez te wszystkie lata, Harlow? Żyłaś szczęśliwym życiem normalsów?

Skrzywiłam się trochę na dźwięk obelgi, którą kiedyś rzucałam pewnie równie swobodnie, a która teraz nie wydawała mi się już aż tak fajna.

– W zasadzie tak. Zaczęłam od dyplomu z komparatystyki literackiej na uniwersytecie w Chicago i licencjatu z biznesu.

– Pasuje. – Kolejny naładowany uśmiech, lekkie przechylenie głowy na bok. – Zawsze byłaś ambitna. Miałaś najwyższe oceny w klasie?

Zamrugłam, zaskoczona, że o tym pamiętała, zwłaszcza że skończyła szkołę dwa lata przede mną.

– Mhm, miałam. Chyba byłam po prostu jedną z tych dziwaczek, które lubią się uczyć. Przez chwilę myślałam, że mogłabym zostać na uczelni, ale że podoba mi się wizja spłacenia moich studenckich długów, zanim będę miała wnuki, parę lat temu zaczęłam pracować w start-upie, który wysyła pudełka subskrypcyjne.

Uniosła kruczoczarne brwi o naturalnie dramatycznym wyrazie i pokiwała z podziwem głową.

– Och, nieźle. Są chyba bardzo modne, prawda? Co w nich jest?

– Cóż... – Moje policzki zrobiły się ciepłe i zagryzłam dolną wargę, zastanawiając się, czy tylko to sobie wyobrażam, czy naprawdę popatrzyła na moje usta. – Firma nazywa się, yyy... Enchantify. „Czarodziejskie skarby, które obudzą w tobie wiedźmę”. Kadzidło, kule do kąpieli oczyszczające czakry, stylowe wahadła, te sprawy. Ja mam wymyślać koncepcję, a potem co miesiąc pozyskiwać przedmioty od lokalnych producentów.

– Rozumiem... – Na jej wargi wstąpił podejrzliwy uśmiech. – Mogę zapytać, jaki był wrześniowy temat?

– „Odnajdź swoją wewnętrzną boginię” – przyznałam, a moje policzki zapłonęły. Zdawałam sobie sprawę, że w fakcie, że była wiedźma sprzedaje pseudomagiczne artefakty, tkwi pewna ironia. – Znajdowało się w nim pudełko trufli z ręcznie malowaną talią kart tarota i kryształami do medytacji. Tak żebyś mogła odnaleźć swoją wewnętrzną boginię, gładząc kawałek pozyskanego ze zrównoważonych źródeł selenitu i podjadając rzemieślniczy nugat. Jak wiesz, wiedźmy nic innego nie robią.

– Sama zamierzałam to dzisiaj robić, ale zdecydowałam, że przyjdę tutaj. – Teraz uśmiechała się już szeroko, przeciągając palcami po krawędzi kieliszka. Ale w jej żartach nie było złośliwości. – A zatem chcesz powiedzieć, że pozwalasz laskom poczuć się wiedźmami, tak?

– Mniej więcej – przyznałam. – Trudno o coś dalszego od prawdziwej magii, ale, bez fałszywej skromności, jestem w tym zajebista. To naprawdę niezły interes. Jest tyle insta-wiedźm, że można się o nie potknąć.

Talia bawiła się słomką, bardziej zamyślona niż kpiąca.

– Żarty na bok: to naprawdę niegłupie. Cały czas próbuję przekonać Elenę, żeby Emporium było obecne też w onlajnie, ale ona jest straszną tradycyjalistką. Twierdzi, że to by źle wpłynęło na „autentyczność”. – Narysowała cudzysłów w powietrzu i przewróciła oczami. – Jakby trzeba było zyskać prawo do kupowania, fizycznie się tam pojawiając – przecież to nie pogańska pielgrzymka, tylko coś w rodzaju wiedźmińskiego Walmarta.

Avramovowie byli właścicielami Arcane Emporium na Hyssop Street – ogromnego supermarketu z artykułami okultystycznymi: od magicznych narzędzi i ziół przez sesje wróżbiarskie po seanse spirytystyczne; przylega do niego nawet nawiedzony dom. Trudno było mi sobie wyobrazić, by Elena, matka Talii i wielka matriarchini Avramovów, miała pozwolić w swej nadprzyrodzonej siedzibie na coś tak plebejskiego jak PayPal, Square i URL-e.

– Może ma rację – powiedziałam, wzruszając ramionami. – Nawet nie wiesz, ile znalazłam w sieci „czarodziejskich artefaktów”, ale żaden nie był prawdziwy. Poza Thistle Grove muszą żyć jakieś wiedźmy, ale jeśli którakolwiek z nich mieszka w Chicago, dobrze się chowa.

Nie powiedziałam jej za to, jak opresyjne bywało życie bez magii dla kogoś, przez kogo przenikała ona niczym elektryczny prąd; jej nieobecność była głębokim, nieustępliwym bólem, który zapuszcza korzenie w komnatach twojego serca niczym rozpleniające się chwasty. Jednym z powodów, dla których trafiłam do Enchantify, był fakt, że ta (nieźle płatna) okazja do wyszukiwania choćby fałszywie czarodziejskich narzędzi zaspokajała jakąś głęboką tęsknotę, z którą nie umiałam sobie inaczej poradzić.

Chciałam jednak, żeby wiedziała, że mimo to radzę sobie świetnie. Bo też była to prawda: radziłam sobie lepiej, niż kiedykolwiek zdołałabym tutaj.

Talia pokiwała głową, zamyślona, wpatrując się w dal.

– I co, nie było cię... z dziesięć lat?

– Dziewięć.

– Na pewno czasem jest ci trudno. Kilka lat uczyłam się finansów na uniwersytecie w Carbondale – dodała, wymieniając nazwę najbliższej w miarę dużej miejscowości. – Chciałam lepiej prowadzić księgi Emporium, bo tym się teraz zajmuję, no i jeszcze śmiesznymi turystycznymi bzdurami. Myślałam nawet o studiach, ale nie znosiłam tego, jak znikająca tam magia. Kurwa, ta słabość... nie mogłam tego wytrzymać.

– Można się przyzwyczaić – powiedziałam. Było to prawdopodobnie jedno z największych kłamstw, jakie udało mi się w życiu wypowiedzieć. Choć, szczerze, ja w porównaniu z Talią zawsze byłam słaba. – No i są też plusy, bardzo dobre sushi i zajebiste pierogi. No i fakt, że doceniają cię za coś innego niż twoje drzewo genealogiczne.

Talia zerknęła na mnie podejrzliwie, ale zanim zdążyła się odezwać, Morty szerokim gestem ustawił przed każdą z nas trzy ekstrawagancko ude-

korowane mini-koktajle.

– Oto przed wami demoniczna dekadencja, dyniowe pandemonium i seksowna syrena. Zdrowie pań.

– Dziękujemy bardzo, skarbie – powiedziała Talia, obiema rękami przyciągając do siebie koktajle, jak animowany smok zbierający swoje skarby. Morty uśmiechnął się do niej i uwodzicielsko mrugnął, po czym schował się z powrotem na zapleczu.

– Od czego zacząć, skoro wszystkie opcje są równie przerażające? – zastanawiałam się na głos, sceptycznie spoglądając to na brokatową powierzchnię seksownej syreny, to na odblaskowo pomarańczową pianę dyniowego pandemonium.

– Nie bądź koktajlową snobką, Harlow.

– Nie wszyscy mieliśmy szczęście urodzić się wielbicielami rozpuszczonych żelków, Avramov.

Uniosła groźnie palec.

– Nie urodziłam się ich wielbicielką, pokochałam je dzięki ciężkiej pracy i poświęceniu.

Kiedy wybuchłam śmiechem, znów uśmiechnęła się do mnie jak wilczyca i zmrużyła oczy.

– Po prostu mi zaufaj, dobra? Przysięgam na honor, że będziesz mile zaskoczona.

Podniosła swoją demoniczną dekadencję w – trzeba przyznać – uroczym kieliszku z ogonem diabła owiniętym wokół nóżki.

– Za jebanego Garetha Blackmoore’a – powiedziała, podając mi kieliszek – którego serce jest ciemniejsze nawet od jego rodzowego nazwiska. Niech codziennie wchodzi w kałuże i niszczy swoje nieciekawe, a bardzo drogie włoskie buty, aż do końca życia. I niech to życie będzie tak krótkie i brutalne, jak obiecują poeci.

– Za toast, którego nie sposób ulepszyć – zgodziłam się, stukając się z nią moją plastikową dynią, a następnie podejmując ryzyko spróbowania mojego napoju. Był kremowy, ale nie mdlący, smakował bourbonem i klonowym bittersem, z odrobiną aromatu słodkiego ciasta dyniowego w tle.

Był też tak mocny, że poczułam, jak dym unosi się z mojego brzucha do klatki piersiowej, jakby rozpalono w nim świeże ognisko.

– Pyszne, co? – powiedziała zadowolona z siebie Talia, dostrzegając mój zaskoczony wyraz twarzy. – Mówiłam. Morty jest najlepiej strzeżoną

tajemnicą tego miasta. To znaczy, jeśli nie liczyć całych pokoleń prawdziwych wiedźm.

– Przyznam, że znacznie mniej przypomina „drink miesiąca” w Chili’s, niż się obawiałam.

– Ha! – Wskazała na mnie swoją wykałaczką, po czym ugryzła czubek nabitej na nią truskawki w czekoladzie. W moim pijanym umyśle pojawiło się pytanie, jak smakowałyby jej pocałunek – kwaśny, owocowy, kandyzowany – ale pospiesznie je stamtąd wygnałam. – Czyli przyznajesz, że piłaś kiedyś koktajl w Chili’s!

– Owszem, zdarzyły mi się takie błędy młodości jak nocna wizyta w Chili’s, ale teraz już bym nic podobnego nie uczyniła. To się nazywa rozwój osobisty.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Wzięłam jeszcze kilka łyków, aż poczułam, że moja głowa jest jak balon powiewający luźno gdzieś nad moją szyją. Przyszła mi do głowy niepokojąca myśl, że od bardzo dawna nic nie jadłam, ale zlekceważyłam ją, zakładając, że zajmę się tym kiedy indziej.

– No dobra – Talia szturchnęła mnie ramieniem. – Miałaś mi opowiedzieć o tym, jak Gareth wygonił cię z miasta.

– To prawda – wychyliłam resztę pandemonium, żeby dodać sobie płynnej odwagi, i zaczęłam bawić się pustą plastikową dynią. – Ale nie było to aż tak dramatyczne wydarzenie. Zaczęliśmy się spotykać, kiedy kończyłam pierwszą klasę. Tuż przed ukończeniem przez niego szkoły i wakacjami. Nalegał, żebyśmy trzymali to w sekrecie; twierdził, że Blackmoore’owie mają wielu wrogów. Już wtedy powinnam się była zorientować, że coś jest nie tak.

Myślenie o tamtym lecie, o upale, w którym ulgę przynosiła bryza znad Jeziora Damy – lato w Thistle Grove było równie doskonałe co wszystkie pozostałe pory roku – sprawiało mi głęboki, tępy ból, jakbym dźgała grubą bliznę. W maju Gareth zaczął zostawiać w mojej szafce magiczne przedmioty i liściki. Monetę, która zmieniała się w kolibra z bilecikiem przyczepionym do cienkiej jak igielka nóżki, a potem znikwała jak obłoczek. Gwiazdki z origami, które wybuchwały jak fajerwerki układające się w napisane specjalnie dla mnie haiku.

Oklepane, szczeniackie zaklęcia, które zdawały mi się wtedy najbardziej romantycznymi z gestów.

Zwłaszcza że siedemnastoletnia Emmy Harlow w najśmielszych snach nie mogłaby przypuszczać, że Gareth Blackmoore – potomek najpotężniejszego z rodów, kapitan drużyny koszykówki i najprzystojniejszy okaz samca w Thistle Grove High – się nią zainteresuje.

– Któż by się nie dał porwać – powiedziała ostro Talia, kiedy opisałam jej całą sytuację, ale niechęć w jej głosie nie była skierowana do mnie.

– Prawda? Było to też głęboko absurdatne. Ale ja czułam się ważna, kiedy mnie dostrzegł. – Zamieszałam słomką w drinku. Skrzywiłam się, patrząc na mały wir w napoju. – Nie wiesz, jak to jest dorastać jako jedna z Harlowów, wiecznie na ostatnim szczeblu magicznej drabiny. Urodzić się jako ktoś kompletnie przeciętny i mieć świadomość, że nigdy nie dotrzesz na szczyt, choćbyś się bardzo starała.

– Wiesz, my też nie jesteśmy równie potężni co Blackmoore'owie – zwróciła uwagę Talia. – Nikt nie jest.

– Może i nie, ale plasujecie się na drugim miejscu – zaprotestowałam. – Nawet Thornowie potrafią robić zajebiste rzeczy, podczas gdy my ledwie mamy jakiegokolwiek moce. Ale kiedy byłam z Garethem... nie chodziło tylko o to, że się w nim zakochałam. Najbardziej odurzające było to wrażenie, że skoro on widzi we mnie coś wyjątkowego, to być może naprawdę jestem kimś więcej niż tylko „tą małą Harlow”. Że może wciąż mogę stać się kimś więcej, nawet pozostając tutaj.

Zawsze byłam też na tyle ambitna, że chciałam zostać KIMŚ. Pragnęłam wielkich osiągnięć, poczucia, że mam nad życiem kontrolę. Spełnienia, które można osiągnąć, jedynie stawiając sobie wzniosłe cele, a następnie realizując je jeden po drugim.

– Kurwa – zaklęła ponuro Talia, domyślając się, co wydarzy się dalej w tej smutnej historii. – A wtedy ten dupek cię rzucił.

– Owszem, tak było. Powiedział, że musi myśleć o swojej przyszłości i że nie wyobraża sobie związku na dłuższą metę z kimś z rodu Harlowów. Wydaje mi się wręcz, że uważał, że tak będzie mi łatwiej: „To nie twoja wina, kochanie, tylko twojego nazwiska”.

Moja twarz zapłonęła na wspomnienie upokorzenia, jakie poczułam, kiedy tak beztrosko wypowiedział to okrutne zdanie. Jakbyśmy nie spędzili całego lata nad malowniczymi stawami w jego rodzinnej posiadłości. Jakby nie nadawał mi pieszczotliwych przezwisk, nie przynosił miliona prezencików, jakby nie powiedział mi nawet, że prawie, że niemal, że w zasadzie mnie kocha.

Najwyraźniej nic z tych rzeczy nie miało znaczenia w konfrontacji z moim niefortunnym pochodzeniem.

– Kiedy zapytałam go, z kim wyobraża sobie związek, odpowiedział coś w stylu: „sam nie wiem, z jakąś dziewczynką normalsów?”. – Moje pięści zacisnęły się na wspomnienie jego zaskoczenia. Nie miał pojęcia, jaka partnerka byłaby dla niego odpowiednia, a jednocześnie był absolutnie pewien, że będzie ona lepsza ode mnie. – W każdym razie nie ze mną. O tym był przekonany.

Talia roześmiała się, ale w jej śmiechu nie było wesołości, ale tyle jadu, że nietrudno mi było uwierzyć, że w jej żyłach płynie krew mściwej wiedzy.

– No więc tak – powiedziałam obojętnie, sięgając po demoniczną dekadencję, bo bardzo pragnęłam być jeszcze bardziej pijana, niż już byłam. Smakowała jak gorzka czekolada z ciepłym dodatkiem pieprzu cayenne i w innych okolicznościach stanowiłaby doskonałe rozwiązanie większości moich problemów. – Nie chciałam nikomu o tym mówić, bo obawiałam się, że umrę z zażenowania. No i zdecydowanie nie zamierzałam tu zostać po czymś takim.

Przed Garethem wciąż wyobrażałam sobie przyszłość w Thistle Grove. Po nim zdałam sobie sprawę, że jeśli tu zostanę, nigdy nie będę nikim ponad „małą Harlow”. Ponad nic nieznaczącą osobę, za którą on już mnie uważał.

– A więc w ostatniej klasie zdałam egzaminy, zgłosiłam się do kilku college’ów i przysięgłam, że nigdy tu już nie wrócę. Albo że wrócę dopiero, kiedy będę miała na koncie tak zajebiście dużo osiągnięć, że Gareth zrozumie, jak wielkim był kretynem – zakończyłam. – Jak widzisz, poniosłam dość spektakularną porażkę.

Talia przez dłuższą chwilę milczała, napinając mięśnie szczęki. Potem sięgnęła ku mnie i ułożyła swoją gładką dłoń na mojej.

– Chciałabym, by było jasne, że jeśli dotąd nie miałam pewności, czy Książę Dupków powinien pójść prosto do piekła – wypowiedziała te złośliwe słowa z zaskakującą łagodnością – teraz jestem już absolutnie pewna, że powinien w nim spłonąć.

I na tę chwilę, kiedy czułam ciepło jej skóry na mojej dłoni, na śmierć zapomniałam, kim jest Gareth Blackmoore.



Objawienia i oponki

Następnego poranka wyrwał mnie ze snu mnie budzik. Jasper przytulał się do moich pleców niczym elektryczny koc. Miałam takiego kaca, że żałowałam, że nie umarłam we śnie.

Ledwie pamiętałam, jak Talia odwiozła mnie do domu, jak potem po pijaku dotoczyłam się przez ogród do powozowni i jak w międzyczasie chwilkę leżałam między pierwiosnkami i starałam się je nakłonić, żeby się do mnie odezwały. Prawdopodobnie udało mi się przeżyć tylko dlatego, że – to ostatnie, co pamiętam – Morty podał nam krokieciki ziemniaczane i ulepszone enchilady na długo po tym, jak kuchnia została oficjalnie zamknięta. Pomijając fakt, że to dzięki niej wciąż chodziłam po świecie, enchilada faktycznie była przepyszna.

Znacznie bardziej martwiło mnie wspomnienie rozmowy z Talią.

W trzeźwym świetle dnia, które z okrucieństwem spływało na moją głowę przez znajdujący się bezpośrednio nad nią świetlik, zastanawiałam się, co mnie podkusiło, żeby przeprowadzić z nią tak intymną rozmowę. Jasne, wypłam mnóstwo doskonałego alkoholu – tylko seksowna syrena do niczego się nie nadawała – ale i tak nie było to w moim stylu. Duma zawsze była moją ulubioną wadą. Na trzeźwo wolałabym raczej, żeby seksowna wilczyca Talia Avramov nie miała świadomości, jak okrutnie zranił mnie jebany Gareth Blackmoore.

Ale też rozmowa z nią była... dziwnie przyjemna. Albo może było w niej coś więcej, jakaś naładowana iskra między nami, kiedy Talia zbliżyła do mnie swoją twarz z rozchylonymi, pachnącymi alkoholem ustami i czujnymi, bladymi oczami.

Niestety, zerknięcie na ekran telefonu potwierdziło, że nie mam już czasu na zastanawianie się nad ustami czy zamiarami Talii. Po gorącym prysznicu, który tylko częściowo przywrócił mi chęć życia, zarzuciłam na siebie najbardziej znośne na kacu ubrania, pozostawiłam drzwi otwarte, żeby Jas mógł wyjść, kiedy się obudzi, i pojechałam do Angeliny na brunch z Linden.

Diner wyglądał, jakby czas się w nim zatrzymał, jakby podłoga w szachownicy i zielone boksy zostały zachowana w bursztynie albo jakby rzucono na nie inne zaklęcie. Z głośników wciąż leciał aksamitny blues, a zapach smażonego ciasta, cukru pudru i bekonu otulił mnie niczym wonna pieszczota. Było pusto, jak to w poniedziałkowy poranek, i od razu zauważyłam Linden w jednym z boksów z tyłu. Wstała, żeby mnie przytulić, i wymieniliśmy pozdrowienia.

– No dobra, minęło zdecydowanie zbyt dużo czasu, odkąd ostatnio objęła mnie Linden Thorn – powiedziałam w jej włosy, mocno ją ściskając. – Zapomniałam, jakie to przyjemne.

– A czyja to wina? – zażartowała, kiedy odsunęliśmy się od siebie, żeby rozsiać się w boksie. – Od lat próbuję cię ściągnąć z powrotem.

– Prawda. Cholera, jak tu pięknie pachnie – jęknęłam, opierając się o winylowe płytki i biorąc głęboki oddech. – Zawsze pachniało tak pięknie?

– Widzę, że legendarny żołądek Harlowów wciąż pusty – uśmiechnęła się Lin. Od lat żartowałyśmy sobie z tego, że potrafiłam zjeść konia z kopytami, chociaż to ona była wyższa i okrąglejsza. – Donuty na śniadanie to był doskonały pomysł. Chociaż teraz wydaje mi się, że kwalifikują się też jako pierwsza pomoc. Rozumiem, że w pierwszą noc po powrocie trochę zaszalałaś?

– Trochę tak – przyznałam. – Zajrzałam do Koniczynowego Kotła i przypadkiem trochę za dobrze się bawiłam, jak to się czasem zdarza. A myślałam, że po prysznicu nie wyglądam już, jakbym przybyła zza grobu.

Przechyliła głowę na bok, jakby się nad tym zastanawiała.

– Nie wyglądasz może jak Samara z *The Ring*, ale owszem, nieco martwo.

Lin dla odmiany wyglądała ślicznie. Chociaż jej włosy były teraz naturalnie kręcone i sięgały ramion, ciemnobrązowa skóra i wielkie, sarnie oczy dziewczyny wyglądały tak, jak je zapamiętałam. Całe metry turkusowego szala owinęła wokół jej szyi i luźnej, beżowej sukienki, a w uszach miała

niesamowicie efektowne, srebrne kolczyki w kształcie piór, z pewnością dzieło jej młodszej siostry. Lark Thorn projektowała biżuterię jeszcze przed moim wyjazdem.

– Czy mogę zaproponować moje usługi? – zapytała, unosząc dłonie i machając wesoło palcami. Chociaż teoretycznie wszystkie rodziny miały dostęp do tych samych uzdrawiających zaklęć, Thornowie byli zdecydowanie najlepszymi lekarzami. Talent ten pozostawał w zgodzie z ich upodobaniem do zielonej magii naturalnej, które zawdzięczali swoim przodkom, irlandzkim druidom.

– Ależ oczywiście, podaj mi dłonie – odpowiedziałam, pochylając się ku niej. – Chciałabym móc udawać, że wciąż jestem tym imprezowym zwierzęciem, które pamiętasz sprzed lat, ale w rzeczywistości moja sytuacja jest dość ponura.

– Och, tak, pamiętam to imprezowe zwierzę, które samo wyznaczało sobie „godzinę policyjną” w sobotę, żeby „nie marnować niedzieli na kaca” – zażartowała, przyciskając palce do moich skroni.

– Właściwa etyka pracy jest bardzo ważna, Linden.

Prychając z sympatią, zamknęła oczy i wyszeptła zaklęcie. Przez moją głowę przepłynęła spirala miodowego ciepła, a w ciemności pod moimi powiekami rozbłysły jaskrawe plamy ametystu i szmaragdu. Uzdrawiająca magia była cudowna; pocieszająca, a jednocześnie niewypowiedzianie luksusowa, niczym sesja masażu i aromaterapii z jedną z tych ciepłych, pachnących piernikiem poduszek pod głową.

– Ech, nie uda mi się usunąć wszystkich objawów – powiedziała, wycofując się, krzywiąc i potrząsając rękami, jakby część mojego kaca przykleiła jej się do rąk. Może tak było; nigdy nie byłam dość silna, żeby wykorzystać uzdrawiające zaklęcie w praktyce, więc nie wiedziałam, jak działają. – Niestety, Rowan wciąż jest w tym lepszy ode mnie.

Pokręciłam głową na próbę i z ulgą odkryłam, że tępy ból znacząco zelżał, chociaż wciąż czułam się słabo i było mi trochę niedobrze.

– Jak się ma twój brat? – Nigdy nie przyjaźniłam się z bliźniakiem Linden, ale miałam miłe wspomnienie spokojnego, żylastego chłopca o uroczym uśmiechu, który nastawiał złamane skrzydełka wróbli i znosił do sypialni bezdomne kotki. – Wciąż stara się uleczyć każdego ptaszka i bezdomnego zwierzaka, jakiego znajdzie?

– W zasadzie tak. W zeszłym roku przejął po naszym ojcu stanowisko weterynarza w stodole.

Zanim zdążyła powiedzieć więcej, kelner o twarzy dziecka podbiegł do nas z dzbankami kawy i zimnej wody, wyraźnie spragniony napiwku. Zerknięcie na kartę dań potwierdziło, że oferta Angeliny niewiele się zmieniła od mojej ostatniej wizyty. Kiedy chłopak przyjął nasze zamówienie, wypilałam duży łyk wody i uniosłam brwi.

– Czy to znaczy, że Aspen przeszedł na emeryturę?

– Nie, tylko trochę odpuścił codzienne operacje. Nazwijmy to półemeryturą. Wciąż razem ze mną zajmuje się też logistyką w sadzie; jest zbyt uparty, żeby odpocząć choćby przez jeden dzień. U mamy i Lark też wszystko w porządku, wciąż o ciebie pytają.

Uśmiechnęłam się na myśl o żywiołowej siostrzyczce Linden i ich dostojnej matce, Gabrielle, która była dla mnie jak trzeci rodzic.

– A co u ciebie? – spojrzałam na nią znacząco. – Ostatnio coraz rzadziej słyszę o romansach. Jak mam być na bieżąco w przyjaźni, nie wiedząc, kto spełnia cielesne potrzeby mojej psiapsi?

Lin zagryzła wewnątrz policzka i uśmiechnęła się do mnie z nietypową powściągliwością.

– Nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Ostatnio mniej się zajmuję randkami, bardziej sobą i pracą.

Zmrużyłam oczy, zaskoczona. Linden była jedną z najbardziej energicznych randkowiczek, jakie znałam; szczerze wierzyła, że w poszukiwaniu miłości chodzi w gruncie rzeczy o liczby, że to loteria, w której wygrasz, jeśli kupisz wystarczającą liczbę losów. Rezygnacja z randek wydawała się w jej przypadku czymś fundamentalnie niewłaściwym, jakby cały wszechświat wstał lewą nogą.

– Jest mi... trochę trudno mi w to uwierzyć, Lins – powiedziałam możliwie taktownie. – Biorąc pod uwagę, że odkąd cię znam, nie zdarzyło ci się „mniej zajmować” randkami. A znam cię całe życie. Umawiałaś się z chłopakami już w trzeciej klasie – czy mam ci przypomnieć Tommy’ego Giacomo, który nosił fryzurę na Biebera i kolekcjonował robaki, co zresztą miało w sobie coś z niszczycielskiego uzależnienia?

Roześmiała się lekko, wciąż unikając mojego wzroku.

– Faktycznie, wcześniej zaczęłam. Musiałam się kiedyś wypalić.

Przyjrzałam się jej dokładniej, kiedy zajęła się bazgraniem po powierzchni wody. Wisiała nad nią jakaś chmura, jakby zabarwił ją smutek, który nie pasował do radosnej, słonecznej osoby, z którą spędziłam dzieciństwo i czas dorastania. Rzeczywiście w ostatnim czasie nasza koresponden-

cja stała się nudniejsza, ale przypisałam to długiej rozłące. Naturalnemu dystansowi, który pojawił się, gdy nasza przyjaźń ewoluowała, z konieczności mniej intymna niż taka, która opiera się na wspólnych doświadczeniach.

Ale teraz, kiedy Linden siedziała naprzeciwko mnie i wydawała się tak szalenie smutna, to świadome oddalenie napełniło mnie bolesnym poczuciem straty. Ileż migotliwych nocy spędziłam z nią w sadzie; pijane cydrem wyśmiewaliśmy turystów, którzy wybierali się na wycieczki na wozie z sianem, piknikowałyśmy w ukrytych kątach labiryntu z żywopłotu, który wysuwał kolce, kiedy próbował tam wejść ktoś poza nami, a następnego dnia na kacu objadałyśmy się upieczonym przez jej ciotkę plackiem z owocami z sadu.

Oczywiście miałam dobrych przyjaciół także w Chicago – takich, którzy zostaliby ze mną na noc w szpitalu, gdybym miała zapalenie wyrostka, a co lepsze takich, którzy podzieliliby się ze mną hasłem do Netflixu czy Hulu. Ale nie było tam nikogo, kto by ze mną dorastał albo rzucał zaklęcia w sercu miasta tak czarodziejskiego, że zdawało się żywe.

Na stole pojawiło się jedzenie, które – jako mój absolutny priorytet – odsunęło na bok wszystkie troski. Przekroiłam widelcem pączka i aż zamknęłam oczy, by lepiej poczuć jego idealny smak. Kiedy sięgałam po mlecznego szejka Lin, żeby skraść jej łyk, obok niej pojawiła się szczupła postać o kruczoczarnych włosach.

– Siema, Harlow – powiedziała Talia, szturchając nieprzekonaną Linden, aż ta się przesunęła, i uśmiechając się do mnie w taki sposób, że od razu zapłonęły mi policzki. – Cieszę się, że wciąż widzę cię wśród żywych. Przyznam, że miałam pewne wątpliwości.

Jej czarne fale lśniły, podobnie jak skóra, a spod burgundowego topu wystawały porcelanowe ramiona: wyglądała, jakby nasza noc pijackiej rozpusty nie tylko jej nie zmęczyła, ale jakimś cudem jeszcze dodała jej uroku, jakby umyła sobie twarz poranną rosą niczym jakaś słowiańska nimfa. Zaczęłam się zastanawiać, czy prawdziwa była plotka, jakoby Avramovowie podpisali pakt z diabłem, który zapewniał im wieczną młodość i urodę.

– Jasna cholera, Tal – mruknęła Linden, zanim zdążyłam się odezwać. Ukryła twarz w dłoniach. – Co ty tu robisz tak wcześnie? Miałaś dać mi więcej czasu!

– Tal? – powtórzyłam powoli, zaskoczona przenosząc wzrok z jednej na drugą. Nie pamiętam, żeby przez wszystkie lata znajomości naszych rodzin,

te dwie dziewczyny wymieniły coś ponad powierzchowne pozdrowienia. – Jesteście teraz kumpelami, które zwracają się do siebie zdrobniale i wpadają niespodziewanie na brunch? To... ciekawe.

– Jest taka sprawa, Harlow: otóż mamy dla ciebie propozycję – odparła Talia, układając ręce na stole i krzyżując nadgarstki niczym leniwa kocica. – Wybacz mi, Lin, że przyszedłam tak wcześnie, ale miałam pewne obawy, że stchórzysz i nic jej nie powiesz. Możesz mnie przekląć.

Ściek moich myśli kazał mi skupić się na słowie „propozycja”. A jako że Linden знаła mnie od lat, od razu się tego domyśliła i przewróciła oczami.

– Nie o taką propozycję chodzi, Em. Zapnij rozporek.

– Zaraz, a więc to jakaś zmowa? – Mrużę oczy, coraz bardziej zaskoczona. – Nie tylko zwracacie się do siebie pieśczośliwie, ale też wchodzić w konszachty? Co jeszcze mnie ominęło? Nadeszła jakaś nowa epoka czy jak?

Historycznie rzecz ujmując, Avramowie i Thornowie nigdy za sobą nie przepadali. Avramowowie byli czarodziejami spod znaku burzy i naporu, praktykowali raczej ciemniejszą stronę magii niż pracujący z naturą i światłem Thornowie, jednak nawet oni trzymali się z daleka od naprawdę niebezpiecznych rzeczy, takich jak przekleństwa.

Przynajmniej tak mi się wydawało – z nimi nigdy nic nie wiadomo.

– Nie nadeszła „nowa epoka”. – Talia przechyliła głowę, zamyślona. – Chociaż to byłoby spoko. Jednak krąg wiedźm wzgardzonych przez Garetha Blackmoore’a jest niniejszym kompletny.

– O czym ty mówisz, Talio? – zapytałam. – Owszem, ty i ja mamy za sobą nieudane związki z Garethem, ale Lin nawet...

Umilkłam, przypominając sobie chłód przenikający ostatnie listy Linden, jej wycofaną postawę, spowijający ją woal smutku.

– Linden Sharee Thorn – powiedziałam, czując jak do gardła podchodzi mi fala świeżego bólu. – Czy ty również masz za sobą nieudany związek z Garethem Blackmoore’em?

Linden schowała twarz w dłoniach i westchnęła tak głęboko, że usłyszałam powietrze przefruwające jej przez palce. Kiedy wreszcie je opuściła, wyglądała na tak zasmuconą i pełną poczucia winy, że prawie zaczęłam jej żałować.

Prawie robi jednak różnicę.

– Przykro mi, Em, naprawdę – wymamrotała, żując wewnątrz policzka i wciąż unikając mojego wzroku. – Przecież tego nie planowałam! Spędza-

liśmy razem dużo czasu, negocjując z Blackmoore'ami umowę, dzięki której moglibyśmy podawać nasze wiśniowe wino i brandy w Camelocie. To się po prostu... wydarzyło.

Camelot był najbardziej lukratywnym holdingiem rodziny Blackmoore'ów, ogromnym historycznym jarmarkiem, którego siedzibę stanowił najprawdziwszy zamek, gdzie turyści mogli brać udział w immersyjnych przedstawieniach teatralnych, średniowiecznych turniejach, spektaklu w stylu Cirque du Soleil pełnym popisowych czarów Blackmoore'ów, a także odwiedzić tematyczne restauracje i bary.

Był też, moim zdaniem, ucieleśnieniem wieśniactwa.

– Nie było cię od tak dawna – dodała Linden, kuląc ramiona, zapewne zawstydzona żenującą słabością tej wymówki. – Nie sądziłam, że cię to w ogóle obejdzie, jeśli się ze sobą zwiążemy.

– I naprawdę uwierzyłaś, że będziesz z nim żyć długo i szczęśliwie, Lin? – zapytałam, bo nie mogłam uwierzyć, że moja przyjaciółka mogła okazać się tak naiwna. I że była gotowa zrobić mi coś takiego. – Naprawdę, Gareth Blackmoore? Po tym, jak mnie potraktował?

– Jako dzieciak był strasznym dupkiem – powiedziała, zagryzając wargę. – I dobrze wiem, że okrutnie cię zranił. Ale teraz jest dorosły i, jasne, może to było dziwne i głupie z mojej strony, ale przez chwilę wydawało mi się, że coś naprawdę między nami jest. I przysięgam, że nie sądziłam, że tak bardzo cię to zdenerwuje po tylu latach. Zresztą nie wiedziałam, czy w ogóle wrócisz.

Po części miała rację. Kiedy pożegnałam się z Thistle Grove tak definitywnie, jak tylko potrafiłam, zaczęłam nawet godzić się z faktem, że nieuchronnego końca dobiegnie także moja przyjaźń z Linden. Biorąc pod uwagę moje wybory, nie miałam żadnego powodu, by czuć się zdradzoną przez jej decyzję.

Ale i tak bolało, jakby mnie zdradziła.

– Oboje uważaliśmy, że lepiej będzie trzymać to w sekrecie, przynajmniej przez jakiś czas – ciągnęła. – Dać sobie przestrzeń. Wiesz, że nasze rodziny lubią gadać.

– Dzięki temu na boku mógł pieprzyć się ze mną – włączyła się Talia, jak zawsze pomocna. Linden zmarszczyła brwi i walnęła ją lekko pięścią w brzuch. – My też umawialiśmy się w tajemnicy, zwłaszcza że to była luźna relacja. Jak się domyślasz, on był zachwycony – przynajmniej, póki moja siostra nie spotkała go z Lin na romantycznej kolacji w Carbondale.

Dupek ma szczęście, że udało mi się uspokoić Isidorę. Gdyby nie to, z uszu dalej wychodziłyby mu pajaczki.

– Gareth Blackmoore zdradzał moją najlepszą przyjaciółkę z Talią Avramov – wyszeptalam, szczypiąc się w skrzydełko nosa tak mocno, jak tylko umiałam, żeby ogarnąć jakoś tę mentalną abominację. – Łał, łał, łał.

– Nie wiem, czy nazwałabym to „zdradą”. – Talia puknęła się palcem w brodę.

– Ja bym nazwała – powiedziała ponuro Linden.

– Nie dziwię się, słonko – odparła Talia, gładząc ją po ramieniu. – Zranił cię znacznie bardziej niż mnie. Ja się z nim tylko bawiłam – chociaż, owszem, trwałam w przekonaniu, że jest to zabawa na wyłączność. Ale ty się naprawdę zakochałaś w tym dupku.

– Nie zakochałam się w nim! – zaprotestowała Linden.

Talia z irytacją machnęła ręką na kwestie semantyczne.

– No dobrze, w takim razie pożądałaś go i byłaś w ten związek zaangażowana emocjonalnie. Nazywaj to jak chcesz, ale nie udawajmy, że nie zламаł ci serca.

Linden wciągnęła powietrze ze świstem i zacisnęła wargi, po czym pozwoliła sobie na lekkie kiwnięcie głową. Poczułam kolejne ukłucie bólu na myśl o tym, że moja najlepsza przyjaciółka z dzieciństwa i mój wredny eks nie tylko byli parą, ale ich relacja była tak bliska, że jej koniec unieszczęśliwił Lin. Cokolwiek się między nimi wydarzyło, musiało być głębsze niż zwykły flirt.

– Próbował przekonywać, że „to nic nie znaczyło” – dodała ostro Linden. – Ale w takie bzdury nigdy bym nie uwierzyła.

– Ja też uważam, że to bujda. Mogę powiedzieć z przekonaniem, że pójscie ze mną do łóżka zawsze wiele znaczy – zażartowała Talia. Ale w jej oczach pod nonszalancką fasadą czaił się gniew; najwyraźniej wciąż bolała ją lekkomyślność, z jaką potraktował ją Gareth.

– No i jestem jeszcze ja, ode mnie się zaczęło. Jesteśmy jak sabat wzgardzonych czarownic – wyszeptalam, przeciągając dłonią po twarzy z żalnością. – Może jednak nowa epoka nadeszła. I to okrutna.

– Albo może zajebista – zaprotestowała Talia, a na jej wargach zamigotał groźny uśmiech. – Być może nadeszła pora zemsty na zarozumiałych dupkach, którzy myślą, że mogą sobie robić z nas wszystkich jaja. Poczynając od księcia chujków, Garetha Blackmoore’a.



Pakt mściwych wiedźm

– To co dokładnie proponujecie? – zapytałam, biorąc łyk ledwie ciepłej kawy, żeby przywrócić do życia mój senny umysł.

– Oczywiście słodką zemstę – odpowiedziała Talia, krzyżując ramiona i rozpierając się. – Kiedy odkryłam, co się dzieje, odezwałam się do Lin, żeby zapytać, czy interesuje ją rewanż. Bo oczywiście nie wolno odpuścić takiego sukinyństwa.

Zerknęłam podejrzliwie na Linden, która nigdy nie wyznawała filozofii „oko za oko, ząb za ząb”, lecz raczej wierzyła w karmę i to, że każdego spotka dokładnie to, na co zasłużył, ale ona kiwała tylko głową, niewzruszona i zdeterminowana. Najwyraźniej Gareth znów zostawił za sobą zgliszcza. Przez chwilę zastanawiałam się, jak to możliwe, że wciąż udaje mu się przekraczać samego siebie w nagannych zachowaniach, jakby planował zostać najgorszą wersją siebie.

Z pewnego punktu widzenia te jego machlojki robiły wrażenie.

– Najpierw pomyślałam sobie, że może Issa ma rację – ciągnęła Talia – i warto by było przyjrzeć się jakimś przekleństvom. Wiesz: dożywotnie problemy z erekcją, niekontrolowany wzrost włosów łonowych, te sprawy. Jednak ta tutaj, panna Pluszowa Panda „nie chciałaby wyrządzać mu krzywdy”.

Ostatnie słowa podkreśliła cudzysłowem narysowanym w powietrzu i przewróciła oczami, jakby awersja do wyrządzania krzywdy oznaczała godną pożałowania słabość charakteru. Linden mrugnęła i pod nosem powtórzyła: „pluszowa panda”.

– Pluszowa Panda? – spytałam, cudem powstrzymując się od śmiechu.

– Jak pluszowy miś, tylko jeszcze gorzej – odparła Talia, wzruszając ramionami z przesadną emfazą. – Nawet tych, co zasłużyli, nie chce wbić na pal.

– Zaczniemy od tego, że nie jestem żadną pluszową pandą – zapewniła żarliwie Linden, kiedy już odzyskała zdolność mówienia. – Ale rozumiem, że posiadanie zasad moralnych jest dla ciebie czymś bardzo dziwnym. Po drugie, przestań udawać, że jesteś jakąś wyjątkowo wredną wiedźmą. Z tego, co pamiętam, sama też nikogo nie chciałaś przeklinać.

– Przyznaję, że wolę się nie pierdolić z ciemnymi mocami, kiedy dostępna jest alternatywa. A, na szczęście dla nas, tak właśnie jest. – Pochyliła ku mnie głowę, a jej leniwy uśmiech załśnił jak ostrze. – Na scenę wkracza ostatnia członkini sabatu mściwych wiedźm.

– A niby co miałabym robić? – zapytałam, a z mgły zasnuwającej mój umysł wyłoniła się góra lodowa podejrzeń. – Czyżby miało to coś wspólnego z Zawodami w Zagajniku?

– A i owszem. Bo cóż byłoby dla Garetha gorszą karą od turniejowej porażki z Rowanem Thornem? – Talia zagryzła dolną wargę, szeroko otwierając szare oczy. – Albo, jeszcze lepiej: co byłoby gorsze od przegrannej ze mną?

Pośród emocjonalnych turbulencji poprzedniego wieczora i kaca, który po nich nastąpił, kompletnie mi umknęło, że podczas gdy ja miałam sędziować w turnieju, Gareth, Talia i starszy o sześć minut brat bliźniak Linden mieli ze sobą rywalizować jako potomkowie Blackmoore’ów, Avramovów i Thornów.

– Załóżmy, że w ogóle da się to zrobić, a jako że Blackmoore’owie wygrywają od zawsze, wydaje mi się to mało możliwe – zaczęłam. – Ale jeśli nawet, to po co? Naprawdę uważacie, że powstrzymanie Garetha przed zdobyciem stanowiska „magicznego mera” Thistle Grove aż tak bardzo go zrani? Ma już wszystko, czego mógłby zapragnąć. Po co mu jeszcze kolejny tytuł?

Talia przechyliła głowę jak niezadowolony kruk i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Serio, Harlow? – zapytała. – Wiem, że dawno cię tu nie było, ale nawet ty musisz wiedzieć, że tytuł zwycięzcy turnieju nie jest jedynie honorowy. Ogromnie zwiększa magiczną moc zwycięskiej rodziny, sprawia wręcz, że fortuna zaczyna jej bardziej sprzyjać. Nie wspominając o długo-

wieczności. Babcia Garetha, Igraine, zwyciężyła pięćdziesiąt lat temu i wciąż wygląda jak seksowna lisica.

– Tal, fuj!

– No co, Lin? To prawda. – Talia szeroko otworzyła oczy, wyraźnie zachwycona oburzeniem Linden. – Blackmoore’owa wdowa jest wstrętną harpią bez serca, ale stanowi też doskonale zachowany egzemplarz kobiety przed osiemdziesiątką.

– Przejdźmy dalej – powiedziała Linden z lekkim drzeniem. – No i spójrzmy, co Blackmoore’owie zrobili przez te wszystkie wieki kolejnych zwycięstw. Są multimilionerami i absurdalnie potężnymi czarownicami.

– No właśnie – zgodziłam się. – A przez to ich zwycięstwo jest w zasadzie samospełniającą się przepowiednią.

– Ale na tym polega piękno naszego planu – nalegała Talia, przeczesując dłonią swoje lśniące włosy. Jej oczy były pełne przekonania. – Chcemy z Lin stanąć przeciwko nim jako drużyna. Nikt tego dotąd nie zrobił; ani razu przez trzysta lat historii Thistle Grove.

Skrzyżowałam ramiona na piersi i oparłam się o świszczącą tapicerkę. Zmrużyłam oczy.

– Pamiętasz, że to ja sędziuję? Zakładam, że rola ta obejmuje wykrywanie wszelkich machlojek. A nie wydaje mi się, żeby zmowa dwóch rodzin przeciwko trzeciej była zgodna z zasadami.

– Fakt, że nikt tego dotąd nie zrobił, nie oznacza jeszcze, że to zabronione – odparła Talia, wykrzywiając łobuzersko wargi. Mina pasowała jej doskonale, jak w zasadzie wszystkie miny, które dotąd widziałam.

– Tak twierdzi nasza koleżanka o wątpliwych zasadach moralnych – wtrąciła się Linden. – Aczkolwiek w tym przypadku muszę się z nią zgodzić, Em. Przejrzałam zasady turnieju, łącznie z tym, co zapisano małym drukiem, i nie znalazłam żadnej informacji o tym, by sojusze były zakazane.

– Zrobiliśmy porządny risercz, Harlow – podkreśliła Talia, dostrzegając moje wahanie. – A jeśli Thornowie, Avramowowie i Harlowowie sprzysięgną się przeciw Blackmoore’om, naprawdę będziemy mieć szansę.

– Nie możesz wliczać Harlowów – zwróciłam uwagę. – Niezależnie od mojego miejsca w całym tym planie, arbiter musi być bezstronny.

– Pewnie, ale to nie znaczy, że nie możesz być częścią spisku – zaprotestowała Talia. – Zacznijmy od tego, że twoja rodzina pisze kronikę magicznej historii tego miasta od jego powstania. Jeśli zgodzisz się nam pomóc,

w Woluminach odnajdziesz na pewno mnóstwo informacji o turnieju. Nie sugeruję żadnego oszustwa... Tylko przewodnik po kolejnych wyzwaniach. Tak, żebyśmy mogli się z Rowanem przygotować.

– Chcesz powiedzieć, że twój brat też o wszystkim wie? – spytałam, zerkając na Linden.

– Oczywiście – odpowiedziała spokojnie. Wiesz, jak to jest ze mną i Rowanem. On wie, jak... jak się czułam. Odkąd powiedziałam mu, co się stało, chce zemścić się na Garethcie.

– Od jak dawna knujecie? – zapytałam. – Zaraz, zaraz... czy to dlatego przyszedłeś wczoraj do Koniczynowego Kotła, Talio? Chciałeś wyczuć, czy do was dołączyć?

Możliwość ta wzbudziła we mnie nieokreślony niepokój, coś między wstydem a bólem. Jeśli zjawiała się tam tylko ze względu na rodzący się spisek, ta nieoczekiwana iskra między nami nie mogła być niczym więcej niż fikcją zrodzoną w mojej wyobraźni.

– Możesz w to wierzyć lub nie, ale był to szczęśliwy zbieg okoliczności – Talia wzruszyła ramionami, a ja nieco się uspokoiłam. – Zapewne zawdzięczamy go jakimś łaskawym bóstwom. Zastanawiałam się nad tym pomysłem od lata, a my z Linden planowałyśmy sojusz tak czy inaczej. Ale z tobą? Z tobą byłoby doskonale.

Pokręciłam głową, wciąż nie do końca przekonana.

– Czemu się wahasz, Harlow? – spytała Talia, pochylając się nad stołem. Jej spojrzenie wprawiało mnie w zakłopotanie.

– Szczerze? Nie wiem, czy warto się tak męczyć tylko po to, żeby zapobiec kolejnemu sukcesowi Garetha, nawet tak znaczącemu. Nie chcę aż tak bardzo się na nim skupiać. – Pomyślałam o poprzedniej nocy, o łatwości, z jaką na nowo skleił on moją szklanę. – Zwłaszcza że wciąż istnieje spora szansa, że z nami wygra.

Talia zmrużyła zielone oczy i patrzyła na mnie z taką intensywnością, że niemal fizycznie poczułam ciężar jej spojrzenia. Zdawało się mieć szpony i bardzo długie skrzydła.

– Posłuchaj – powiedziała, zaplatając palce na stole. – Wszyscy wiemy, że Gareth prawdopodobnie zwycięży i tak. Ale pomyśl tylko... jakąż by to była zajebista satysfakcja, gdyby zrobił z siebie głupka na oczach wszystkich. Wyobrażasz sobie, jak byłoby wspaniale, gdyby oberwał w tyłek choćby podczas jednego wyzwania?

– Masz sporo racji – przyznałam.

– No raczej, Harlow. Ten zarozumiały dupek przez całe życie miał wszystko podane na tacy, zawsze dostawał dokładnie to, czego chciał. Łącznie z nami trzema. Więc zrobmy coś, żeby tym razem mu się nie udało.

Przenosiłam wzrok ze zbolącej miny Lin na groźne oczy Talii, starając się nadążać za własnymi kłębiącymi się myślami. Gareth odebrał każdej z nas tak wiele, okradł nas jak złodziej. Ukradł moją przyszłość w Thistle Grove, ukradł wiarę Linden w miłość, ukradł Talii...

No dobra, być może tylko zranił jej dumę. Ale duma jest dla Avramowów ważna, a ja to rozumiem: przygodny, zwodniczy sposób, w jaki potraktował ich romans, wyraźnie ją wkurzył.

– Chodzi mi o to, że Gareth i tak już ukształtował moje życie bardziej, niżbym chciała – powiedziałam, starając się wyjaśnić, o co właściwie mi chodzi. – I chociaż wizja upokorzenia go brzmi fantastycznie, przyjechałam tu, bo tradycja turnieju jest ważna dla mojej rodziny. Nie wróciłam dla tego dupka.

Twarz Talii rozluźniła się, przypominając mi zaskakująco łagodny sposób, w jaki mnie wczoraj potraktowała, ciepło jej dłoni na mojej.

– Szanuję to, Harlow – powiedziała. – Naprawdę. Ale pomyśl tylko, że nie chodzi jedynie o niego. Chodzi o wszystkich Blackmoore'ów, którzy od wieków manipulują dla własnych korzyści.

– Co masz na myśli?

– To miasto założyły cztery rodziny. Ale oni chcą mieć całe Thistle Grove dla siebie, odsuwają nas na boczny tor, zwłaszcza odkąd zbudowali ten potworny budynek, który nazwali „atrakcją historyczną”. Postaw się na miejscu turysty – na co wydasz pieniądze, jeśli przyjedziesz tu na Halloween? Na seans w Emporium czy bilet do całego tego pieprzonego średnio-wiecznego zamku?

– Ona ma rację, Em – powiedziała ponuro Linden. – My też jesteśmy pod presją. Blackmoore'owie mają teraz w Camelocie własną farmę dyni i słoneczników, a nawet wystawę dyniowych latarni.

Przypomniałam sobie, jak Gareth chwalił się poprzedniego wieczora kumplom ekspansją Camelotu, a nawet wznosił toast za nowe atrakcje. A zatem z tego był taki dumny: z tego, że ukradł Talii i Lin ich pomysły biznesowe. Nie zdziwiłabym się, gdyby zamierzali otworzyć też księgarnię, tylko jeszcze nie zdążyli tego zrobić.

– Naprawdę musieliśmy w tym roku zacisnąć pasa – ciągnęła Linden. – To dlatego ta umowa na sprzedaż alkoholu była dla nas taka ważna.

Talia pokiwała głową, a jej twarz stężała; delikatne rysy dziewczyny wyglądały jak wyryte w kamieniu.

– Jak tak dalej pójdzie, za sezon czy dwa Emporium będzie musiało się zamknąć.

Na myśl o tym, że Blackmoore'owie mogliby zmienić magiczny klejnot, jakim jest to miasto, w obliczoną na zysk, żenującą atrakcję turystyczną, poczułam nagłą falę złości, przypominającą niezapowiedziany huragan. Jak powiedziała Talia: Thistle Grove to coś znacznie więcej niż Blackmoore'owie. To miasto założyła czwórka czarodziejów, a moc tego miejsca miała zostać podzielona równo między rodziny – nie przywłaszczona przez jedną z nich, dążącą do przyćmienia pozostałych.

Być może założyciele wcale nie stworzyliby turnieju, gdyby wiedzieli, jak to się skończy.

Poczułam nagle, jakie to wszystko niewłaściwe i ogarnął mnie gorzki żal, że tak bardzo oddaliłam się od tego miejsca, że nic o tym wszystkim nie wiedziałam. Być może zbudowałam sobie życie od nowa z dala od Thistle Grove, ale wciąż było to miasto, które mnie stworzyło. Mojej rodzinie, a także Thornom i Avramovom winna byłam próbę przywrócenia równowagi.

A porażka Garetha Blackmoore'a, księcia dupków, byłaby wisienką na torcie.

– Wiecie co, pieprzyć to – uderzyłam dłońmi o blat stołu i zacisnęłam je w pięści. – Wchodzę w to, więdźmy. Zaszalejmy.



Oryginał grymuaru

Kiedy otworzyłam ciężkie drzwi Woluminów & Wróżb, nad moją głową rozbrzmiał dźwięk mosiężnego dzwonka. Czułam powiew zaklęcia identyfikacji, unoszący się w przepełnionym kurzem powietrzu w sklepie, wirujący to tu, to tam niczym wróżka, aż wreszcie wycofujący się do tylnego pomieszczenia. Dało mojemu ojcu znać, kto otworzył drzwi, żeby mógł wyjść do gościa lub go zignorować, zależnie od chęci.

Kiedy czekałam, aż się wyłoni, chodziłam między półkami i gablotami, palcami muskając popękane grzbiety i czarodziejskie przedmioty pomiędzy nimi. Sztylety z pieczęciami na rękojeściach, rzeźbione figurki bogów i bogiń, słoiki pełne suszonych ziół i kadzidełek. Wszystko, czego dotykałam, buzowało ostrzegawczą energią. Zaklęcie ochronne, które było najambitniejszym magicznym przedsięwzięciem mojego ojca, wypełniało całą przestrzeń. Wypełniało każdy z przedmiotów, gotowe, by przypalić lepkie rączki każdego potencjalnego złodzieja czy wandalę, który wszedł do sklepu pełen złych intencji.

Choć James Harlow był człowiekiem dobrodusznym, nigdy by nie pozwolił, żeby coś, za co był odpowiedzialny, zostało zniszczone czy wykorzystane niewłaściwie.

I w drugą stronę. Choć większość znajdujących się tu książek można by napotkać w dowolnej kameralnej księgarni, to mój ojciec był również antykwariuszem i kolekcjonował różne czarodziejskie traktaty. Wiele lat temu podczas odkurzania na jednej z tylnych, wysokich półek napotkałam stary egzemplarz *Necronomiconu*. Wystarczył jeden dotyk, a koszmary nękały mnie przez ponad miesiąc. Ochronne zaklęcie nie pozwalało nikomu wyjść ze sklepu z czymś, z czym nie umiałby sobie poradzić.

– Coś się zmieniło, isquierko? – Usłyszałam za plecami głęboki głos ojca.
– Pachnie tak samo – odpowiedziałam z uśmiechem. Odwróciłam się, żeby go przywitać. Wciąż nade mną górował – swój niski wzrost odziedziczyłam bez wątpienia po mamie – musiał więc się schylić, żeby mnie objąć. Przytuliłam policzek do jego szorstkiej kamizelki w pepitkę. Pachniał też tak samo, jak cedr i mocna kawa wymieszane z wonią starego atramentu na jego palcach. – Nie wiem, czy to możliwe, ale chyba jest jeszcze więcej kurzu. Po moim wyjeździe nie znalazłeś nikogo, kto pomógłby ci sprzątać?

– Nikomu poza tobą bym nie zaufał – poprawił mnie, krzywiąc się w uśmiechu. Kiedy się odsunął, zobaczyłam pajęczynę zmarszczek na jego ogorzałych policzkach. Mój ojciec, mól książkowy, który nauczył mnie grać w szachy i ubóstwiać czytanie, przeczył stereotypowi, bo lubił też spędzać czas na dworze. W każdą sobotę budził mnie o świcie kubkiem darjeeling i zabierał na jakąś wyprawę: czy to na wycieczkę do Hallows Hill, czy to na kajaki na jeziorze. – Zawsze mówiłem, że będę miał tylko jedną uczennicę.

– Podejrzewam, że Delilah nie raz, nie dwa, próbowała się podłączyć – zażartowałam.

Odpowiedział na żart poważnym skinieniem głowy pokrytej ciemnymi lokami, znacznie bardziej siwymi w okolicach skroni, niż je zapamiętałam; była to wyraźna oznaka minionego czasu.

– Powtarzam, isquierko: liczysz się tylko ty.

Nie chciał, żeby mnie to zabolalo. Widziałam to w jego czułych, brązowych oczach skrytych za grubymi oprawkami w beatnikowskim stylu. Ale od dzieciństwa wiedziałam, że tata chciałby, żebym odziedziczyła jego sklep i podróżowała po świecie tylko raz na jakiś czas, tak jak on – teraz wyjeżdżał z Thistle Grove jedynie na poszukiwania rzadkich, starych ksiąg. Tak też poznali się z mamą: ona studiowała anglistykę i literaturę w Oksfordzie, kiedy przyjechał sprzedać pierwsze wydanie jakiegoś tajemniczego arcydzieła bibliotece Bodleian. Wpadli na siebie w lokalnym pubie. Reszta jest historią.

Trudno zapomnieć, że byłam w zasadzie rezultatem miłości moich rodziców do ksiązek. A biorąc pod uwagę, jak bardzo zależało mi na tym sklepie zanim wyjechałam – byłam przekonana, że będzie on częścią mojej przyszłości – nie sposób było nie poczuć, że rozczarowałam ojca każdą swoją dorosłą decyzją.

– Po prostu cieszę się, że wróciłaś – powiedział, wydawszy z siebie dłuższe westchnienie. – Dziękuję, że przyjechałaś, isquierko. Wiem, że żyjesz

innym życiem. To dla mnie wiele znaczy, że znalazłaś czas.

– Nie mogłabym tego przegapić – odpowiedziałam słabym głosem. Było to tak wielkie i tak niezręczne kłamstwo, że policzki omal mi dosłownie nie zapłonęły. Odwróciłam się od niego lekko i przełknęłam ślinę. – Mama mówiła, że tłumy już się zjeżdżają na Halloween?

– O tak, chaos panuje już od tygodni. – Skrzywił się z niesmakiem i potarł bok wąskiego nosa. – W tym roku to już naprawdę przesada. Wydaje mi się, że to budząca się energia turnieju. Może przyciągać tu wrażliwych, nawet uśpionych czarowników. W każdym razie to wyjaśniałoby, skąd ten tłum.

– Ale przecież turniej zaczyna się oficjalnie dopiero w środę?

Ojciec uśmiechnął się do mnie jednym z tych rzadkich, jasnych, zaskakująco zawadiackich uśmiechów. Wyglądał wtedy jak szalony czarodziej, który właśnie uciekł z jakiejś szkoły magii, nie jak spokojny, nie najmłodszy już właściciel księgarni handlującej głównie niegroźnymi książkami. Kiedy się tak uśmiechał, rozumiałam, czemu mama zdecydowała się porzucić całe swoje życie i rozpocząć z nim nowe, po drugiej stronie oceanu.

– Och, zaczął się w chwili, w której przyjechałaś do miasta, isquierko. Albo nawet wcześniej, kiedy zgodziłaś się przyjechać. Nie mów mi, że nie poczułaś, jak Thistle Grove wita Arbitra Turnieju?

– A więc to było to! – powiedziałam, przypominając sobie falę magii, która powitała mnie, gdy przekroczyłam granice miasta. – Omal nie wypadłam z drogi.

Twarz mojego ojca przybrała wieloznaczny wyraz. Zamyślony i pewny, a jednocześnie naznaczony smutkiem. Zniknął on tak szybko, jak się pojawił, niczym stłumione wspomnienie, więc nie zdążyłam go nawet zapytać, o czym myśli.

– Pomyślałem, że opowiem ci trochę o tematach związanych z turniejem – powiedział raźniej i gestem głowy wskazał tył sklepu. – O tym, jak to wszystko będzie wyglądało.

– Bardzo chętnie. Przyda mi się powtórka.

Podążyłam za nim przez labirynt złożony ze stosów książek – mój ojciec nigdy nie miał tutaj bibliotecznego porządku, chociaż w głowie przechowywał szczegółowy katalog całego towaru – i na spiralne schody na tyłach, prowadzące na strych księgarni. To tam schowane były najpotężniejsze księgi, a także kroniki założycielskich rodów i czarodziejska historia miasta, której Harlowowie strzegli od wieków.

Na strychu również było pełno kurzu, chyba jeszcze więcej niż na dole, ale pachniało też słodkim kadzidłem magii Thistle Grove. Woń tę wydawały z siebie same książki, wylewała się spomiędzy ich kart. Jasne światło wnikało do środka przez okna dachowe, a jednak światło było dziwnie złote, takie jak je zapamiętałam. Oniryczne, zabarwione sepią, jakby magia wnikała w molekuly powietrza i czarodziejsko zmieniała ich kolor.

Grymuar czekał na nas, wciśnięty między dwie lampy, na masywnym biurku umieszczonym na cokole, które zajmowało lewy róg strychu – i bynajmniej nie był to skromny egzemplarz Harlowów. To wydanie grymuaru było ogromne, oprawione w skórę, opatrzone złoconą czcionką. Ta wersja książki nuciła, wzywała mnie szeptem, jednocześnie sennym i melodyjnym. Pieśń brzmiała jak duch jakiejś eterycznej serenady wyśpiewywanej przez syreny na skałach; przepiękna, odległa melodia, kusząca i odrobinę groźna.

Bez chwili zastanowienia przeszłam przez pokój i położyłam na okładce książki obie dłonie.

Podmuch magii zalał mnie jak morska fala. Uczucie było podobne do tego, które towarzyszyło mi przy wjeździe do miasta, ale pomnożone tysiąc razy. Dosłownie zaparło mi dech w piersiach. Wrażenie przeniknęło moje ciało z nieskrępowaną, niepowstrzymaną mocą.

Co jeszcze dziwniejsze, czułam, że moja własna uśpiona moc odpowiada, przeciąga się we mnie niczym smok chcący rozłożyć skrzydła do lotu. Przez chwilę czułam się, jakbym sama miała unieść się w powietrze, a moje zmysły były jak czułki, wysuwające się, by muskać granice miasta, jakbym mogła poczuć samo Thistle Grove. Jakbym była w nim w jakiś znacznie głębszy sposób niż tylko fizycznie.

Podsumowując, było to znacznie bardziej ekscytujące uczucie, niż można by się spodziewać, dotykając suchego, zakurzonego tomiszcza.

– No dobra, łał – wyszeptałam drżącymi ustami. – Nasz egzemplarz grymuaru tak nie wyglądał.

– Wiem. To jednak oryginał. – Tata rozłożył ramiona, uśmiechając się na widok mojego zachwyty, choć w jego oczach wciąż było coś jeszcze. – To księga zaklęć napisana przez samego Eliasa Harlowa. Nasza rodzina przechowuje go między turniejami, żeby nie dopuścić do jakichkolwiek oszustw i nieprawidłowości. A teraz to ty jesteś arbitrem, iskierko. Księga czekała tu na ciebie przez wiele, wiele lat.

Odeszłam o pół kroku od biurka, obawiając się, że potężny prąd znów mnie przyciągnie.

– Co tak naprawdę oznacza rola arbitra? Co będę musiała robić?
Ojciec usiadł przy biurku i wskazał drugie krzesło.
– Pamiętasz coś o turnieju?
– Podstawy. Że to konkurs rzucania zaklęć złożony z trzech wyzwań rzuconych trzem domom – powiedziałam, licząc je na palcach. Usiadłam kawałek od biurka, wciąż nie chcąc za bardzo zbliżyć się do grymuaru. – Magiczne konkurencje sprawdzające siłę, inteligencję i szybkość. Ale to tyle. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek słyszała o konkretnych zadaniach arbitra.

Wiele lat minęło od czasu, kiedy czytałam nasz egzemplarz grymuaru. Kiedy byłyśmy nastolatkami, na zmianę pożyczałyśmy go z Delilah z Woluminów & Wróżb, za każdym razem kłócąc się o to, której to kolej. Jakby sklep był naszą osobistą biblioteką, a sam grymuar czymś, co należało do nas – nieważne, że musiałyśmy go wypożyczać.

Ta młoda kujonka, godzinami wczytująca się w rodzinną księgę zaklęć, zakochana w magii, była odległym, bolesnym wspomnieniem. Kimś, kogo kiedyś dobrze znałam, ale kogo nie widziałam od lat.

– To dlatego, że tego fragmentu nie ma w naszej kopii. Cztery pozostałe egzemplarze są niemalże dokładnymi kopiami oryginału, ale ten nie jest jedynie księgą zaklęć... Jego część sama jest zaklęciem. Nie znajdziesz jej w kopiach.

Z błyskiem rozochoconego naukowca w oku, otworzył ciężką księgę mniej więcej w trzech czwartych i przysunął do mnie.

– „Zaklęcia na Zawody w Zagajniku”. – Na pierwszej stronie widniał stylizowany napis, pełen pętli i zakrętasów. Reszta strony pozostawała pusta. – Ale... tu nic nie ma?

– Wyzwania pojawią się dopiero, kiedy przyjdzie pora, a zobaczy je jedynie arbiter – wyjaśnił. – Dzięki temu konkurujące rody nie mogą przygotować się z wyprzedzeniem. W środę wieczorem włożysz płaszcz arbitra, a kiedy zaklęcie się przebudzi, zobaczysz hasło otwierające turniej. Zaklęty płaszcz służy także do tego, by wzmocnić twoje zmysły – dzięki temu zobaczysz, co dzieje się między zawodnikami, w najmniejszych szczegółach.

– Będę miała superzmysły? – Uniosłam brwi z zainteresowaniem. – Brzmi nieźle.

– Z tego, co mówiła twoja babcia Caro, tak właśnie będzie. – Rzucił mi surowe spojrzenie z nieco bledszym uśmiechem. – Magia zmusi cię także

do bezstronności, choć, oczywiście, tak czy inaczej niczego innego się po tobie nie spodziewam.

Wizja stania się przewodem dla prądu pełnego magii tak silnej jak ta, którą poczułam, dotykając grymuaru – a może nawet jeszcze potężniejszej – sprawiła, że jednocześnie poczułam w żołądku podniecenie i chłodny lęk.

– W porządku, będę mistrzynią ceremonii – powiedziałam, starając się uspokoić. – A kiedy to się stanie?

– Avramovowie jak zawsze będą gospodarzami gali otwarcia. Potem, nad Lady's Lake...

Słowa ojca zlały się z tłem, kiedy zaczęłam wyobrażać sobie, jak Talia Avramov ubierze się na przyjęcie urządzone w jej rodzinnej rezydencji. Podejrzywałam, że będzie to kreacja obcisła, dramatyczna i ciemna, odcinająca się od jej śmietankowej skóry. Być może zepnie włosy, żeby lepiej zademonstrować granat Avramovów na swojej absurdalnie długiej i szczupłej szyi. Może...

– Iskierko? – Kiedy zbudziłam się z transu, ojciec patrzył na mnie z lekkim zniecierpliwieniem, unosząc wyczekująco brew. – Już przestałaś słuchać?

– Nie, nie, przepraszam – powiedziałam, zawstydzona. – Mówiłeś o Lady's Lake?

– Tak, w przyszłą sobotę, zamiast sabatu – powiedział, nieco zniecierpliwiony. Pamiętałam, że w każdą październikową sobotę rodziny organizowały sabaty, chociaż nie byłam na takim od bardzo dawna. – Jezioro jest zawsze miejscem pierwszego wyzwania. Pamiętaj, że to grymuar wybiera, w jakiej kolejności testowane będą siła, prędkość i spryt konkurentów. Nie będą wiedzieli, jakie zadanie ich czeka, póki im tego nie powiesz.

– A wyzwania są zawsze nowe? – spytałam, starając się, by z mojej twarzy było jedynie niewinne zaciekawienie, chociaż zastanawiałam się już nad tym, w jaki sposób Talia i Rowan mieli przygotować się na coś zupełnie nieoczekiwanego, i nad tym, jak mogłabym im pomóc, nie naruszając zasady uczciwości arbitra. – Czy grymuar je czasem powtarza?

Ojciec zmarszczył brwi, zamyślony.

– Z tego, co wiem, za każdym razem są nowe. Ale jeśli cię to ciekawi, przejrzyj kroniki. Sama napiszesz ich dalszy ciąg: do obowiązków arbitra należy udokumentowanie wyzwań dla potomności po zakończeniu turnieju.

– Harlowom zawsze przypada cała papierkowa robota – wymamrotałam, a ojciec w odpowiedzi uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Są gorsze rzeczy niż prowadzenie dokumentacji miasta, isquierko. Niż bycie jego głosem, cichym władcą.

Moje spojrzenie wyrażało coś w stylu: „Pozostaniemy przy swoich zdaniach”. Stłumił śmiech, ale dał spokój.

– O czym to my... ach, drugie wyzwanie. To będzie miało miejsce tydzień później, w sadzie Thornów – ciągnął. – Zaś ostatnie organizowane jest zawsze tydzień później na ziemiach Blackmoore’ów. Potem, w wigilię Samhain w Tintagelu odbywa się bal zamknięcia, którego gospodarzami również są Blackmoore’owie. To tam koronowany jest zwycięzca.

– No tak, zwycięskie okrażenie – skomentowałam kwaśno. – Trzy wyzwania, trzech konkurenci... a co się dzieje, kiedy jest remis?

– Cóż, to się jeszcze nigdy nie wydarzyło – powiedział, marszcząc czoło na samą myśl; mój ojciec zawsze potrafił wyrazić swoimi niesfornymi brwiami całe mnóstwo emocji. – Ale w tej mało prawdopodobnej sytuacji grymuar wskaże ostatnie, decydujące zadanie. Trofeum przypadnie jego zwycięzcy.

Prawdopodobnie także i tym razem nie bardzo mamy się co przejmować tą ewentualnością, zwłaszcza jeśli brać pod uwagę zupełnie bezwysiłkową rekonstrukcję mojej szklanki przez Garetha. Ale z tego, co pamiętałam, Rowan też nie był byle kim, a i Talii nie wolno było lekceważyć ze względu na kaliber zdolności Avramovów. Kto wie, co się wydarzy, kiedy będą działać razem.

– Tak to mniej więcej wygląda – powiedział ojciec, zamykając grymuar z pełną szacunku ostrożnością, z którą traktował książki. – Tymczasem ten grymuar jest do twojej dyspozycji na czas turnieju. Na początek polecam zapoznać się ze wszystkimi zawodnikami.

Sięgnęłam po księgę, przygotowując się na kolejny atak magii. Wcale nie chciałam jej znowu dotykać, ale musiałam przynajmniej przeczytać zasady i upewnić się, że sojusze między domami nie są zakazane. Jakby wyczuwając mój niepokój, tom leżał spokojnie, drżąc tylko przyjemnie w kontakcie z moją skórą. Jego powściągliwość wydała mi się dziwnie uspokajająca. Dawała mi cień nadziei, że to zadanie nie przerasta mnie aż tak bardzo, jak mi się wydawało.

A może sędziowanie w turnieju w tym mieście, które miałam porzucić na zawsze, i jednoczesne wspomaganie Linden i Talii w ich spisku przeciwko Księżciu Dupków Garethowi Blackmoore’owi mogło się jednak udać?



Efekt pierścienia

Pewność siebie towarzyszyła mi do ceremonii otwarcia, kiedy to opuściła mnie całkowicie.

Stałam w dużym, dzikim ogrodzie za majątkiem Avramovów The Bitters, a moje obcasy tonęły w glebie, z której wyrastała wysoka trawa. Szpilki Jimmy’ego Choo, które kupiłam, żeby uczcić awans w Enchantify, nie były zapewne najlepszym obuwiem na ten wieczór, potrzebowałam ich jednak, żeby poczuć się pewniej. Panowała ciemna noc; sierp księżyca lśnił na nocnym niebie niczym figlarny uśmiech jakiegoś trickstera. Ozdobne ogrodzenie z kutego żelaza, oplecione bluszczem i wykończone ostrymi zwieńczeniami, oddzielało mnie od leśnej gęstwiny otaczającej The Bitters.

Przede mną zaś stało mniej więcej trzystu wystrojonych członków założycielskich rodów, a wszyscy czekali, aż ogłoszę początek turnieju.

Blask ognia z rozproszonych palenisk rzucał na ich twarze wijące się linie światła i cieni, sprawiając, że nawet znajome rysy wydawały się obce. W zakapturzonym tłumie nie potrafiłam rozpoznać nawet własnej matki, babci Caro ani Delilah, a tym bardziej Talii czy Linden, chociaż wiedziałam, że wszystkie dzisiaj tu są: zapomniałam już, ile w tym mieście jest czarodziejów i czarownic.

Rzadko bywałam stremowana, ale czułam na sobie ich wyczekujące spojrzenia i wydało mi się, że nie wystawiam się na ocenę ludzi, z którymi dorastałam, lecz groźnych nieznajomych. Ledwo stałam na nogach.

– Gotowa, iskierko? – tata wyszeptał mi do ucha. Stanął za mną, a z jego ramienia zwisał zdobiony, purpurowy aksamit płaszcz arbitra. Grymuar leżał przede mną na kamiennym stole, otwarty na stronie z zakłębieniami, oto-

czony z obu stron przez grube świece. Kartki poruszały się na wietrze, a ja czułam, że czary księgi wzbierają we mnie jak przypływ.

A to oznaczało, że nadszedł czas.

– Gotowa – odparłam, oblizując wargi. Zadrżałam, kiedy rozłożył płaszcz i strzepnął go; mój żołądek irracjonalnie się ścisnął. A co, jeśli się nie uda? Jeśli płaszcz poczuje, że moje zdolności magiczne osłabły, i odrzuci mnie jako arbitra? A co, jeśli...?

Materiał opadł lekko na moje ramiona. Całe moje zdenerwowanie spłonęło wraz z jego zaklęciem.

Nagły wiatr zawirował wokół moich stóp. Stawał się coraz intensywniejszy, a kartki grymuaru trzepotały gwałtownie niczym ptasie skrzydła. Magia we mnie puchła, aż poczułam się tak, jakbym rosła, powiększała się niczym ogromna, bajkowa gałąź fasoli, której spieszno do nieba. I zaraz unosiłam się ponad spiczastymi dachami, wieżyczkami i tarasami posiadłości Avramovów. Wiatrowskazy z rzeźbionymi wilkami i węzami wirowały. Jakimś cudem stałam się tak wysoka, że widziałam migoczące na zachodzie Lady's Lake, a nawet lśniące witryny sklepowe i strumienie turystów przemierzające Yarrow Street na wschodzie.

„Łaaa!” – chichotałam sama do siebie, naćpana magicznym odpowiednikiem heroiny. Magia płaszczka była wielokrotnie silniejsza od jakiegokolwiek zaklęcia, które dotąd udało mi się rzucić, i czułam się po prostu spektakularnie zajebiście.

Nie spodziewałam się efektu Galadrieli wkładającej pierścień, ale muszę przyznać, że było absurdalnie fajnie.

W euforii, od której kręciło mi się w głowie, zobaczyłam słowa zarysowujące się świetlistą czcionką się na kartach książki. I chociaż wydawało mi się, że znajduję się wiele mil nad ziemią – a może nawet tak to właśnie wyglądało, bo zebrany tłum patrzył na mnie, oszołomiony – grymuar wciąż leżał tam, gdzie wcześniej, w zasięgu moich dłoni.

– Igraine Starsza, matriarchini Domu Blackmoore'ów – zagrzmiałam z opadającą intonacją, przez którą mój głos brzmiał, jakby posiadały go demony. – Zwycięzcy szóstych Zawodów w Zagajniku. Nadeszła pora, byś oddała wieniec.

Z ukrytego w cieniu tłumy, który zdawał się znajdować daleko przede mną, wyłoniła się sylwetka. Babcie Garetha zobaczyłam wyraźnie, kiedy podchodziła do mnie ze srebrnym wieniec na włosach barwy lodowatego blondy. Rzeczywiście wyglądała równie młodo co wtedy, kiedy opuszcza-

łam Thistle Grove, a przecież nawet wtedy, jak zauważyła Talia, wydawała się niesamowicie młoda; jej arystokratyczną twarz pokrywała porcelanowa, gładka skóra.

Zdjęła wieniec i położyła go na stole przed grymuarem, kłaniając mi się niechętnie. Jej bladoniebieskie oczy patrzyły wyzywająco, a dłoń chyba chwilę zbyt długo dotykała diademu.

Jakby chciała powiedzieć: „Nie przyzwyczajaj się, dziewczynko. Moja rodzina zaraz go odzyska”.

Bunt, który się we mnie rodził, był tak potężny i groźny, że zdawał się nie pochodzić jedynie ode mnie. „Nie, droga pani, nie odzyska” – pomyślałam w odpowiedzi. – „Nie pozwolę na to”.

Kiedy Igraine wróciła do pozostałych, palcami przeciągnęłam po kartce, na której pojawiło się więcej słów.

– Wzywam teraz uczestników siódmych Zawodów w Zagajniku, dziedziców rodów Blackmoore’ów, Thornów i Avramovów... Możecie podejść.

Cała trójka wyłoniła się z tłumu i stanęła przede mną. Gareth miał na ramionach parę tytanowych zarekawic niczym współczesny błędny rycerz i powiewające szaty w rodowych barwach onyksu i złota. Były to ponoć kolory samej Morgan le Fay, chociaż nie miałam pojęcia, skąd Blackmoore’owie mieliby znać barwy arturiańskiej czarodziejki, która żyła tysiąc lat temu – o ile kiedykolwiek żyła naprawdę. Podejrzewam, że pomyśleli sobie: co tam, i tak nikt nie wytknie nam błędu.

Gareth musiał wiedzieć, że ja będę sędziować, ale przerażone zaskoczenie na jego twarzy, kiedy wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce – arbitrką Harlow, Emmeline Harlow, „nowa” dziewczyna z Koniczynowego Kotła – i tak sprawiło mi wielką satysfakcję.

Obok Garetha stał Rowan Thorn, ubrany w druidzi płaszcz barwy mchu i ziemi, w silnej dłoni ściskając laskę z drewna leszczyny zwieńczoną małą figurką strzyżyka. Był znacznie wyższy, szerszy w ramionach i jeszcze przystojniejszy, niż go zapamiętałam; jego loki sięgały pasa, a szeroki nos obsypany był piegami. Uśmiechnął się do mnie i mrugnął delikatnie orzechowym okiem, jakby chciał powiedzieć: „Zaczyna się”.

A obok niego stała Talia.

Jej kaptur był zsunięty, a włosy odsłaniały twarz, spięte na szczycie głowy w lśniący kok. Pod peleryną koloru morwy miała czarną suknię z rozszerzonymi rękawami i głębokim dekoltem; granat Avramovów spoczął we wgłębieniu na jej szyi, nad wisiosem w kształcie czaszki kruka.

W świetle płomieni jej szczęka była silna, kości policzkowe – wyraziste, a bladość oczu odcinała się od cieni skaczących po jej twarzy.

Wyglądała jak córka Lilith, piękny sukkub, którego chciałoby się spotkać w sypialni w świetle księżyca. Uśmiechała się do mnie tajemniczo, leciutko tylko unosząc kąciki ust.

Nawet owinięta czarami płaszcz, nie mogłam oderwać od niej wzroku.

Po dłuższej przerwie Igraine Blackmoore przeciągnęła się niecierpliwie, odkaszlnęła i z pierwszego rzędu zawołała:

– Arbitrko Harlow? – Zdawało się, że zaraz zaczniesz tupać. – Zamierzasz kontynuować?

Zdołałam oderwać wzrok od Talii, zirytowana, ale też lekko speszona.

– A i owszem – odpowiedziałam pospiesznie. Tym razem mój głos brzmiał trochę mniej przerażająco, a bardziej znajomo. Ponownie pochyliłam się nad grymuarem i odczytałam kolejną linijkę tekstu. – Zawodnicy, podejdźcie i złożcie przysięgę na wieńiec.

Cała trójka jednocześnie wystąpiła naprzód, jakby spodziewali się, że to właśnie będą musieli zrobić. W pozostałych egzemplarzach grymuaru znajdowały się pewnie instrukcje dla dziedziców. Dłoń Talii spoczęła na wieńcu jako pierwsza, a na niej swoje ręce położyli Rowan i Gareth. Cała trójka odliczyła do trzech i zawołała chórem:

– Na honor i mą czarodziejską duszę, przysięgam walczyć o zwycięstwo mego rodu!

Gdy ich głosy ucichły, wieńiec rozpląnął się w powietrzu i zmienił w eksplozję błękitnego światła, które niczym żywy płomień powędrowało w górę po ramionach zawodników, po czym wzbilo się do nieba. Wysoko nad nami światło przybrało kształt trzyczęściowej pieczęci symbolizującej turniej i zaraz wybuchło tysiącem fajerwerków. Sferyczne astrolabium rozdzieliło się na orbity, które przechodziły przez kolejne fazy księżyca, aż rozpląnęły się w powietrzu. Świetlisty deszcz spadł na zebrane rodziny niczym kaskada gwiazd.

Kiedy wszyscy zaczęli wiwatować, poczułam pulsowanie grymuaru pod palcami. Opuściłam wzrok i przeczytałam ostatnie zdanie. Mój głos grzmiał niczym kościelne dzwony.

– Jako arbitrka z rodu Harlowów i głos Thistle Grove ogłaszam początek turnieju!



Bo wyjechałaś

Bordowa, aksamitna tapeta przylegała do ścian wielkiej sali balowej Avramovów, a jej postrzępione krawędzie lekko powiewały na chłodnym wietrze, chociaż nigdzie nie widziałam żadnych okien. Z tłoczonych miedzianych płytek na suficie zwisał wspaniały gotycki żyrandol z żelaza, z którego grubych świec spływał stopiony воск. Zwieńczeniem był portret Margarity Avramov o granatowoczarnych oczach, wiszący nad kominkiem wykładanym marmurowymi, szarymi płytkami przetykanymi czerwienią. Założycielka rodu Avramovów przyglądała się scenie pogardliwie: wyglądała, jakby miała nadzieję na upokorzenie Blackmoore'ów.

Sceneria tak doskonale łączyła elegancję z rozkładem, że sala balowa zdawała się stworzona, by urządzać w niej bal wampirów w stylu vintage. Jak pomieszczenie, które powinno mieć jakąś nazwę, jednocześnie stylową i groźną.

Kiedy zrzuciłam płaszcz, a młodsze rodzeństwo Avramovów zaprosiło wszystkich do środka, moi rodzice wypili grzecznościowego drinka i wrócili do domu – nigdy nie przepadali za tłumnymi imprezami. Sama chętnie bym wyszła, ale nie zamierzałam pozwolić Garethowi o sobie zapomnieć. Talia i Linden ukryły się w grupkach gości zebranych pod ścianami, więc stałam całkiem sama, coraz bardziej świadoma, że ludzie rzucają mi czasem wrogie, a czasem po prostu zaciekawione spojrzenia.

Nie byłam może intruzką, ale po tylu latach z dala od Thistle Grove niektórzy mieszkańcy mogli sądzić, że już tu nie przynależę. Być może mieli rację – czyż nie uciekłam z własnej woli, nie oglądając się wstecz?

Kiedy jedna z fruujących w powietrzu, zniszczonych, srebrnych tac wylądowała przede mną, z wdzięcznością chwyciłam kielich czerwonego

wina, nieco tylko zaniepokojona czarodziejską aerodynamiką. Taca nie wydawała się zaczarowana, wyglądała raczej, jakby niósł ją niewidzialny kelner. Zaczęłam się zastanawiać, czy na wszelki wypadek nie powinnam podziękować; być może do niezwykłego repertuaru Avramovów należało zatrudnianie kelnerów-duchów. Postanowiłam zapytać o to Talię, kiedy ją spotkam; poczułam w brzuchu trzepoczące skrzydła motyli na samą myśl o tym, że znowu zobaczę ją w tej obcisłej sukni, ze spiętymi wysoko włosami...

– Emmeline. – Z przyjemnego zamyślenia wyrwał mnie znajomy, piskliwy głosik.

– Delilah – odparłam niechętnie, dopijając wino i odwracając się, żeby spojrzeć na moją zarozumiałą kuzynkę. Ubrała się jak należy, w tradycyjne rodowe barwy gołębiej szarości i bieli; rąbki szaty zdobione były subtelnymi haftami, które zapewne dodała sama. Delilah była wielbicielką rękodzieła: jej introwertyczne serduszko cieszyła wizja szycia i szydełkowania. A jako że była bardzo przejęta przynależnością do rodu Harlowów, w jej orzechowe, kręcone i bardzo długie włosy – dłuższe jeszcze niż moje z czasów, gdy mieszkałam w Thistle Grove – wplecione były nakrapiane pióra puszczyka, który występował w naszym rodzinnym herbie.

– A więc naprawdę wróciłaś – powiedziała, spoglądając z pogardą na mój strój: przyprawiające o zawrót głowy szpilki i czarną sukienkę z koronki i szyfonu, która ledwie muskała moje uda. Jako że abdykowałam z roli czarownicy, nie mogłam się zmusić do włożenia rodowych szat, które, jak nakazywała tradycja Harlowów, były całkowicie pozbawione charakteru i stylu.

– Wróciłam – odparłam z równie agresywną obojętnością. – Gratuluję spostrzegawczości. Inna sprawa, że byłam jakieś dziesięć razy większa niż zazwyczaj, więc trudno by mnie było nie dostrzec.

Oblizła wargi i spojrzała w bok, jakby powstrzymując się przed przewróceniem oczami.

– I wciąż planujesz to zrobić? – zapytała, nie umiając ukryć nadziei, że zaprzeczę. To było tak oczywiste, że przez chwilę czułam się winna, że moja obecność tu tyle jej odebrała. – Naprawdę będziesz w niedzielę sędziować w turnieju?

– Na to wygląda.

– Ale dlaczego? – dopytywała i tym razem jej frustracja się uląła. – Dlaczego w ogóle wróciłaś, Emmy? Wszyscy wiedzą, że uważasz naszą

rodzinę za żart. Dlaczego nie zostawiłaś tego komuś, kogo nasze dziedzictwo, nasza tradycja naprawdę obchodzą?

Wpatrywałam się w nią, zadzierając głowę, znów zirytowana, że swój imponujący wzrost zawdzięczała genom rodziny mojego ojca. Mnie trudno było przyjąć słodki wyraz twarzy jelonka Bambi, który u Lilah wydawał się naturalny, ale ona ćwiczyła się w nim całe życie.

– Bo to moje zadanie – warknęłam. – Niezależnie od twojej opinii na ten temat, to ja jestem dziedziczką Harlowów. Bardziej zasadne wydaje się więc pytanie, czemu jesteś tak głęboko przekonana, że to ty powinnaś znaleźć się na moim miejscu.

– Bo wyjechałaś, Emmy – odparowała z pogardą. – A ja zostałam.

Przez chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem – Delilah kipiała wzniosłym oburzeniem, ja czystą wściekłością: za kogo uważała się moja zarozumiała kuzynka, że pozwalała sobie oceniać moje decyzje, nie mając zielonego pojęcia o motywacjach?

Zanim zdołałam zbudować jakąś spójną odpowiedź, jej szaty zawirowały, a ona zadarła nos do góry i odeszła, uciekając przed babcią Caro, która próbowała położyć jej dłoń na ramieniu. Nasza babcia popatrzyła za nią z zaskakująco posepnym wyrazem twarzy: najwyraźniej usłyszała naszą rozmowę.

Pokręciła oprószoną siwizną głową, westchnęła i rozłożyła ramiona. Wśliznęłam się w nie z wdziękiem, dając się objąć i wdychając znajomy zapach mentolowych papierosów i perfum Shalimar.

– Moja Emmy – powiedziała z uśmiechem, a siateczka drobnych zmarszczek na miękkiej skórze wokół jej umalowanych ust zafalowała. – Na boginię, co za uczta dla oczu. Witaj w domu. To miasto za tobą tęskniło.

– Ty też pięknie wyglądasz, babciu – odwzajemniłam uśmiech. – I dziękuję za ciepłe przyjęcie. Coś mi się wydaje, że nie wszyscy by się z tobą zgodzili.

– Nie oceniaj Lilah zbyt surowo. – Ścisnęła moje ramiona. – Jest... jest po prostu wrażliwa, a musi grać drugie skrzypce. Nawet, kiedy cię tu nie ma. Bardzo się stara, ale trudno cię zastąpić.

Kiedy zastanawiałam się nad tym zaskakującym stwierdzeniem, potrząsnęła mną lekko.

– Opowiedz mi o płaszczu – jej uśmiech stał się szerszy i bardziej porozumiewawczy. – Jakie są twoje pierwsze wrażenia?

– Łał, no to było coś niesamowitego – pokręciłam głową, nie wiedząc, jak przełożyć moją euforię na odpowiednie słowa. – To uczucie...

– Dobrze o tym wiem – powiedziała, a jej brązowe oczy rozbłysły tęsknie. – Niesamowite, co? Lepsze niż mocny drink po najlepszym seksie. Minęło pięćdziesiąt lat, a ja czasem wciąż za nim tęsknię.

Poznajcie babcię Caro. Zawsze mówi, co myśli.

– Nie wiem, czy sformułowałabym to w ten sam sposób, ale tak, czułam się podobnie.

Chociaż łączyła ich uroda – przy czym stylowo zmierzwione włosy babci były jeszcze krótsze niż loki ojca, a oczy zdawały się ciemniejsze dzięki fachowo wykonanemu makijażowi *smoky eyes*, którego nie potrafiłabym powtórzyć nawet po obejrzeniu wszystkich tutoriali na YouTube – czasem zastanawiałam się, jak to możliwe, że mój opanowany ojciec powstał z jej ekstrawaganckiego materiału genetycznego. Była taka, odkąd pamiętałam: bezwstydnie przeklinała, była radośnie ekstrawertyczna i zawsze działała na własnych zasadach.

– Jakieś mądre rady przed sobotą? – zapytałam. – Od mojej turniejowej mistrzyni Yody?

Przechyliła głowę niczym ptak o jasnych oczach, a wargi zacisnęła w zamyśleniu.

– Sama już wiesz, jak intensywne jest zakłęcie... Ale przekonasz się, że ledwie je musnęłaś. Podczas samego konkursu działanie płaszcza bywa... dość agresywne. To stare zakłęcie, jedno z naszych najsilniejszych. Nie próbuj z nim walczyć.

W osobie takiej jak ja, mającej potężną obsesję kontroli, jej słowa wzbudziły pewien niepokój, ale uznałam, że muszę jakoś dać sobie radę.

– Czyli mam po prostu płynąć z prądem – zmusiłam się do uśmiechu. – Nie jest to dla mnie naturalne, ale się postaram. Coś jeszcze?

– Jak wspominałam, spróbuj za dużo nie myśleć. Zobaczysz, jak ci pójdzie w sobotę, a potem zawsze będziesz się mogła do mnie zwrócić. – Przyciągnęła mnie do siebie, oparła swoje czoło o moje. Jej oczy rozbłysły. – I nie zapomnij dobrze się bawić.

– Nie zapomnę, babciu.

Uśmiechnęłam się, kiedy odchodziła – prawdopodobnie w poszukiwaniu *vesper martini*, biorąc pod uwagę, że moja babcia była w zasadzie luzacką, czarodziejską wersją Jamesa Bonda. W chwili, gdy spojrzałam w swój pusty kieliszek, znów pojawiła się przede mną taca: cholera jasna, ta niewi-

działna obsługa była naprawdę świetna. Tym razem, kiedy odstawiłam na tacę pusty kieliszek i podniosłam pełny, nie powstrzymałam się i pokiwałam głową w podziękowaniu.

Unosiłam akurat wino do ust, kiedy stanął przede mną Gareth niczym nieszczęsny duch przeszłych dupków. Na przedramionach miał absurdalne zarękawia.

O Bogini, dlaczego ja?

– Gareth – powiedziała, po czym wzięłam wielkiego łyka, żeby się wzmocnić. – Witaj.

– Hej, Emmy. Ile to już lat, co? – Gareth potarł się po karku, prezentując mizerną wersję uśmiechu Chrisa Pine’a. – Yyy... miło cię widzieć.

– Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego. Ale zarękawie masz zajebiste. Będziecie potem kruszyć kopie? Czy planujesz spotkanie z jakimiś anglosaksońskimi podróżnikami w czasie?

Uniósł ramię, zacisnął pięść i zaczął ją obracać, aż gładki, czarny metal rozbłysnął w agresywnym świetle.

– Faktycznie, są trochę staromodne, ale to część tradycyjnych regaliów Blackmoore’ów.

Wpatrywałam się w niego, oszołomiona. Pokręciłam głową, jakbym go nie dosłyszała.

– Słucham? Niemożliwe, żeby zrobione na miarę, tytanowe zarękawie było częścią czyichkolwiek tradycyjnych regaliów.

– Może i są nieco stylizowane – wzruszył ramionami. – Ale musisz przyznać, że i tak zajebiste.

– Zapewniam, że absolutnie nie muszę tego przyznawać.

– Spoko, nie musimy się zgadzać co do zarękawi. – Pokiwał głową, jakby sam do siebie, po czym powiedział – Świetnie wyglądasz, Em. Zupełnie inaczej, ale świetnie.

– Doprawdy, Gareth? – naciskałam, biorąc kolejny łyk. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że powinnam oszczędzić sobie nieprzyjemności i po prostu odejść, ale pragnęłam konfrontacji. Być może w moich żyłach wciąż płynęła resztką magii płaszcza. – Och, czyż nie wyglądam raczej jak: „Przyjechałaś na weekend? Chyba nigdy cię tu nie widziałem?”.

Miał przynajmniej dość przyzwoitości, żeby skrzywić się na te słowa i na chwilę zakryć twarz dłonią.

– A więc tak to teraz będzie. OK. Miałem nadzieję, że zawrzemy dżentelmeńską umowę i będziemy udawać, że to się nigdy nie wydarzyło.

Prychnęłam, zaskoczona jego wiarą, że tak łatwo mu odpuszczę. – Coś mi się wydaje, że żadne z nas nie jest dżentelmenem. Więc, tak, zdecydowanie tak to teraz będzie.

– Emmy, bardzo cię za to przepraszam – postanowił wypróbować kolejną taktykę. – Miałem... miałem kiepską noc. O cztery szoty jägermaistra za daleko. Kiedy dotarliśmy do Kotła, nie widziałem już wyraźnie. Było ciemno. Nie spodziewałem się tam ciebie i po prostu... nie rozpoznałem cię. Zdarza się.

Oczywiście, że nadal pije jägermaistra. Może i ma drogie garnitury i dorosłą budowę ciała, ale w tej elegancko uczesanej głowie wciąż tkwi przerośnięty studenciak.

– Dupkom pewnie się zdarza. Jeśli dobrze pamiętam, wznosiłeś toasty na cześć ekspansji Camelotu, więc tamta noc nie mogła być aż tak kiepska – zwróciłam uwagę. – Musisz chyba zacząć od początku.

Przez chwilę wydawało się, że zaraz coś powie, ale tylko pokręcił głową, a na jego twarzy rozbłysnął gniew.

– Naprawdę nie wyluzujesz, Emmy, chociaż cię szczerze przeprosiłem? – zapytał, zaczesując do tyłu włosy i krzywiąc się lekko, kiedy potarł czoło zarękawiem. – Wiem, że mamy za sobą długą historię, ale nie przesadzajmy. Weź mi odpuść. Musisz mieć świadomość, w jak niezręcznej znalazłem się sytuacji, kiedy ty jesteś arbitrem. Zostałem wzięty z zaskoczenia.

Wpatrywałam się w niego, wściekła jak zawsze, kiedy ktoś kazał mi „wyluzować”, tym bardziej, że jakimś cudem to on postrzegał siebie jako ofiarę.

– Och, czyżby mój powrót – i fakt, że mam jakąś władzę – był dla ciebie aż tak straszny? Czy ty masz w ogóle świadomość, jak bardzo mnie wtedy rozpieprzyłeś? – Przyznanie się do tego narażało na szwank moją godność i było sprzeczne z instynktem samozachowawczym, ale płonęłam teraz sprawiedliwym gniewem. Nie mogłam się wycofać. – Wiesz, że czułam się kompletnie bezwartościowa? Czyny mają swoje konsekwencje, Gareth. To, co wtedy zrobiłeś, nie poszło w zapomnienie.

– Słuchaj, wiem, że źle się wtedy zachowałem. – Parsknął zaskakująco cierpkim śmiechem i potrząsnął głową. – Nie pierwszy i nie ostatni raz. Ale, kurwa, minęło dziesięć lat. Byliśmy dziećmi. Co mam powiedzieć?

– Dwieście lat. W tym czasie zdążyłeś pieprzyć się z moją najlepszą przyjaciółką. I rozpieprzyć ją na kawałki – wypaliłam. – Nie wspominając

o Talii Avramov. Odważne, muszę przyznać. Ja bym nie chciała wkurwić Avramovów. Mam nadzieję, że masz zarękawie, które ochroni twoje jaja.

Gareth zbladł, zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Talia miała rację: patrzeć, jak się wiję, naprawdę dawało mi głęboką satysfakcję.

– Ty o tym wszystkim... wiesz? Byłem pewien, że Lin nie...

Uniosłam dłoń.

– Nawet nie wymawiaj przy mnie jej imienia.

Otworzył usta i poruszył szczęką z boku na bok.

– Kurde. Łał. Ja pierdolę. OK, po pierwsze: to nie tak, jak myślisz. Wiem, że wszyscy tak mówią, ale w tym wypadku to prawda. Lin i ja... Naprawdę nie chciałem jej zranić, Emmy. A z Talią...

W tym właśnie momencie Talia pojawiła się obok mnie niczym piękny demon wezwany własnym imieniem. Posłała mi uśmiech i położyła na ramieniu dłoń w rękawiczce; nawet przez koronkę czułam jej ciepło. Potem przeniosła uwagę na Garetha, szczerząc się coraz szerzej i coraz bardziej wilczo, aż obnażyła zęby.

– Blackmoore – zamruczała z kłamliwą sympatią. – Czy ty i te przerośnięte pierścienie erekcyjne na twoich ramionach nie powinniście znaleźć się gdzie indziej?

Nie mogłam nic na to poradzić: wybuchłam śmiechem, tym bardziej zachwycona, kiedy Gareth z rosnącym przerażeniem spoglądał to na mnie, to na dłoń Talii na moim ramieniu, to na jej twarz.

– Czy wy... – zaczął, otwierając i zamykając usta niczym ryba na lądzie. – Czy wy dwie...

Jego wyraźne przerażenie na myśl o tym, że mogłybyśmy być parą, sprawiło, że przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zwróciłam się do Talii, uśmiechnęłam do niej i położyłam dłoń na jej dłoni, wciąż spoczywającej na moim ramieniu.

– Zatańczymy? – niewinnie dokończyłam za niego, splatając palce z Talią i unosząc nasze połączone dłonie nad głowę, żeby lekko się obrócić. – Ależ tak. Także wybacz...

Talia załapała od razu, a jej oczy złośliwie rozbliły. Obdarowała mnie jednym ze swoich zwalających z nóg uśmiechów, po czym przyciągnęła do siebie i objęła w talii wolnym ramieniem. Jej perfumy otoczyły mnie pachnącą mgiełką. Z bliska wydawała się jeszcze wyższa. Pochyliłam się lekko naprzód, a moje dłonie musnęły ten kuszący punkt, w którym spotykały się jej szyja i ramiona.

Byłam nieco zszokowana tym, jak bardzo chciałam posmakować jej skóry.

– Nie możecie tego zrobić! – zaprotestował Gareth. Jego policzki płonęły, a dzikie spojrzenie padało raz na mnie, raz na Talię. – Talio, jesteś zawodniczką! A ona jest sędzią!

– Sędzią, na której płaszcz wymusza bezstronność – przypomniałam mu. – Poza tym nie pamiętam, by taniec z zawodniczką był niedozwolony. Na czym więc polega twój problem?

– No tak, ale mimo wszystko! – prychnął. – A co, jeśli to, sam nie wiem... to jakoś wpłynie na twoje czary? Zniekształci decyzje? To po prostu...

– Nieetyczne? – zasugerowałam chłodno. – niesprawiedliwe? Po prostu złe? Chyba to ty znasz się lepiej na tych kwestiach.

Skulił się pod moim lodowatym spojrzeniem, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie spoglądając na niego więcej, obróciłam się na pięcie i ruszyłam z Talią na parkiet.



Kolor grzesznych myśli

O tak wczesnej porze – chociaż w świecie niemagicznym było już grubo po jedenastej – parkiet był niemal pusty. Wokół nas rozbrzmiewały molowe sonaty, gdy pozwoliłam jej się przyciągnąć i rozpoczęliśmy leniwy, kołyszący taniec. Była jedną z tych nieznośnych (ale też zniewalających) osób, które z bliska wyglądały jeszcze lepiej; jej skóra zdawała się pozbawiona porów, eyeliner był doskonale nałożony, a błyszczący barwy śliwki pokrywał jej wargi jadalnym połyskiem.

Albo może był to najzwyczajniejszy błyszczak na świecie, a ja po prostu chciałam się w nią wgryźć.

– No, no, to było wspaniałe – zapiszczała. Jej wilcze oczy błyszczały. – Niemal mi słabo z radości.

Poczułam, że się rumienię, podniecona jej podziwem.

– Pomyślałam, że dobrze będzie, jeśli się trochę podenerwuje przed sobotą. Przynajmniej raz to on stanie na gorszej pozycji.

Zagwizdała cicho, unosząc z uznaniem brwi.

– Ale z ciebie diablica. Naprawdę nie sądziłam, że zdobędziesz się na coś takiego, Harlow. Podejrzewałabym, że klasyczna wojna psychologiczna jest poza zasięgiem takiej grzecznej dziewczynki.

– To jak szachy: można oszukiwać, ale można też być po prostu inteligentniejszym od przeciwnika – odparłam, wzruszając ramieniem. – Pierwsze jest niehonorowe i niewłaściwe. Drugie to dobra strategia.

– Honor skautki i perwersyjny umysł Targaryenów. – Talia zadrżała z kpiącym podnieceniem i uśmiechnęła się szeroko. – Jeszcze chwila i zaczniesz mi się podobać, Harlow.

– Długa będzie ta chwila? Może już teraz zaczniesz mi mówić po imieniu?

Pochyliła się, aż nasze policzki się zetknęły. Poczułam na uchu jej ciepły oddech, który sprawił, że cała pokryłam się gęsią skórką.

– Staram się hamować.

Muzyka nieco przyspieszyła. Przypominała teraz makabryczną odmianę walca. Przyszło mi do głowy, że mroczne dźwięki unoszące się w sali balowej brzmią, jakby ktoś grał je na żywo, ale przez całą noc nie widziałam żadnego muzyka.

– O co chodzi z niewidzialną służbą? – spytałam Talię. – Tace, muzyka... Jak to działa?

– To rodzinna tajemnica – wyszeptła, mrugając do mnie konspiracyjnie. – Mogłabym ci powiedzieć, ale wtedy strzygi przybiegłyby tu ze swoimi groźnymi pazurami i zabrały do krainy ciemności.

– Oczywiście. – Zacisnęłam wargi i pochyliłam głowę na bok. – To lepiej nie mów.

– Jak wolisz – uśmiechnęła się. – Ale podobno to kiepski moment na wycieczki do piekła.

– Nie wydaje ci się, że cała starszyzna się na nas gapi? – zapytałam, kiedy śmignęłyśmy obok grupy Thornów, w której stali rodzice Linden, Aspen i Gabrielle. Technicznie rzecz biorąc, to Aspen był patriarchą, gdyż pochodził z rodu Thornów, jednak realną przywódczynią została Gabrielle, która okazała się silniejszą wiedźmą, choć magię zyskała dzięki małżeństwu. Był to jeden z tych tajemniczych kaprysów magii, które się czasem zdarzały, kolejny z fenomenów Thistle Grove, przez nikogo nigdy do końca niewyjaśniony.

Gabrielle wyglądała bardzo pięknie. Światło świec migotało na jej ciemnej skórze, jakby lata rozstąpiły się wokół niej jak woda wokół kamienia, nie zostawiając widocznego śladu. Wokół fruwał rój ciem, które lądowały na jej długich warkoczach; była jedyną znaną mi wiedźmą, której czary ściągały światę. Jej szkliste, ciemne oczy spoczęły na mnie i Talii z zaciekawieniem, ale uniosła rękę na przywitanie i uśmiechnęła się tak ciepło jak wtedy, kiedy pół życia spędzałam w jej sadach, wymyślając z jej córką kolejne psikusy. Jakby moja długa nieobecność nic między nami nie zmieniła.

Kilka osób dalej, ze znacznie większą ciekawością, wpatrywała się w nas miedzianowłosa Elena Avramov. Kiedy zawirowaliśmy obok niej,

zmrzyła kocie oczy.

– Coś mi się wydaje, że twoja matka spojrzała na mnie właśnie złym okiem – powiedziałam. – Ile czasu mi zostało?

– Och, nie podejrzewam. Dzisiaj już tego nie robi.

Spojrzałam na nią pytająco.

– Wiesz, że nigdy nie mam pewności, kiedy żartujesz, a kiedy powinnam się bać?

– Najbezpieczniej chyba zakładać, że zawsze mówię poważnie. – W jej oczach rozbłysła przebiegłość. – Oczywiście, że wszyscy się na nas gapią. Przynajmniej mają o czym pogadać przy kieliszku sherry.

– Nie jestem pewna, czy wszyscy ludzie w średnim wieku piją akurat sherry.

– Elena tak. To hańba. Zrezygnowała już nawet z wódki jako aperitif.

– Chcesz powiedzieć, że kiedyś twoja matka naprawdę wciągała przed kolacją szoty wódeczki?

Spojrzała na mnie dziwnie, jakbym podawała w wątpliwość życiowe oczywistości.

– OK, już pamiętam, w zasadzie pochodzicie z Rosji – pokiwałam energicznie głową. – A skoro już jesteśmy przy rodzicach, nie zdążyłam jeszcze zapoznać się z kronikami turnieju w Woluminach & Wróżbach, ale zrobię to niedługo.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy potrzebowali z Rowanem pomocy przy pierwszym wyzwaniu. – Jej przebiegły uśmiech wydawał mi się niesamowicie kuszący. – Gareth nie spodziewa się sojuszu. A biorąc pod uwagę, że cała ta jego buńczuczność to tylko poza, dzisiejszy wieczór na pewno nim wstrząśnie.

Pochyliłam się, żeby musnąć policzkiem jej policzek.

– W takim razie chyba powinniśmy zrobić coś naprawdę niezapomnianego.

– Nie dam się dwa razy prosić, Harlow.

Kiedy muzyka osiągnęła crescendo, Talia położyła mi dłoń na krzyżu i przyciągnęła do siebie w bardziej sformalizowanym tańcu. Moje obcasy były na tyle wysokie, że w normalnej sytuacji musiałabym się skupić na stopach, ale podążanie za nią nie wymagało wysiłku, poruszałam się w podświadomym rytmie. Kiedy przechyliła mnie powoli, z uśmiechem, wspomnienie dawnej Talii rozwalilo mi mózg. Piękna i niedostępna niczym

dzika bogini, która zmieniałaby się w lisicę i zniknęła w ciemności, gdyby podejść do niej zbyt blisko.

Albo też wyruchałaby cię ze wszystkich sił nad świętym jeziorem.

Jej bliskość była jak zakazana rozkosz, taka, która zapewniała pracę skupującym duszę demonom na rozdrożach. Była niemal tak nieprawdopodobna jak to, że świetnie się bawiłam w mieście, które tak bardzo chciałam zostawić za sobą.

– Zdradź, o czym myślisz – wyszeptała mi do ucha, unosząc mnie z powrotem.

Przyłapaną na gorącym uczynku, zaczęłam:

– A co, jeśli nie myślę o niczym?

– Och, trudno mi w to uwierzyć. – Nie widziałam jej twarzy, ale słyszałam w jej głosie uśmiech. – Zacznijmy od tego, że twoje policzki mają kolor grzesznych myśli.

– No dobrze – poddałam się. – Myślałam o tobie. I o tym, że mała Emmy nigdy by nie uwierzyła, że kiedyś zatańczy z najatrakcyjniejszą dziewczyną w Thistle Grove High. Zwłaszcza czując na sobie świdrujące spojrzenie jej przodków, w przepięknej, choć nieco przerażającej, sali balowej jej rodziny.

– Nazywamy ją Salonem Mandragory.

– Wcale mnie to nie dziwi. To w stylu Avramovów.

Zachichotała i potrząsnęła głową, żeby zagubiony kosmyk nie wpadł jej do oka.

– Następnym razem muszę ci pokazać Piołunowy Apartament. On dopiero jest w stylu Avramovów.

– Kto powiedział, że będzie jakiś następny raz?

– Twoje policzki, Harlow. – Jej palce wśliznęły się między moje włosy po krótszej stronie i założyły mi je za ucho. – I ja.

Sposób, w jaki na mnie patrzyła, sprawił, że serce zabiło mi mocniej, aż poczułam je w gardle niczym trzepoczące skrzydła. A zatem to magnetyczne przyciąganie było prawdą. Nie wyobraziłam sobie elektrycznej iskry, która zdawała się rozbłyskać w powietrzu między nami.

– Chciałam też zauważyć, że w szkole to ty nawet na mnie nie patrzyłaś – dodała.

– To dlatego, że się ciebie bałam. Poznałam dziewczynę, która spotykała się z tobą przez jakieś trzy tygodnie w drugiej klasie, a kiedy z nią zerwa-

łaś, zbudowała ci najprawdziwszy ołtarzyk. Przerażająco szczegółowy. Prawdopodobnie zniszczyłaś jej życie.

Wybuchła śmiechem, zagryzła wargę i znów się do mnie uśmiechnęła.

– Niech ci będzie. W dawnych czasach mała Talia mogła nie być najlepszym pomysłem...

Na jej twarzy pojawił się nagły smutek jak samowolny wiatr; parzyła w dal, jakby wracała do bolesnych wspomnień.

Kiedy znów skupiła na mnie wzrok, dostrzegłam kruchość, której nie spodziewałabym się nigdy po Talii Avramov.

– Ale może... może czegoś się od tamtej pory nauczyłam – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Może już nie jestem aż tak złą decyzją.

Zanim przyszło mi do głowy, co mogłabym odpowiedzieć, przybiegła do nas Linden. Usta jej drżały, a w oczach lśniły łzy.

– Gareth chciał porozmawiać, a ja... ja... – Tyle zdążyła powiedzieć, zanim zanosła się stłumionym szlochem, chowając twarz w dłoniach.

Opuściłam ramiona Talii i spojrzałam na nią z żalem, podchodząc do Lin.

– Potrzebne ci kawa i pączki z Emilio's – powiedziałam, przyciągając ją do siebie, jak to robiłam niezliczoną liczbę razy, kiedy pocieszałam ją po zerwaniu. Żałośnie kiwała wtuloną we mnie głową, opierając się na mnie całym ciężarem, i przez chwilę było tak, jakbym nigdy nie wyjechała, jakby nic się między nami nie zmieniło.

Jakby wszystko czekało, aż wypełnię przestrzeń w kształcie Emmy, którą zostawiłam za sobą.

– Jestem z tobą – powiedziałam, obejmując Linden ramieniem w talii i starając się stłumić wrażenie, że to kompletnie nienaturalne. – Talio, chcesz iść z nami?

Pokręciła pospiesznie głową, lekko marszcząc nos.

– Nie, nie, raczej nie. Takie sytuacje... to nie dla mnie. – Zagryzła policzek, a potem poklepała Linden po ramieniu tak delikatnie, jakby wydawało jej się, że emocjonalny stres zmienił ją w szklaną figurkę. Omal nie wybuchłam śmiechem. – Ale nafutruj ją cukrem w moim imieniu. Podobno to pomaga.

– Jasne – obiecałam. – To co, niedługo się zobaczymy?

Pokiwała głową, przez ramię puściła do mnie oko i odwróciła się, posyłając mi dłonią nieśmiałe pozdrowienie.

Talia Avramov nawet ze zwykłego „do widzenia” potrafiła uczynić kuszącą obietnicę.



Na mój znak!

W południe słońce unosiło się na powierzchni jeziora jak zatopiona moneta, schwymane w pierścień drzew, które krążyły wzdłuż krawędzi wody. Jasne plamy fioletu rozrzucone były wzdłuż brzegów – szkocki oset rósł dziko i obficie ponad miastem, które zawdzięczało mu nazwę.

Zapomniałem, jak maleńkie wydawało się stąd Thistle Grove; jakby stało się znacznie wyżej niż na tych 156 metrach, które znaleźć można było w przewodnikach jako oficjalną wysokość Hallows Hill. Było to kolejne z dziwactw miasteczka – jezioro znacznie większe niż miało się prawo zmieścić na wzgórzu znacznie niższym, niż się wydawało. W zasadzie miało to sens, biorąc pod uwagę, że Lady's Lake było zaczarowanym sercem Thistle Grove, głównym źródłem, z którego magia tryskała jak z gejzeru, nim rozproszyła się po mieście. Istniało wiele teorii co do tego, co czyniło je wyjątkowym; być może jakaś czarodziejka o niezwykłej mocy utonęła tu wiele tysięcy lat temu albo jakaś boginka przejęła nad nim panowanie. Albo może welon między dwoma światami rozdarł się gdzieś głęboko pod powierzchnią wody, a przez tę dziurę wniknęła magia.

Jezioro było zbyt głębokie, żeby je porządnie wysondować – a nawet, gdyby tak nie było, zapewne nic by w nim nie znaleziono. Opowieść ograniczała się więc do tego, że jakaś dama kiedyś w jakiś sposób uczyniła je czarodziejskim. A dla zabawy dorzuciła też cały zestaw śmiesznych ryb, które nie występują w Illinois na co dzień.

Stałam na południowym krańcu jeziora, z Thistle Grove za sobą. Zawodnicy ustawieni byli w trzech pozostałych punktach kardynalnych, zaś za nimi, na linii drzew, czekały kibicujące rodziny. Wszyscy stali zbyt daleko, żebym potrafiła rozpoznać ich twarze – a szkoda, biorąc pod uwagę, jak

bardzo pragnęłam ujrzeć Talię, której nie widziałam od inauguracji trzy dni wcześniej. Małe załamanie nieszczęsnej Linden tylko się rozwinęło, kiedy wyszliśmy z The Bitters, więc nocowałam u niej, żeby mieć pewność, że wszystko będzie OK. Była zbyt pijana i wstrząśnięta, żeby mówić z sensem, więc po prostu z nią siedziałam, zjadając tuzin pączków z poprzedniego dnia, popijając białym winem z kartonu i pozwalając, by płakała mi w ramię. Obudziłam się do niej plecami, z okruszkami i lukrem we włosach. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio byłam tak spokojna. W spaniu w jednym łóżku z najlepszą przyjaciółką było coś magicznego – jakieś pierwotne poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia, które trudno wyjaśnić.

Bardzo, bardzo się cieszyłam, że znów była obok mnie.

Kiedy łuk nieba ponad nami wskazał południe, nad leżącym przede mną na przenośnym piedestale grymuarem uniósł się blady, błękitny blask. Tym razem postanowiłam być sama; uznałam, że mam dość pewności siebie, by samodzielnie zarzucić na siebie płaszcz.

Zaraz, skreślmy to: nie chodziło jedynie o pewność siebie. Zaprağnęłam tego, naprawdę chciałam znów zanurzyć się w tym ulotnym podnieceniu.

Ledwie płaszcz spoczął na moich ramionach, poczułam nagle, że rosnę, a zaraz potem zakręciło mi się w głowie, kiedy kalejdoskop moich zmysłów gwałtownie ożył. Powiększałam się, aż moja głowa musnęła niemal kremowe chmury i zobaczyłam jasny horyzont; widziałam dalej niż sieć ulic, sadów i lasów Thistle Grove, dalej niż rozciągające się za miastem pola.

Rozbrzmiało we mnie dziwne, głębokie przekonanie. „Właśnie po to się urodziłaś”.

Kiedy spojrzałam na grymuar, słowa połączyły się w pierwszą wskazówkę.

*Rywale z trzech rodów, wieniec na was czeka
Musicie spieszyć się, pędzić, ni chwili nie zwlekać!
Na wschodzie i zachodzie, południu i północy,
Kwiat przynieście tak prędko, jak to w waszej mocy!*

„A zatem szybkość pierwsza” – pomyślałam. Kiedy błękitny blask grymuaru zmieniał barwę na złotoróżową, ogarnęło mnie podniecenie. Światło rozproszyło się i zbiło w kulę, która zawisła ponad stronicami. Płatki zaczęły odrywać się od niej, tworząc złocony kwiat, filigranową różę z miękko pulsującego światła. Potem świetlista róża wzbijała się w górę

niczym najładniejsze UFO świata, a jej blask stawał się coraz intensywniejszy. Zawodnicy i kibice wstrzymali oddech.

Z tego, co zrozumiałam, show było potrzebne, by wszyscy pojęli, jaka nagroda czeka na zwycięzcę.

Róża pofrunęła nad wodę i zatrzymała się kilka metrów nad środkiem jeziora. Grymuar mruczał pod dotykiem mojej dłoni; kiedy spojrzałam w dół, zmaterializowało się więcej słów.

– Zawodnicy! – zawołałam moim głosem tytanki. – Przygotujcie się do lotu. Na mój znak!

Sokolim wzrokiem arbitra widziałam po lewej stronie Garetha ze ściśniętą szczęką, który unosił w gotowości swoje głupie zarękawie. Po mojej prawej stronie Rowan Thorn mocniej zacisnął dłoń na swoim ceremonialnym kiju, a na jego twarzy malowała się koncentracja.

Dokładnie naprzeciwko mnie na twarzy Talii malował się zaś wściekły uśmiech tarczowniczkii, a granat Avramovów w zagłębieniu jej szyi rozbłysnął niczym krwista gwiazda.

Następnie, jak nakazał grymuar, trzykrotnie klasnęłam w dłonie. BUM, BUM, BUM, ogłuszający huk, niczym trzy grzmoty uderzające o taflę jeziora. Tak głośne, że każdy, kto miał je usłyszeć w Thistle Grove, musiał zatrzymać się i spojrzeć w idealnie błękitne niebo, zastanawiając się, czy naprawdę przetną je błyskawice.

Czego by o nim nie mówić, Gareth był szybki. Ledwie klasnęłam po raz trzeci, popędził ku linii wody, jego obszyta złotem szata zawirowała wokół jego stóp, a z każdym krokiem pozostawiał za sobą długi kawał ziemi. Na chwilę przed tym, jak jego stopa w wysokim bucie wylądowała na wodzie, z jeziora wzniósł się w górę kawał lodu, niczym dziób zamrożonego statku. Wylądował na nim i popłynął naprzód na pełnym biegu. Z każdym susem woda wydobywała coraz więcej nieruchomego lodu, jego ogromne, mleczne połacie zastygłe pod ciężarem Garetha, który zdawał się wyczarowywać pod stopami całe lodowce.

Kiedy uniosło się go jeszcze więcej, dostrzegłam, że kształtem przypominał sprytny wiszący most, jakby podnosił z niewidzialnych głębin jeziora jakiś wrak z Atlantydy.

Nie mogłam sobie nawet wyobrazić, jak silnej potrzeba do tego magii.

Rowan z mojej prawej strony odrzucił na bok kij i wbiegł do jeziora. Z wdziękiem zanurzył się pod wodę, nawet jej nie rozbryzgując. Skrzywiłam się na samą myśl, domyślając się, jak zimno musiało już być w jezio-

rze, choć wiedziałam, że dopiero pod koniec miesiąca stanie się naprawdę lodowate. Wtedy głowa Rowana wynurzyła się ponad powierzchnię wody, która zabulgotała wokół niego niczym w pradawnym kotle, wirując i chluszcząc w nieoczekiwanych kierunkach. Wyglądało to niemalże, jakby rysowała wokół jego głowy torkwes i zaraz zaczęła popychać go naprzód; jakby uformował się świadomy prąd, którego zadaniem było jedynie napędzanie chłopaka.

Kiedy przyjrzałam się bliżej, dostrzegłam, że nie tylko woda mu pomaga. Wszędzie wokół niego ślizgały się srebrne ciała wszelkich rozmiarów i kształtów, a od ich łusek odbijało się światło słońca. Ogromna ławica ryb, być może wszystkie żyjące w jeziorze istoty, popychały go na środek jeziora.

Linden do końca życia będzie przezywać go Aquamanem.

Talia naprzeciwno mnie również ruszyła.

Granat na jej gardle lśnił jak boja nie z tego świata, a wokół niej unosiła się mgła, upiorna, nienaturalna, szara i jakby tłusta; poruszała się, jakby była żywym organizmem. Owinęła się wokół Talii swoimi mackami, po czym uniosła ją ku niebu.

Zaplątana w mgłę, dziewczyna pofrunęła na środek jeziora niczym ciemna kometa, zostawiając za sobą smolisty szlak.

Z szeroko otwartymi ustami przyglądałam się, jak pędzi niczym widmo; nigdy nie widziałam podobnego zaklęcia. Nie wiem, co to była za czarna magia Avramovów, ale nie dało się ukryć, że jest jednocześnie naprawdę zajebista i bardzo seksowna.

Problem polegał na tym, że Gareth i tak miał nad nimi przewagę.

Był już o tyle bliżej złotej róży niż Talia czy Rowan, że poczuł się dość komfortowo, by zwolnić do truchtu. Dołeczki w jego policzkach już się szykowały do triumfalnego uśmiechu. Był dość bezczelny, by złośliwie zasalutować Talii, a ta w odpowiedzi rzuciła mu ze swojej ciemnej chmury spojrzenie, które i mądrzejszego zmieniłoby w kamień.

Wtedy na jego głowę spadł wodospad i kaskada trzepoczących w powietrzu ryb.

– Co to, kurwa... – usłyszałam jego głos, kiedy próbował wytrzeć sobie oczy. – Co...

Zanim zdążył dokończyć zdanie, spadła na niego kolejna ulewa, przez co włosy przykleiły mu się do czoła, zasłaniając oczy. Opalizująca, tropikalna

ryba wiała się pod jego kołnierzem i zniknęła w fałdach jego szat, podczas gdy Gareth wiał się i wrzeszczał, waląc się w czoło.

Nawet otoczona magią płaszczka, nie mogłam powstrzymać rozkosznego chichotu – który wydobył się ze mnie pod postacią tak głośnego i okrutnego BUHAHAHA, że musiałam zasłonić usta dłonią i zacisnąć zęby.

Muszę zapamiętać, żeby nie robić tego nigdy więcej.

Gareth był przygotowany na kolejny prysznic Rowana.

Uniósł rękę i zamroził wodę, nim ta zdążyła spłynąć mu na głowę, rzeźbiąc tym samym lodowy łuk. Świetna zabawa – pomyślał sobie pewnie, bo, kiedy prześlizgnął się pod łukiem i zbudował sobie dalszą część mostu, na jego twarz powrócił zarozumiały wyraz. Koniec końców zawodnikom wolno było uprzykrzać sobie nawzajem życie – pod warunkiem że byli gotowi tracić na to czas, jednocześnie dążąc ku zwycięstwu.

Tyle tylko, że kiedy Rowan wysłał ponad lodowy most Garetha kolejną falę – wielką ścianę wody, pełną ciskających się, fioletowych kalmarów, a także najprawdziwszych pieprzonych płaszczek, które bez wątpienia nie pochodziły z Illinois – stało się jasne, że nawet nie próbuje dostać się już na środek jeziora. Został na miejscu, marszcząc mokre brwi i skupiając całą swoją energię na psuciu rywalowi szyków poprzez wysyłanie ku niemu kolejnych fal. Gareth mógł tylko zamrażać je, jedna po drugiej, póki któraś nieuchronnie nie zwali go z nóg.

Z rosnącą rozkoszą zdałam sobie sprawę, co zaplanowali. Rowan postanowił poświęcić się dla drużyny i całą swoją siłę skupić na tym, by pomóc swojej sojuszniczce zwyciężyć.

Dostrzegłam moment, w którym to samo objawienie spadło na Garetha. Nie był przygotowany na tę ewentualność. Spojrzał na mnie wściekle i uniósł ręce jak piłkarz skarżący się sędziemu, jakby chciał powiedzieć: „Zamierzasz wziąć się do roboty?!”.
Kiedy rozłożyłam niewinnie ramiona – „nikt nie łamie zasad” – warknął i, sfrustrowany, uderzył pięścią powietrze, po czym wrócił do gry.

Z całą mocą ruszył naprzód, rzucając się pod kolejne lodowe łuki i zatrzymując co kilka metrów, żeby zamrażać zaklęciem kolejne fale.

Mimo zaangażowania widziałam, że oklapł; następna wysłana przez Rowana fala nie dała się powstrzymać i spadła z chlupotem na głowę i ramiona Garetha. Tak bardzo go to wkurwiło, że tym razem przesadził – zaklął wodę z taką siłą, że stężała zbyt mocno i rozpadła się na tysiące lodowych odłamków.

Jeden z nich zadrapał Garetha w policzek, malując na nim jasnoczerwoną, krwistą linię – dokładnie w chwili, w której Talia zatrzymała się przy złoconej róży. Rysy jej twarzy rozblęły w miękkim świetle. Mokre włosy okalały jej twarz niczym czarne wodorosty, kiedy złożyła dłonie i sięgnęła po kwiat.

Ledwie go dotknęła, rozpląnął się w oślepiający blask, który zapłonął raz, drugi, trzeci, i zaraz zgasł. Grymuar pulsował pod moją dłonią. Spojrzałam w dół, żeby odczytać jego obwieszczenie. Grzmiący głos arbitрки pełen był mojego własnego podniecenia.

– „Na wschodzie i zachodzie, południu i północy, kwiat przyniosła dziewczinka, jak było w jej mocy!”. W pierwszej konkurencji zwyciężył ród Avramovów!

A wtedy na szczycie góry zapanował chaos.



Bawię się jak półbogini

Nagły chaos był jak tortura dla czułych uszu arbitra.

Nawet zasłaniając uszy dłońmi, słyszałam każdy kakofoniczny niuans, kiedy trójka dziedziców wracała do swoich obozów. Szmer zaskoczenia wśród Thornów, radość Avramovów (czy naprawdę wiwatowali w jakimś obcym, twardym języku, podczas gdy ponad nimi, niczym makabryczne fajerwerki, wznosiły się czarne pętle, czy też może ich radość zawsze brzmiała tak ostro?) i czysty gniew Blackmoore'ów.

Nagle Igraine Blackmoore ze wściekłością rzuciła ponad jezioro zakłęcie portalu.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktoś to robił, być może więc zawsze wyglądało ono dość agresywnie, ale w niej było tyle ekstrawagancji i złości, że nie sposób jej było z czymkolwiek pomylić. Potrzebowała ledwie trzech kroków, żeby znaleźć się koło mnie. Wyostrzonym wzrokiem Arbitra widziałam, jak znika w pryzmatycznym kokonie, otoczona perłową tęczą – pojawia się na wierzchołku nad jeziorem, gdzie jeszcze chwilę wcześniej unosiła się Talia – znika w kolejnym wirze załamującego się światła – i znów pojawia się tuż przede mną z miną morderczyni.

– Co to ma znaczyć, arbitrko Harlow? – zapytała matriarchini rodu Blackmoore'ów, a każde jej słowo wibrowało wściekłością. – Nic nie mówisz na bezprawną znowę Thornów i Avramovów? Nie odzywasz się nawet słowem, gdy mój syn broczy krwią?

Było coś odpychającego w tej archaicznej składni u kobiety, która wyglądała tak młodo, chociaż po części mówiła po prostu w afekcie. Rysy jej twarzy wyglądały, jakby zostały wyrzeźbione w lodzie, ale jej oczy niemal płonęły kobaltowym gniewem. Choć byli do siebie podobni, nigdy nie

widziałam na twarzy Garetha równie onieśmielającego wyrazu. On może i był zadufany, ale w porównaniu z babcią zdawał się ucieleśnieniem pokory i umiaru.

Trzeba przyznać, że to, co właśnie zrobiła, było niesamowitym dokonaniem. Otwieranie portali to potężne czary, ogromny pokaz mocy i woli; czarodziejski odpowiednik popisowego, niebezpiecznego ruchu w stylu potrójnego axla – takiego, który zapewni ci albo trofeum, albo połamane kości. Tyle że w tym przypadku nie tylko powietrze wirowało wokół, ale też czas i przestrzeń, wymiary owijały się jak wełna wokół druta, jakim było ciało czarownicy.

Pozornie pozbawiony wysiłku sposób, w jaki Igraine Blackmoore rzuciła zaklęcie, stanowił niewypowiedzianą groźbę.

– Nie przesadzajmy, twój wnuk ledwo się zadrapał – odparłam, prostując się. Ciężar płaszcza barwił mój głos nadmiarową pogardą. – A Thornowie i Avramowowie nie złamali żadnych zasad. Sama widziałas, że grymuar potwierdził zwycięstwo potomkini Avramovów.

Uniosła królewskie brwi, marszcząc czoło. Jeszcze odrobina wścieklej pogardy, a dotknęłyby jej wdowiego szpicu.

– Nie złamali zasad? – prychnęła. – Z tego, co rozumiem, arbitrką Harlow, są to zawody. A zawody polegają na tym, że konkuruje się we własnym interesie. A nie pomaga sobie nawzajem na szkodę wspólnego przeciwnika.

– Po pierwsze, to nie do końca prawda. Po drugie, być może powinnaś dokładniej przeczytać grymuar, seniorko rodu Blackmoore'ów – odparłam, nawet bez pomocy księgi przyjmując autorytatywną intonację arbitra. Nie znosiłam być prowokowana, a w tym przypadku nie wściekałam się jedynie w swoim imieniu. Czułam, jak bardzo butne oskarżenia Igraine obrażają magię płaszcza. Syczała i iskrzyła we mnie niczym wściekły kot, gdyby kot był wielkości małej góry, a wśród przodków miał smoka. – Na stronach księgi nie znajdziesz zakazu współpracy.

– Ona ma rację, Igraine – głos Gabrielle Thorn dobiegał z jakiegoś miejsca poza wściekłym spojrzeniem Igraine Blackmoore. – Może i Rowan, i Talia zachowali się dość niekonwencjonalnie, ale nie zrobili nic złego. Thornowie uważają, że zwycięstwo było fair.

Oderwałam wzrok od Igraine i popatrzyłam na resztę starszyny. Gabrielle i Aspen już do nas dołączyli, a tuż za nimi podążali Elena Avra-

mov i moi rodzice. Napotkałam wzrok Gabrielle, a w jej ciemnych, opanowanych oczach dostrzegłam uznanie, może nawet dumę.

Nie było to dla mnie zaskoczeniem: matka Linden sprawiała wrażenie osoby, która będzie dumna ze swojego syna za jego symboliczne poświęcenie dla Talii, nawet jeśli oznaczało ono przegraną w tej konkurencji.

– Ach tak? – odparła Igraine, spoglądając ostro na Aspena. – A czy ty jesteś równie przekonany, co twoja żona, seniorze rodu Thornów? Czy może również zastanawiasz się, dlaczego twój syn postradał zmysły i połączył siły z Avramovami?

– Będę wdzięczny, jeśli darujesz sobie uwagi na temat zmysłów naszego syna, Igraine – wycedził Aspen.

Za tą zwięzłą uprzejmością czaiło się ostrzeżenie, żeby przestała w ogóle mówić o jego dziecku, a zaraz za nim – niewypowiedziane słowo „suka”. Znałam ojca Linden jako sympatycznego, uśmiechniętego, piegowatego mężczyznę o podobnych do syna, orzechowych oczach, który zawsze służył wszystkim dobrą radą. Jednak jego krótko obcięte, czarne włosy były teraz oprószone siwizną, a zmarszczki wokół jego pełnych warg – wyraźniejsze, miał też wyraźnie mniej cierpliwości.

– Fakt, że konkurencja nie potoczyła się po twojej myśli to jeszcze nie powód, żeby być niegrzeczną – warknął. – Nie mam nic więcej do dodania. Gabrielle wyjaśniła ci nasze stanowisko.

– Niegrzeczną? – oburzyła się Igraine, Położyła pięść na piersi niczym śmiertelnie obrażona bigotka. – Nie jestem niegrzeczna, Aspenie, jestem zażenowana tą parodią. Tego rodzaju transgresja stoi w sprzeczności z tym, co fundatorzy naszego miasta mieli na myśli, tworząc turniej.

– Często ostatnio zagadujesz Caelię, co? – zapytała Elena Avramov, zarzucając na ramię taflę miedzianych włosów. Nie przyglądała się swoim szkarłatnym paznokciom dosłownie, ale jej znudzona mina sugerowała, że w myślach zajmuje się ich polerowaniem. W każdym jej ruchu był leniwy luz, czarodziejska energia, która z jakiejś przyczyny wydawała się prowokacyjna. – Nie miałam pojęcia, że zainteresowałaś się nekromancją, to naprawdę nieoczekiwane i ciekawe! Szkoda, że nie uprzedziłaś: chętnie bym do ciebie dołączyła. Następnym razem przyniosę paszteciki z kurczakiem i krew skarabeusza.

Matriarchini Blackmoore'ów spojrzała na nią z wściekłością:

– W odróżnieniu od niektórych, nie muszę burzyć spokoju naszej przodkini, jakby była jakimś zwykłym demonem, tylko po to, żeby ją zapytać,

czego ona by chciała.

Elena przewróciła oczami, na sekundkę wzniosła wzrok ku niebu.

– A więc to twoja autorska interpretacja. Cóż, nie sądziłam, że po tylu zwycięstwach będziesz tak obrażalska, Igraine. Czyż Blackmoore’owie nie są zawsze „ponad to”?

– Nie wtedy, gdy mojemu wnukowi oszustwem odbiera się należne zwycięstwo!

– Oszustwem? – Zblazowana aura zniknęła w jednej chwili, a w błyszczących oczach Eleny, barwy bladego jadeitu, z ciemniejszą obwódka, zapłonął ogień. Z jej dłoni zaczęły wydobywać się czarne bicze, zwijające się, dymiące wokół jej palców, zrobione z tej samej dziwnej materii, która przyspieszyła pęd Talii ponad jeziorem. – Sugerujesz, że mojej córce nie należy się zwycięstwo?

– To nie zwycięstwo, to przekłeta farsa! – wrzasnęła Igraine, szukając kolejnych ofiar, aż jej wzrok padł na mojego ojca, który stał z matką oddalony o kilka metrów od kłótni. – Och, James, tu jesteś! Nasz głos rozsądku! Jakie jest twoje zdanie jako kronikarza?

– Arbitrem z rodu Harlowów jest moja córka, nie ja – powiedział ojciec głosem tak zimnym, jakby z każdego słowa zwisały lodowe drobinki. – Dlatego też moja opinia jest bez znaczenia. To do niej powinnaś się zwracać, jeśli chcesz rozmawiać o zgodności z zasadami turnieju.

Mimo czarodziejskiego, łagodzącego efektu płaszcza, odetchnęłam z ulgą, słysząc wyraźne wsparcie mojej determinacji. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo się denerwowałam, że kiedy dojdzie co do czego, ojciec nie poprze mojej decyzji. Albo, co gorsza, że znów będzie mną rozczarowany, w całkiem nowy sposób.

Igraine milczała chwilę, zaciskając blade wargi i powoli kiwając głową. Nie poruszało się nic prócz jej lekko trzepoczących na wietrze szat. Ten bezruch wydawał się jakby groźniejszy niż wybuch złości – miał smak oszustwa i podstęp.

Kiedy odwróciła się do mnie, jej elegancka twarz ziała pogardą.

– Być może spojrzałam na sprawę od niewłaściwej strony i to nie zмова jest problemem. Być może to ty jesteś problemem, arbitro Harlow. Powiedz, skąd możemy wiedzieć, że działasz w dobrej wierze? – Patrzyła na mnie złośliwie. – Skąd mamy wiedzieć, że twój werdykt nie wynika z kwestii... bardziej osobistych?

Nie sądziłam, że Igraine wie o moim związku z Garethem, tak jak nie wiedzieli o nim jego rodzice, Lyonesse i Merritt. Jako córka Harlowów, przed wyjazdem z Thistle Grove nie zasługiwałam na uwagę Igraine i nie pamiętałam żadnej interakcji między nami. Nie zapominajmy też, że przez całe lato byłam tajemnicą Garetha; nie podejrzewałam, by miała pojęcie o naszej relacji.

No chyba że poskarżył się babci, w jak trudnym znalazł się położeniu i znów zaczął zgrywać ofiarę.

Wściekłość, która urosła we mnie w odpowiedzi, była jak czarodziejskie wezwanie.

Wzrastała niczym duch, nabierający celowości i masy; moje własne, skomplikowane uczucia do Garetha zostały wzmocnione przez czarodziejski gniew płaszcza, oburzonego na tak wyraźną demonstrację braku szacunku. Najwyraźniej zakłęcie miało własną zdolność odczuwania, która wnikała do mojej świadomości.

A arbitra turnieju naprawdę nie mogła znieść pieprzenia Igraine.

Niebieskie niebo nad nami gwałtownie zmieniło się w kocioł buzującego ołowiu. Sine chmury jakby znikąd pojawiły się na niebie, kotłując się i pędząc, aż zakryły ostatnią plamę błękitu. Jeśli nawet nie zapadła całkowita ciemność, to było naprawdę blisko; mrok był dość gęsty, by stłumić śpiew ptaków i brzęczenie owadów. W powietrzu pachniało ozonem. Cóż, teraz przynajmniej przypadkowe grzmoty nad wzgórzem nabiorą sensu!

Tyle że nagłą burzą byłam ja.

W nienaturalnej ciemności Igraine Blackmoore zakwiczała u moich stóp, a na jej twarz wstąpiła niepewność. Jej zaskoczenie sprawiło, że całe moje ciało przeszedł dreszcz satysfakcji.

„I co teraz, świętoszkowata suko?”

– JAK... JAK... ŚMIESZ! – zagrzmiałam, niepewna, czy sama wybieram słowa, czy karmi mnie nimi magia. – JAK ŚMIESZ PODAWAĆ W WĄTPLIWOŚĆ AUTORYTET PŁASZCZA, USZYTEGO DLA EMMELINE Z RODU HARLOW PRZEZ CZWÓRKĘ, KTÓRA STWORZYŁA DLA CIEBIE TĘ PRZYSTAŃ?

Przełknęła ślinę tak głośno, że niemal słyszałam, jak przepływa przez jej gardło.

– Nie, arbitro, ja...

Przerwałam jej gestem dłoni.

– ZWRACAJ SIĘ DO MNIE: „WASZA EMINENCJO”.

To akurat sama wymyśliłam, ale czarom to określenie najwyraźniej nie przeszkadzało.

– Wasza... Eminencjo – wycedziła Igraine, jakby podejrzewała, że ten rozkaz nie jest całkiem oficjalny. – Zastanawiam się tylko, czy nie dzieje się tu coś więcej. Coś, co stoi w sprzeczności z pierwotnymi zasadami turnieju.

– JA JESTEM ARBITRKĄ, UCIELEŚNIENIEM WOLI ZAŁOŻY-
CIELI TURNIEJU. I TO JA MÓWIĘ, JAKIE SĄ ZASADY.

Teraz to zaklęcie samo wydobywało się z moich ust, a ja byłam tu tylko dla towarzystwa. Z każdym słowem tembr mojego głosu zdawał się bardziej obcy, różne tony wydobywały się ze mnie mimowolnie, jakbym była opętana. Potężny, kobiecy głos należał do Caelii Blackmoore, męski bas do Alastaira Thorna, złowrogie mruczenie do Margarity Avramov, zaś ton Eliasa Harlowa był uprzejmy, lecz zdecydowany.

Stałam się ich echem, tymczasowym pojemnikiem na cienie, które po nich pozostały.

Przez chwilę dławiła mnie panika, że ogarnia mnie coś tak potężnego i obcego, a jednocześnie potrzeba, by wybić się na niepodległość – a potem przypominałam sobie radę babci, by nie walczyć z zaklęciem płaszczka.

Wzięłam głęboki oddech, rozluźniłam się tak bardzo, jak to możliwe, i porzuciłam kontrolę. Wreszcie po prostu odpuściłam.

Potem nagle coś jeszcze wyłoniło się z zaklęcia płaszczka: poczułam się trochę jak wtedy, kiedy pierwszy raz dotknęłam oryginalnego grymuaru. Poczułam świadomość unoszącą się ponad tafłę jeziora za moimi plecami, która sięgała tam, gdzie wodę musnęły odnóża ćmy; tam, gdzie na Hyslop Street podeszwy butów przestraszonej ciemnością, małej dziewczynki uderzały o bruk, kiedy biegła do rodziców; tam, gdzie dym unosił się z kominów palenisk naładowanych drewnem na zimę; tam, gdzie liście szumiały w dziwnym lesie za The Bitters, a gąsienice zwisały z ich czubków niczym przecinki. I w wiele innych miejsc, więcej, niż byłam w stanie zarejestrować.

Przez chwilę to ja byłam Thistle Grove, a miasto było mną.

Taka masa przepływającej przeze mnie magii powinna mnie przerazić, ale tak się nie stało. Teraz, kiedy pozwoliłam jej po prostu płynąć, była cudowna, dodawała mi siłę, jak skok do jeziora po dekadzie pragnienia i pierwszy łyk słodkiej wody w wysuszonym gardle.

Słodko-gorzka świadomość, że magia ta jest jedynie pożyczona, była też przejmująca. Nagła myśl, że będę musiała to wszystko porzucić i wrócić do

mojego małego, rzeczywistego życia,omal nie zbiła mnie z nóg.

Wtedy jednak czary płaszcz podwoiły się, skupiając moją uwagę na jednym: musiałam skłonić Igraine, by postępowała zgodnie z moją i jego wolą.

Zgięłam się w pasie i pochyliłam nad nią ogromną twarz.

– Rozumiemy się, senioro rodu Blackmoore’ów? – zapytałam bardziej opanowanym tonem, przywodzącym na myśl raczej niewielką lawinę niż dudniące gromy.

Wargi jej drgały: poczucie, że ktoś ją zdominował, musiało być dla niej jednocześnie całkiem nowe i nieznośne. Kiedy płaszcz uznał, że zbyt długo się waha, z chmur nad naszymi głowami zstąpiła błyskawica, która wylądowała w moich dłoniach. Tańczyła na nich jak elektryczna sieć, ciepła i łaskocząca, jak generatory Van de Graaffa, od których włosy stają dęba.

Jeśli w głębi duszy kryłam jakiś kompleks wyższości, bez wątpienia został zaspokojony. „Wiecie co? Mogłabym się do tego przyzwyczaić”.

– Rozumiemy się? – powtórzyłam powoli i jedwabście, poruszając palcami, aż wydobyły się z nich iskry.

– Tak, Wasza Eminencjo – zdołała powiedzieć, wykonując coś między dygnięciem a ukłonem. Jakby niechętnie musiała przyznać, że pochodzę z królewskiego rodu albo jednego z mniej znanych panteonów. – Choć brak szacunku nie był moją intencją, ród Blackmoore’ów składa najszczerze przeprosiny. Zostawmy na boku to... niefortunne nieporozumienie i ruszajmy naprzód.

Serio, mogłabym się przyzwyczaić do roli półbogini.

– Przeprosiny przyjęte – powiedziałam, prostując się. Błyskawica w mojej dłoni zgasła, jakby została uziemiona między moimi stopami. Gąszcz chmur popędził w stronę horyzontu, niczym fotografia pokłatkowa cofającej się burzy. – Raz jeszcze, tak by wszyscy słyszeli: w pierwszej konkurencji zwycięża ród Avramovów!

Tym razem nastąpił wybuch czystej radości, ponad którym górował triumfujący pisk – jak podejrzewałam, należący do Talii. Kiedy spojrzałam ponad taflą jeziora na jej obozowisko, zobaczyłam, jak wisi ponad resztą Avramovów w chmurze materii czarnej jak atrament i krucze pióra złączone w powietrzu.

Choć byłam upojona czarami płaszcz, kiedy uśmiechnęła się do mnie – wdzięczna, zwycięska, jakby półdzika – ogarnęło mnie podniecenie silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.



Puszcza Czarownic

– Ej, na to się nie pisałem – kwęknął Rowan Thorn. Butelki wina, które przynieśli z Linden na ognisko Avramovów, uderzały o siebie z brzękiem w torbie na jabłka, zwisającej z jednej z jego dłoni. Nad drugą dłonią unosiła się kula czarodziejskiego światła, która pozwalała dostrzec drogę w gęstym lesie za The Bitters. – Możemy spiskować, ale serio, nie miałem potrzeby przychodzić dziś w nocy do tego lasu, gdzie drzewa wyglądają, jakby chciały mi wysać duszę przez dziurki od nosa.

– Nie bądź takim tchórzem. – Linden ofuknęła bliźniaka, bez trudu dotrzymując mu kroku dzięki swoim długim nogom. Jej zakłęcie iluminacji przyjęło inną formę: chmury migotliwego blasku, która zdawała się emanować z jej skóry, jakby posypano ją bioluminescencyjnym planktonem. Był naprawdę piękny, a ona wyglądała jak lądowa syrena. – Obiecaliśmy Tal, że będziemy z nią świętować. A to tylko drzewa! Chciałabym ci przypomnieć, że to nasza domena.

– Nasza domena to przyroda. A to? – Gestem wskazał groźne, majaczące wokół konary. – To jakieś nawiedzone cholerstwo Avramovów.

– Przecież mówiłeś, że lubisz Talię! – zaprotestowałam. Wlokłam się nieco z tyłu, bo miałam do dyspozycji tylko starą latarkę, a mrok Puszczy Czarownic zdawał się stawiać aktywny opór zwykłemu światłu.

– Talia jest w porządku. Ale reszcie jej rodziny przydałaby się interwencja. – Rowan skulił ramiona i zerkał niespokojnie na wykrzywione konary wiszące nad naszymi głowami. – Zwłaszcza, jeśli uważają, że tak wygląda dobre miejsce na imprezę.

Tu akurat miał rację: Puszcza Czarownic była naprawdę przerażająca. Oficjalnie nazywa się „Lasem Dziedzictwa”, ale nigdy nie słyszałam, by

ktoś z lokalsów tak o niej mówił, i wcale się nie dziwię. Chociaż sama jestem czarownicą, przez całą drogę zerkałam przez ramię, a włoski na karku raz po raz stawały mi dęba. Sklepienie z gałęzi było splecione tak gęsto, że całkiem znikło za nim światło księżycy i migoczących nad Thistle Grove gwiazd, które przypominają lodowe wiórki. Nisko nad ziemią pełzały wąsy mgły, przyklejające się do grubych korzeni masywnych drzew. Jej wiązki oplatały gałęzie pradawnych, wijących się tu i tam zimozielonych roślin, jakby mogła lewitować w górę i w dół zależnie od kaprysu.

Co miało sens, bo byłam absolutnie pewna, że mgła jest zrobiona z duchów.

Chociaż, technicznie rzecz biorąc, las był własnością publiczną, traktowano go jako posiadłość Avramovów, jako że nikt inny nie chciał do niego wchodzić. Sama w ramach wyzwania raz czy dwa zakradłam się tu w liceum jak każda szanująca się nastolatka, ale nigdy nie zaszłam aż tak daleko, a już na pewno nie w nocy. Ciemność zdawała się żywa, kątem oka dało się dostrzec jej śliski ruch. Jakby jakieś rzeczy wślizgiwały się w pole widzenia, by zaraz z niego zniknąć.

I to takie rzeczy, które bynajmniej nie obiecywały zyczliwości.

– Zgadzam się z tobą – powiedziałam do Rowana, wciskając sobie latarkę pod pachę, żeby wolnymi rękami otworzyć butelkę Tanqueraya, która była moim wkładem w imprezę i wziąć łyk. Uznałam, że Talia się nie obrazi, jeśli otworzę ją wcześniej. Ziołowy smak ginu wypełnił moje gardło przyjemnym ciepłem. Natychmiast przegonił duchy, przynajmniej w mojej wyobraźni. – Mnie też niezbyt się tu podoba.

– Dobra wiadomość jest taka, że jesteśmy już prawie na miejscu – powiedziała Linden, wyciągając telefon z kieszeni i mrużąc oczy w niebieskim półmroku. – Tal mówiła, żeby skręcić w lewo przy, cytuję, „jaworze, który wygląda jak brama do piekła”.

– Wspaniale – mruknęłam, omal się nie przewracając, kiedy palec utknął mi między korzeniami. – Brzmi doskonale.

– Okropne, ale pomocne! – Lin uśmiechnęła się słonecznie. Porażka Garetha i sposób, w jaki uciszyłam Igraine, wyraźnie poprawiły jej humor. – To chyba tu.

Kiedy skręciliśmy, wzięłam jeszcze jeden uspokajający łyk, odrywając wzrok od skręconych korzeni jaworu. Opis Talii był w punkt: drzewo wyglądało totalnie jak z filmu Guillermo del Toro.

Leżąca za nim polana zdawała się wyjęta z całkiem innego gatunku filmowego.

Pozbawiona ciemnego baldachimu, niemal lśniła w świetle księżyca i cukrowej kaskady gwiazd. Na jej środku na stojaku umieszczono miedziany kocioł, w którym płonął ogień, rozrzucający wokół syczące iskry. Nie przypominało to zwyczajnego ogniska, lecz raczej olimpijski płomień – Avramovowie najwyraźniej nie zamierzali się hamować w czasie świętowania zwycięstwa Talii.

Powietrze pachniało zarówno magią, jak i prawdziwym kadzidłem: piżmowe, bursztynowe podmuchy unosiły się ponad ogień. Dokoła stały drewniane meble; kilka stołów o stylizowanych nogach, ławy z oparciami z rzeźbionego drewna i szeslongi tapicerowane aksamitem. Było tam nawet parę łóżek wyłożonych poduchami i zwieńczonych brokatowymi baldachimami, które powiewały na chłodnym wietrze. O dziwo, te barokowe meble zdawały się tam całkiem na miejscu. Jeśli już, efekt przywoływał na myśl mroczne bachanalia, jakbyśmy przeszli przez kamienny krąg i wbili na rozpoczęcie jakiegoś wyluzowanego, lecz luksusowego spotkania wróżek.

– Wstrętne. Nawiedzone. Cholerstwo – mruknął Rowan.

– Może byś przestał zrzędzić, Row? – Linden szturchnęła go w bok. – Nie wiem, czy pamiętasz, ale jesteśmy ich gośćmi. Poza tym całkiem tu uroczo.

Kiedy podeszliśmy do ceremonialnego kotła, mijając grupki świętujących, z jednej z kanap podniosła się Talia.

Podeszła do nas z kielichem w dłoni.

Mimo chłodu, spod jej długiej, wykończonej czarną koronką sukienki wystawały bose stopy. Makijaż jej oczu był lekko rozmazany, wargi – zabarwione winem, a z luźnego koczka na jej głowie zwisały zabłąkane kosmyki. Wyglądała na rozluźnioną, ale wciąż triumfującą, jakby zdrzemnęła się przed całym tym świętowaniem.

Jej rozczochrana doskonałość pokonała wszystkie moje mechanizmy obronne i uderzyła mi do głowy jak szot adrenaliny.

– Priwiet, przyjaciele! – zawołała. A więc czasem naprawdę mówili po rosyjsku! Dygnęła, nie zatrzymując się. Chociaż gest był świadomym wygłupem i choć wylała przy okazji trochę wina, była pełna gracji. – Witajcie w puszczy!

Naśladując europejskie przywitanie, pocałowała w policzek Linden, potem Rowana, a na końcu mnie. Poczulałam na policzku ciepły ślad jej ust,

kiedy musnęła moją skórę – zauważyłam, że zatrzymała się na dłuższą chwilę. Żołądek mi się ścisnął, po czym wybuchł kaskadą iskier, kiedy wycofała się i uśmiechnęła dyskretnym uśmiechem, który nie był skierowany do Rowana ani Lin.

Cokolwiek się tu działo, miałam przekichane.

– Priwiet, serio? – uśmiechnął się Rowan. – Widzę, że nieźle doicie to wasze słowiańskie dziedzictwo. Twoja rodzina mieszka tu od trzystu lat tak jak nasze, prawda? Wydaje mi się, że wystarczyłoby zwykłe „cześć” albo nawet „jak leci”.

– Język matczyzny płynie w naszych żyłach, mój drogi współniku Rowanie Thornie – oznajmiła Talia, unosząc podbródek. – A kimże ja jestem, by odrzucać jej wołanie?

– Po prostu uważasz, że brzmi zajebiście – zaśmiała się Linden. – Znasz więcej niż trzy słowa?

Talia wzruszyła jednym ramieniem.

– Na potrzeby turystów wystarczy. Picie wódki również traktuję jako hołd dla moich przodków.

– To wygodna perspektywa – powiedziałam, unosząc w pozdrowieniu moją butelkę whiskey. – A tak w ogóle: gratulacje! Nie miałam jeszcze okazji.

Rodziny rozproszyły się tuż po mojej konfrontacji z Igraine. Ja wróciłam z Harrows Hill prosto do domu, wycieńczona czarami płaszczą. Planowałam krótką drzemkę, ale wiadomości od Talii i Linden o dzisiejszej imprezie obudziły mnie, kompletnie zdezorientowaną, sześć godzin później.

– Dziękuję, arbitro Harlow – powiedziała, z uśmiechem wypowiadając mój tytuł. – Ty też byłaś epicka.

– Zgadzam się – dodał Rowan. – Co prawda przegrałem, ale warto było popatrzeć, jak upokarzasz tego napalonego dupka i jego babunię.

– To zasługuje na prawdziwy toast – oznajmiła Talia. – Pijemy?

Cała nasza trójka ruszyła w stronę stołu pełnego butelek alkoholu i karefek czerwonego wina, które w świetle księżyca przybrało niemal czarną barwę. Ustawiono na nim też pyszne przekąski: srebrne półmiski posypanych solą, czekoladowych truflif, tace pełne serów i winogron, plecione bochny chleba. Królowała dekadenccka estetyka Persefony, od której ja zawsze, na wszelki wypadek, stroniłam.

Pomijając kwestię „wstrętnego nawiedzonego cholerstwa”, Rowan najwyraźniej nie miał podobnych wątpliwości, bo od razu zaczął wypełniać

swój talerz. Talia tymczasem naląła nam wszystkim wina.

– Co tam, siostrzyczko? – zapytał Rowan w odpowiedzi na karzące spojrzenie Linden; najwyraźniej ona odniosła podobne wrażenie co do jedzenia.

– Właściwie samodzielnie wywołałem tsunami, jestem głodny jak wilk. Zaryzykuję.

– Boicie się, że jest zatrute? Nie jest – zapewniła go Talia, podając nam kieliszki. Odstawiłam gin na stół, bo nie byłam przekonana, czy powinnam od razu mieszać alkohole. – Nie zaprosiliśmy żadnych wrogów. I, na wszelki wypadek, nie dopuszczaliśmy do niego Adriany. Poczucie humoru mojej młodszej siostry jest dość... zagadkowe.

– Co to znaczy: „zagadkowe”? – Rowan zatrzymał się w połowie gryza.

– Och, przysięgam, że z jedzeniem wszystko jest w porządku – zapewniła Talia, machając wolną dłonią. – Cała ta faza na zmienianie kształtów, którą miała ostatnio Addie, chyba już jej przeszła. Teraz jest już generalnie znacznie mniej przerażającym dzieckiem.

Rowan przełknął ślinę i pokręcił głową z zamkniętymi oczami.

– Jasna cholera, nawet wasze dzieci są pokręcone.

– Cóż, zamieszkujemy przestrzeń pełną... twórczej anarchii – odparła niezrażona Talia. – Tak nam pasuje. A skoro ja jestem gospodynią, może ktoś inny wzniosłby toast?

– Za to, byśmy zawsze wygrywali z dupkami z rodu Blackmoore'ów! – zawołała Linden, unosząc pięść.

– Albo może... „Dalej! Żwawo! Hasa! Hej! Buchaj, ogniu! Kotle, wrzej!” ¹ – zasugerowałam. – Zapożyczone, ale mocne, nie?

Talia gwizdnęła z uznaniem.

– I takiej energii potrzebujemy!

Linden otoczyła mnie ramieniem, wszyscy unieśliśmy kielichy i trąciliśmy się nimi, spoglądając sobie w oczy i powtarzając mój durny, a jednak doskonale pasujący do sytuacji toast. W świetle księżycy i mocnym blasku gwiazd, na polanie, która pachniała usychającymi liśćmi, czarami i płonącym drewnem, poczułam tak silną przynależność, że moje oczy nagle wypełniły się łzami. Potem przyszła tęsknota za domem, nostalgia, która budziła się we mnie, kiedy osiedlałam się w mojej kawalerce w Bucktown, tak daleko od bliskich.

„Weź się ogarnij” – zbeształam się w myślach. – „Kochasz swoje życie, a to nie jest już twój dom. To tylko spotkanie po latach budzi w tobie tęsknotę. Przejdzie ci”.

Powstrzymałam łyżę i żeby odgonić chandrę, wzięłam kolejny łyk wina. Jego smak był bogaty i ciemny, jakby owoce na niego zbierano kiedyś w świetle księżyca w jakimś nadprzyrodzonym królestwie.

– Przepyszne – powiedziałam Talii. – Co to jest? Smakuje naprawdę wyjątkowo.

– To? – Wzruszyła ramionami, zerkając na swój kielich. – Nazywa się chyba Seven Deadly Zins. Musiałabyś spytać Issę. To ona poszła na zakupy do monopolowego i do Whole Foods.

Wybuchłam śmiechem. Poczułam się jak kretynka.

– Serio? A mnie jego smak przywodził na myśl krainę wrózek.

– To dlatego, że w głębi duszy jesteś poetką, Harlow – odparła z półśmiechem. Jej blade oczy świeciły w ciemności. – Nawet kiedy próbujesz to ukryć.

Zastanawiałam się, co w niej takiego jest, że patrzenie na nią wydawało mi się niemal zakazane? Czy to niesamowita, wilcza szarość jej tęczy, intensywność spojrzenia, czy może to, jak kształt jej oczu zmieniał się za sprawą brwi?

Cokolwiek by to nie było, kiedy już nasze spojrzenia się spotykały, nie mogłam się oderwać.

W tym momencie do Talii podbiegła jedna z jej młodszych sióstr, objęła ją i pocałowała w policzek.

– Hej, sjestra! – powiedziała, opierając skroń o skroń Talii. – Tak mi się wydawało, że czuję zapach świeżej krwi.

Jeśli dobrze pamiętałam, Isidora Avramov była trochę młodsza ode mnie – miała dwadzieścia trzy czy dwadzieścia cztery lata – i znacznie bardziej od Talii przypominała ich matkę. Miała bladozielone oczy i ciemnokasztanowe włosy Eleny, a niezliczone piegi na jej twarzy przywodziły na myśl jajko rudzika. Ponad jej steampunkowym gorsetem z brokatu i skóry, który włożyła do stylowo niechlujnych spodni z aksamitu, widniała – oprócz granatu Avramowów – masa wisiorów z wyrytymi na nich runami. Z kolei jej niemal pozbawiona makijażu twarz była zaskakująco świeża i rumiana. Cały jej styl zasługiwał na jakąś nową nazwę. Truskawkowy punk? Burleska z cynamonem?

Nie wiem, jak go nazywała, ale wyglądała świetnie.

– Postaraj się nie zjeść moich gości, Issa – powiedziała Talia, żartobliwie przewracając oczami. – To przyjaciele, nie jedzenie.

– Niestety nic nie mogę obiecać. – Uśmiechnęła się do mnie szeroko i słodko; nic w jej uśmiechu nie zdradzało zapędów do krwiożerczego kaniibalizmu. – Emmy, prawda? Wspaniale cię wreszcie poznać. Nie licząc spotkania z twoją postacią chtonicznej bogini – która zresztą jest totalnie zaje-bista. Czadowa, serio.

– Yyy... dzięki?

Jej wciąż rozbawione oczy spoczęły na Linden, której przesłała zawa-diackie pozdrowienie.

– Ciebie też miło widzieć, Thorn. Musiałaś się czuć epicko, widząc bole-sny upadek tego sukinkota. Myślałam, że się zsikam w majty, kiedy kała-marnica walnęła go w ten głupi ryj.

– Nie będę udawać, że nie towarzyszył mi pewien dreszczyk emocji – przyznała Linden, a ja przypomniałam sobie, że to Isidora jako pierwsza rozpracowała zdradę Garetha.

Teraz spojrzenie Issy spoczęło na Rowanie, który właśnie dołączył do naszej grupy po tym, jak doładował sobie jedzenia na talerz. W jednej chwili z jej twarzy znikło całe ciepło, pozostawiając ją tak lodowatą i nie-ubłąganą, jakby stała się zupełnie innym człowiekiem. Kiedy jej palce powędrowały, żeby dotknąć jednego z wisiorów, okultystyczne ozdoby stały się nagle bardziej złowieszcze. Wyglądała, jakby wyszła z jednej z tych opowieści, w których arogancki młody szlachcic nie odnosi się z odpowiednim szacunkiem do ubogiej starowinki, która potem okazuje się potężną, urażoną (i zazwyczaj bardzo seksowną) czarodziejką.

– Rowan Thorn – powiedziała, jakby wypowiadała klątwę.

– Isidora – odparł ostrożnie. – Cześć. Dzięki za zaproszenie.

– Nie mówiłaś, że on też przyjdzie, Talio – powiedziała Issa, jakby w ogóle się nie odezwał, a zaimek wypełniła godną podziwu dawką pogardy.

– Wiedziałaś, że pracujemy razem – odparła Talia z westchnieniem pełnym irytacji. – Mogłaś się go spodziewać. Poza tym nie sądziłam, że ciągle tak to przeżywasz.

– Przeżywam – stwierdziła Issa, nie przestając zerkać na Rowana zło-wrogo. – I nie przestanę.

– OK, w porządku! – powiedział, unosząc brwi i wycofując się. Niezły ruch, biorąc pod uwagę, że młodsza siostra Talii emanowała taką wrogo-ścią, że powietrze wokół niej falowało, jak miraż. – Było... miło, ale chyba już się pożegnam. Lin, zostaniesz z Emmy czy...?

– Nie! – odparła Linden tak prędko, że odwróciłam się, żeby sprawdzić, jakie sygnały wysyła jej brat, że aż zamarła ze strachu. – To znaczy... Em, może tak być? Nie chcę, żeby Rowan wracał do domu sam.

– Yyy, jasne, jeśli naprawdę nie chcesz zostać – powiedziałam, coraz bardziej zaskoczona.

– Przypilnuję, żeby Emmy bezpiecznie wróciła do domu – zapewniła ją Talia. – Dzięki, że wpadliście. Przykro mi, że musicie już iść.

– Nic nie szkodzi! – zawołała Linden przez ramię i zaraz popędziła za bratem, który zbliżał się już do granicy lasu, z każdym krokiem uderzając związanymi w kucyk lokami o szerokie plecy. – Em, wpadniesz jutro na lunch do sadu?

– Jasne! – zawołałam w odpowiedzi, kiedy znikali w ciemności krzaków, jakby las połknął ich w całości.



Nie, nie, duchy mieszkają w drzewach

– Co to w ogóle było? – zapytałam Talię, kiedy ruszyliśmy ku jednej z wyłożonych poduchami kanap blisko ognia. Isidora zaraz wróciła bawić się dalej, a mnie zalewały kolejne fale podniecenia: nie spodziewałam się, że spędzę dziś czas sam na sam z Talią.

– Tak naprawdę to nie wiem. – Usiadła, podwijając jedną z drobnokościstych stóp, a ja zrobiłam to samo. Jej kostka była szczuplutka jak u łani, a mnie przed oczami stanął na chwilę obraz owijania wokół niej palców, zanim znów skupiłam się na jej słowach.

– Issa o dziwo nic nie chciała powiedzieć. Wiem tylko, że nie byli parą. Chyba kilka lat temu przez jakiś czas razem pracowali i coś poszło nie tak. Issa pewnie przesadza jak zawsze. – Talia pokręciła głową z irytacją. – W kwestii chowania urazy w porównaniu z nią jestem łagodna jak disneyowska księżniczka.

– To przerażająca myśl. Chociaż nie bardziej niż fakt, że wasza najmłodsza siostrzyczka lubi rzucać klątwy. To prawda czy tylko robiłaś sobie jaja z Rowana?

Talia zachichotała, drażniącym i słodkim śmiechem, który przyprawił mnie o dreszcz.

– Może rzeczywiście trochę przesadzałam. Ale Thorna tak łatwo zrobić. Spojrzałam na nią podejrzliwie.

– To zmienia ludzi w golce piaskowe czy nie?

– Niezłą masz wyobraźnię. Postaraj się nie wspominać o tym pomyśle w obecności Addie.

Nie oderwałam od niej wzroku, więc się poddała.

– Dobra, teraz serio. Nie, nigdy nie udało jej się zmienić nikogo w golca piaskowego. Ale kiedy jeden z mniej istotnych Blackmoore’ów zdenerwował ją w pierwszej klasie liceum, próbowała durnia zmienić w rybę-kleks, na co pewnie zresztą zasługiwał. Szczęśliwie Issa rzuciła zaklęcie przeciwne, zanim Addie zdołała wpędzić nas wszystkich w kłopoty jako nieletnia rzucająca niekontrolowane klątwy.

Talia na luzie opowiadała o tych wszystkich klątwach, ale sędziowie Thistle Grove byli bardzo niechętni czarnej magii tego rodzaju – szczególnie Igraine Blackmoore. Nawet najmłodsze wiedźmy wiedziały, że nie wolno sobie z niej nawet żartować.

– Koniec końców po prostu przez pewien czas wyglądał trochę... ślisko – dokończyła, uśmiechając się na samą myśl. – Błyszczął, ale tak obrzydliwie, jak tygodniowe pierogi. Nie podkabluj nas. Coś mi się wydaje, że w tym konkretnym przypadku Igraine niechętnie zasądziłaby przedawnienie.

– Nie wydam cię, nie martw się – zapewniłam ją, chichocząc w kieliszek. – „Ślisko”. Brzmi obrzydliwie.

– Och, to było absolutnie obrzydliwe – powiedziała Talia, uśmiechając się szeroko. – Potem Addie rozpuściła plotkę, że to rzadka i bardzo zaraźliwa forma choroby przenoszona drogą płciową. Koniec końców wyszło na jej. Mądra dziewczyna.

– A więc słusznie uznałam cię w szkole za typ „chaotyczny neutralny” – powiedziałam, upijając łyk wina. – O Issie i waszej matce pomyślałam to samo. Wszystkie macie vibe w stylu: „Jestem kobietą, strzeżcie się”.

– Owszem, bardzo się staram być wredną babą – Znowu zachichotała, a płomień odbijały się w jej niebieskosrebrnych tęczęwkach. – Chociaż Issa, Addie, a nawet Micah bardziej przypominają naszą matkę. Przynajmniej pod pewnymi względami.

– Czemu tak uważasz?

– Wiesz, trudno zarzucić Elenie brak luzu, w zasadzie w każdej sferze życia. Każda z nas ma innego ojca. Nigdy nie pozwoliła nikomu zostać przy sobie na tyle długo, by mógł się stać jej prawdziwym partnerem, a tym bardziej współrodzicem. Dzięki temu miała więcej władzy, sama sobie będąc partnerką. Ale nie powiem, że bym to rozumiała.

– A więc nie tego chcesz? – spytałam ostrożnie, niepewna, co właściwie chcę usłyszeć. Nie miałam przecież zamiaru zostawać tu dłużej niż miesiąc ani zaczynać żadnego poważnego związku z kimś tu mieszkającym. Roz-

błyskająca między nami iskra pożądania... była chwilową, niespodziewaną przyjemnością, miłym wytchnieniem od wszystkich wspomnień i problemów, jakie towarzyszyły powrotowi do domu. Talia również musiała o tym wiedzieć, biorąc pod uwagę, że otwarcie mówiłam o swoich uczuciach do tego miasta.

Czemu więc nagle byłam zainteresowana tym, czego pragnie?

– Nie chcę – odparła Talia, przechylając głowę, żeby napotkać moje spojrzenie. Wstrzymałam oddech, słysząc w jej głosie przekonanie i determinację. Absolutną pewność. – Już nie. Taka samodzielność... sprawia, że odchodzą od ciebie ważni ludzie. Tacy, których chcesz mieć przy sobie.

– Czy coś takiego stało się przed Garethem? – zapytałam łagodnie. Kiedy jej twarz zdawała się zamykać przede mną jak żelazna brona, spróbowałam wycofać się tak pospiesznie, że omal nie potknęłam się o własne nogi. – Przepraszam, ja... nie chciałam być wścibska. W Kotle mówiłaś, że miałaś złamane serce, więc zastanawiałam się, czy...

– Nic się nie stało, Harlow, to dobre pytanie. – Zaciśnęła wargi, zębami czyszcząc je z wina. – Ale nie chcę dzisiaj rozmawiać o Jess. Nie mówię, że nigdy ci o niej nie powiem: po prostu nie dzisiaj. Nie teraz, kiedy powinniśmy świętować.

– Jasne, rozumiem – zapewniłam ją, ciesząc się, że nie popsułam atmosfery nieodwołalnie. – A skoro już jesteśmy przy świętowaniu, czy możesz mi wytłumaczyć, czemu urządziliście imprezę w tym przerażającym lesie? Zakładam, że nie umknął twojej uwadze fakt, że to miejsce jak z horroru?

– Nie jest taki zły. – Spojrzała w stronę okropnych drzew, a jej spojrzenie złagodniało, jakby budziły w niej czułość. – Jeśli już, raczej niezrozumiany.

Widząc moje pytające spojrzenie, wstała jednym zgrabnym ruchem przywołującym na myśl jedno zgrabne pociągnięcie pióra na płótnie.

– Pokażę ci – powiedziała, wyciągając do mnie dłoń. – Łatwiej będzie ci zrozumieć, jeśli będę z tobą.

– Nie wiem, co tu jest do zrozumienia – powiedziałam, wzdragając się na samą myśl. – Wydaje mi się, że całkiem nieźle je poznałam, idąc tutaj.

– Zaufaj mi, Harlow – nalegała. Mówiła satynowym głosem, za którym poszłabym nawet do umiarkowanie parzących kręgów piekielnych, a tym bardziej do groźnego lasu. – Przysięgam, że jest tego wart. A czy kiedyś cię oszukałam?

– Powiedzmy sobie szczerze: nie miałaś zbyt wielu okazji.

Patrzyła na mnie tylko, unosząc ciemne brwi. Wahałam się jeszcze chwilę, ale zdecydowałam, że przynajmniej wchodzę do lasu w towarzystwie jednej z tych istot, które mogłyby w nim straszyć. Cholera, przynajmniej tyle.

Kiedy położyłam dłoń na jej dłoni, Talia splotła swoje palce z moimi i ruszyliśmy ku drzewom. Zatrzymała się obok jednego ze stołów, żeby zabrać ze sobą lampkę naftową, której płomień został zaczarowany, by świecić niezmiernie seledynowym światłem. Jej skóra w mojej chłodnej dłoni była gładka i zaskakująco ciepła – ciepło to zdawało się przenikać do mojego krwiobiegu. Zaczęłam rozmyślać o tym, jak poczułabym się, gdyby dotknęło mnie całe jej rozgrzane ciało, gdyby nie było między nami nic prócz pajęczynowego muśnięcia pościeli.

Kiedy porzuciłyśmy światło polany i wstąpiłyśmy w ciemność lasu, seksowne myśli szybko zniknęły. Drapieżna cisza pełna była napięcia; zapanało jakieś poważniejsze, cięższe skupienie, jakby spadł na nas wszechwiedzący cień lasu albo jakby złote oko Saurona wpatrywało się w nas jak reflektor. Jakby na potwierdzenie mojego wrażenia, w naszym kierunku zdawała się zbliżać mgła, a granat na szyi Talii rozbłysnął ostrzegawczo.

– Co się dzieje? – zapytałam zdecydowanie zbyt piskliwie, by brzmieć atrakcyjnie, a moją skórę pokryła gęsia skórka. – Słuchaj, stara, mnie się to naprawdę nie podoba, ani trochę.

– Uspokój się, Harlow – Mocno ścisnęła moją dłoń. – Wszystko jest w porządku. To tylko... powiedzmy, że las się ze mną wita. Wiem, że to przerażające, ale to tylko powitanie.

Kiedy starałam się nie oddychać jak hiperwentylujący królik – najwyraźniej łączyło mnie z Thornami upodobanie do ciepłej, iskrzącej magii – Talia poprowadziła mnie pod ogromny dąb, którego pień pokrywały tak rozpaczliwe wybrzuszenia i narośla, że wyglądał, jakby miał zapłakać kielkującymi oczami.

Pochyliła się, żeby odstawić lampę, po czym zdjęła z ramion wykończony frędzlami szal i ułożyła go na wilgotnej ziemi. Potem usiadła ze skrzyżowanymi nogami pomiędzy ogromnymi korzeniami dębu i gestem kazała mi sięść tak, żebyśmy stykały się kolanami. Z delikatnym westchnieniem ułożyła dłoń na odpadającej korze.

– Przesłona jest tu bardzo cienka – powiedziała cicho, a powieki opadły jej do połowy, kiedy skupiła się na czymś znajdującym się poza moją percepcją. – Nawet jeśli nie badasz strefy liminalnej tak jak my, zapewne

wyczuwasz to instynktownie. A miejsca, w których przesłona jest tak cienka... należą do nas.

– Co to znaczy, że do was należą? – zapytałam, również szepcząc. Wiedziała, że to Avramowowie ze wszystkich rodzin mieli najbliższy kontakt ze światem duchów, ale nie opowiadali o swojej sympatii otwarcie. Wręcz przeciwnie: byli znani z upodobania do sekretów, otaczał ich tworzony świadomie – i czasem nieznośny – nimb tajemnicy.

– Jest w nas coś, co przyciąga duchy – powiedziała. – Być może jesteśmy wyjątkowo żywi. Nasze dusze są jasne – można by sentymentalnie powiedzieć. Dlatego mieszkańcy drugiej strony są nami tak zainteresowani. Jakby przesłona między światami stawała się cieńsza tam, gdzie my akurat jesteśmy.

Zastanowiłam się chwilę; idea, jakoby Avramowowie byli nadprzyrodzonymi piorunochronami wydała mi się nagle oczywista.

– A więc przyciągacie duchy jak magnes.

Powstrzymała śmiech.

– Jeśli chcesz, żebym wycofała wcześniejsze słowa o twojej poetyckiej duszy, to jasne: jak magnes. Jeśli jednak wolisz mniej banalne metafory, jesteśmy raczej jak latarnie morskie. Martwi widzą nas wyraźniej niż innych żywych; są trochę jak ćmy lecące do światła. To element naszych czarów – ten sam, który pozwala nam manipulować ektoplazmą.

Tyle pamiętałam z ważnej lektury grymuaru przez małą Emmę, chociaż nigdy tak do końca nie zrozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi.

– A więc zasadniczo pracujecie z duchami. Rozumiem, że to ektoplazmy użyłś dziś, żeby zawisnąć nad jeziorem?

– Tak. To zresztą bardzo fajny materiał, elastyczny i wszechstronny. – Zmarszczyła lekko nos. – W każdym razie można go polubić, kiedy już pogodzi się z jego niewątpliwą obrzydliwością. Nie jest to najprzyjemniejsza możliwa konsystencja. Trochę jak połączenie skóry węgorza z pajęczyną. Najstarsze legendy mówią, że nawet Jaga nie była jego wielką fanką.

– Intrygujące, ale też obleśne – powiedziałam, krzywiąc się. – A więc skoro przyciągacie duchy, co robicie, żeby was nie nawiedzały? Albo nawet – nie opętały?

– Wiesz co, w The Bitters dzieje się wiele rzeczy, na które nie da się nic poradzić. – Dotknęła wciąż świecącego klejnotu, który zwisał jej z szyi. – Ale do tego przydają się nasze granaty. Żywi i martwi nie mogą – albo raczej nie powinni – za bardzo się mieszać, z ektoplazmą też nie warto

przesadzać. Granat stabilizuje naszą energię życiową jak kotwica. Dzięki niemu, kiedy wchodzimy w relacje z drugą stroną, nasza istota pozostaje niezagrożona.

– To dlatego teraz świeci? – spytałam z niepokojem. – Bo właśnie teraz, ekhm, wchodzisz w relacje?

Pokiwała głową, wciąż muskając palcami fasety kamienia.

– W Puszczy Czarownic są cienie, które można by nazwać aktywnymi duchami. A one bardzo chętnie chwycą się jakiejś żywej istoty.

– Wiedziałam! – syknęłam, rzucając spanikowane spojrzenie mgłę wirującej wokół naszego prowizorycznego koca piknikowego. – Wiedziałam, że z tego zrobiona jest ta mgła! To duchy!

– Nie, nie, duchy mieszkają w drzewach – powiedziała, machając ręką.

– Talio, czy naprawdę sądzisz, że poprawia mi to humor?

– Może i nie, ale to prawda – odparła z lekkim wzruszeniem ramion. – Wślizgują się przez szczeliny w przesłonie, a potem chwytają się najjaśniejszych form życia, jakie mogą znaleźć – w tym przypadku to po prostu las. Czasem spędzają tu wiele lat, całe stulecia. Dość długo, by ich obecność zmieniła kształt drzewa.

Zadrżałam lekko, mocniej owijając się narzutą.

– W takim razie nie zazdrościsz drzewom.

Poklepała dąb po paskudnym pniu i uśmiechnęła się do niego jak do starego przyjaciela.

– Nie wydaje mi się, żeby im to szczególnie przeszkadzało. Drzewo nie popada w szaleństwo, kiedy jest zamieszkiwane. A cienie, które mają dom, są zakotwiczone, spokojniejsze. Nie stanowią niebezpieczeństwa dla ludzi blakających się po lesie.

– Ale czego te cienie w ogóle chcą? – spytałam, starając się zrozumieć, czemu okazuje im tyle współczucia.

Zagryzła wargę i zastanowiła się chwilę.

– Przede wszystkim chyba chcą wrócić do życia. Co jest zresztą zrozumiałym żądaniem: raczej wszyscy się zgodzimy, że bycie martwym i pozbawionym domu jest do dupy. Ale poza tym chcą chyba, żeby ktoś je zobaczył. Dotknął ich. Wiesz – chodzi im o to samo, o co najczęściej chodzi także żywym.

Pochyliła się nad drzewem i zaczęła muskać jego korę powoli i bardzo świadomie, jakby głaskała narowistego konia czy inne nerwowe zwierzę. Jakby na wezwanie jej dotyku, zaczęła się z niej wydzielać ciemna para.

Ektoplazma wydostawała się spod twardej skóry drzewa i zbijała w przypominające liście paproci kształty: błyszczące, żelatynowe, atramentowo żywe. Kiedy materia poczuła się wolna, zaczęła się zwijać i kręcić, aż przybrała humanoidalną postać. Była sugestią kobiecego kształtu, z długimi, cienkimi kończynami i zawijasami z dymu, przywodzącymi na myśl burzę loków. Nie miała rozpoznawalnych rysów twarzy, jeśli nie liczyć dwóch przypominających nieco oczy plam jeszcze głębszej ciemności na plamie, która pełniła funkcję twarzy. W zielonym świetle naszej lampy postać wyglądała jak złowrogie widmo powołane do życia przez Maleficent.

Kiedy zjawa pochyliła się ku nam, myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi i ucieknie w krzaki. Jedynym, co pozwalało mi zachować resztki opanowania, był absolutny spokój na twarzy Talii, kiedy spoglądała na ducha.

– Cześć, skarbenku – zanuciła cichym, spokojnym głosem, podchodząc blisko tego, co mogło być policzkiem istoty. – Jak się masz, co?

Kształt pochylił się do jej dłoni niczym kot, wydając z siebie serię słabych, tęsknych dźwięków, które sprawiły, że włosy stanęły mi dęba. Talia lekko uśmiechnęła się w odpowiedzi, jakby prowadziła całkiem normalną, przyjemną konwersację.

– Oczywiście, kiedy tylko będę mogła – powiedziała. – Wiem, że minęło sporo czasu, ale przecież zawsze wpadam się przywitać.

– Co to jest, Talio? – spytałam łagodnie, niemal bojąc się odezwać. – Albo może... kto to jest?

Cień zbliżył się na dźwięk mojego głosu, ale zaraz znów zwrócił do Talii, jakby uznał, że ja go zupełnie nie obchodzę. To dość perwersyjne, ale poczułam się lekko urażona.

– Dziewczyna, która umarła dawno temu – odpowiedziała Talia, nie odrywając wzroku od cienia, palcami rozczesując pióropusz jego włosów. – Przy porodzie albo może na jakąś chorobę, którą dziś antybiotyki pokonałyby w tydzień. Pewnie zabiła ją jakaś pierdoła z tamtych czasów. Nie znam szczegółów, przeszłość zblakła. Ale wiem, że wciąż jest zbyt uparta, żeby ostatecznie przejść na drugą stronę. Trudno nie docenić takiego uporu.

Biorąc pod uwagę, jak jej duch potraktował swoje drzewo, pomyślałam, że warto zastanowić się nad innymi opcjami – ale może tylko mnie to przyszło do głowy.

– Dobranoc, skarbenku – powiedziała Talia, opuszczając dłoń. – Wracaj do łóżka. I do zobaczenia niedługo!

Duch sceptycznie jęknął i przechylił głowę.

– Niedługo, obiecuję – powtórzyła ze śmiechem Talia. – Przysięgam na moją wiedźmią duszę.

Cień raz jeszcze pochylił się lekko, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku drzewa, powoli się rozpuścił i z powrotem wniknął w korę.

– Rany, to było przerażające – odetchnęłam i roześmiałam się nerwowo. – I zajebiste. Nie miałam pojęcia, że można tak rozmawiać z duchami.

– Tym byliśmy, zanim Margarita tu przyjechała – powiedziała, zwracając się ku mnie. Jej twarz pozostawała wciąż rozmarzona po komunii z duchem, oczy błyszczały niewysłowioną czułością. – Posłańcami dusz. Nekromantami, mówiąc dokładnie. Dzisiaj nie jest to już nasze główne zajęcie, ale większość z nas wciąż to do pewnego stopnia potrafi.

– W ogóle się jej nie bałaś.

Wzruszyła ramieniem delikatnie, jak ptaszek. Szumiące drzewa nad nami rozstały się na tyle, by na jej czarne jak atrament włosy spłynęło światło księżyca.

– Nie bałam się. Kiedy z nimi rozmawiam, czuję echo ich przeszłego istnienia. To sytuacja... intymna. Trochę jak miłość.

– No to mają szczęście, że to ty je kochasz – odpowiedziałam bez zastanowienia, ale ledwie te słowa opuściły moje usta, cała spurpurowiałam.

Talia szerzej otworzyła srebrne oczy, rozchyliła usta. Potem uśmiechnęła się do mnie powoli i kusząco, dłonią odgarniając kosmyk, który zagubił się na jej wargach. Atmosfera między nami zmieniła się w jednej chwili, jakby ciśnienie gwałtownie spadło, przygotowując nas na nadchodzącą burzę.

Przysunęła się do mnie lekko i ułożyła jasną dłoń na moim kolanie.

– Harlow – powiedziała, a nigdy wcześniej nie słyszałam w jej głosie takiej chrypki – czy to zbyt dziwny moment, żeby cię pocałować?

Pokręciłam głową, nie ufając słowom. Uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, był jak piorun. Przysunęła się jeszcze bliżej i wargami dotknęła moich warg.

W moim brzuchu uniosły się płomienie, które zaraz rozstały się ku udom. Jej pocałunek był delikatny, ledwie muskała moje usta, palcami dotykała podbródka i wędrowała ku szyi. Wargi miała miększe, niż można to sobie wyobrazić, pluszowe i gładkie. Smakowały szminką i czerwonym winem. Urzekająca woń wstępowała w moje płuca z każdym drżącym wde-

chem, sycząc mi w nosie. Zakręciło mi się w głowie, byłam tak pijana żądzą, że niemal zapomniałam, gdzie jesteśmy. Równie chętnie podążyła-bym za nią do któregoś z zewnętrznych kręgów piekła.

Szept liści i nieustępliwy mrok poza dziwnym światłem lampy tylko mocniej mnie pobudzały.

Nawet, gdybym miała jej wróżebną moc, nigdy nie przewidziałabym rzadkiej magii pomiędzy mną a Talią Avramov.

Zacisnęłam palce na jej nadgarstku, a drugą dłonią przesunęłam jej po szyi, aż sięgnęłam rozczochranych lekko włosów. Przyciągnęłam ją do siebie dłonią za kark, całując mocniej i głębiej. Jej wargi rozchyliły się, a język był ciepły i aksamitny, palący, delikatny i zręczny. Chwyciłam jej dolną wargę zębami – tyle razy widziałam, jak sama tak robi – i zaczęłam skubać, aż poczułam, jak mi się poddaje.

Kiedy westchnęła mi w usta, straciłam resztki kontroli.

Chwyciłam ją w pasie i posadziłam sobie na kolanach. Dyszała mi w usta i usiadła na mnie okrakiem, ramionami opłotła mi szyję, jej suknia owijała mi się wokół nóg. W tej pozycji łuk między jej gardłem a ramieniem, ten słodki punkt, którego zapragnęłam podczas gali w The Bitters, znalazł się bezpośrednio naprzeciw moich warg.

A nie miałam w sobie umiaru.

Pochyliłam się naprzód i pocałowałam to kuszące miejsce rozchylonymi wargami, przeciągnęłam po nim lekko językiem. Jej skóra pachniała jak cukier, ale smakowała solą, a ja nie mogłam się już powstrzymać. Ugryzłam jej dokładnie tak, jak chciałam: moje ugryzienie było mocniejsze niż skubnięcie, ale nie dość mocne, by ją zabolalo. Lekko zgięła plecy i zatrzęsła się, mocniej obejmując moją szyję. Dobrze wiedzieć: oto, co wprawia ją w drżenie.

Powtórzyłam pocałunek z otwartymi ustami i ugryzienie; tym razem jej wydech był jeszcze bliższy jęku. A ja serio bardzo chciałam, żeby jęknęła naprawdę.

– Harlow – wydyszała, wycofując się lekko. Ciężkie powieki opadały na jej niespokojne, blade oczy, jej wargi były cudownie nabrzmiałe. Odchyliłam się, żeby skraść jej jeszcze jeden całus. Mówiła dalej. – Nie, żebym protestowała, przeciwnie, jeśli nie jest to oczywiste, wyrażam entuzjastyczną zgodę, ale musimy przestać.

– Dlaczego? – zapytałam na wpół zduszonym tonem, który sugerował, że może mnie to zabić.

Uniosła głowę ku ciemności ponad lampą.

– Bo mamy publiczność.

Podążyłam za jej spojrzeniem, a cała moja skóra jakby pokryła się lodowatym szronem.

– Och. O cholera.

Wszędzie wokół nas były duchy, co najmniej trzy, jeden za drugim, z każdej strony, jak przerażające zbiegowisko gapiów. Unosiły się w powietrzu niczym nieskrępowane cienie i przyglądały się tymi swoimi niedooczami, które stały się teraz jeszcze ciemniejsze, niczym wysysające światło wiry.

– OK, to niedobrze, bardzo niedobrze – wyszeptałam, a moje gardło nagle całkiem wyschło.

– Sytuacja nie jest idealna, ale wszystko będzie okej – zapewniła mnie, odrywając ramiona od mojej szyi i chybcząc się lekko na moich kolanach. Jej głos był spokojny i melodyjny, jakby była negocjatorką, a to tylko dodatkowo mnie stresowało: nie zwracała się nim do mnie, ale do duchów.

– Po prostu byliśmy trochę za bardzo ożywione. Seks i... yyy... czynności podobne do seksu przyciągają duchy. Czuję się jak idiotka: powinnam była pomyśleć o tym wcześniej.

– No, to mój błąd – powiedziałam, chociaż wciąż nie żałowałam tego, co wydarzyło się, zanim zobaczyłam duchy.

– Skądże – odpowiedziała, posyłając mi przebiegły uśmiech, nim na nowo zwróciła się ku duchom. Uniosła rękę przed swój świecący granat i ułożyła z palców skomplikowany ornament. Czułam trzask rodzącego się, świeżego zaklęcia, warzącego się w jej dłoniach. Potem rozpoczęła cichy śpiew, który odpowiadał drganiom jej palców – jakby modulowała pracę wykonaną swoimi rękami i głosem na niewidzialnym instrumencie. Jakby zaklinała duchy zamiast węży.

Widząc ten pokaz mocy, poczułam, że znów budzi się we mnie dobrze znana zazdrość, którą przez te wszystkie lata tak bardzo starałam się stłumić. Tak bardzo starałam się uniezależnić od niej swoje poczucie własnej wartości.

Cokolwiek to było, czarownica z rodziny Harlowów, nigdy nie potrafiłaby tego zrobić. Nawet jeśli była arbitrką.

Cienie przez kilka chwil uparcie trzymały się swoich pozycji, podskakując w miejscu niczym upiorne boje zawieszane w niewidzialnym morzu.

Potem powoli, niechętnie rozstąpiły się, wróciły na drzewa lub po prostu zniknęły za przesłoną w ponurej nicości.

– Słuchaj, wiem, że to ja wymyśliłam całą tę zabawę i w ogóle – powiedziała Talia, kiedy duchy zniknęły, granat zaczął gasnąć, a jej dłonie opadły na kolana. – ale może następnym razem darujemy sobie ciekawskie duchy i po prostu pójdziemy na kolację?



O sadach, dzbanach i najlepszych przyjaciółkach

– A wtedy po prostu pocałowałaś się z nią w Puszczy Rozpaczy i Zniszczenia na oczach wszystkich tych ghuli? – dziwiła się Linden. – Dziewczyno, to jakiś hardkor.

Pokiwałam głową, popijając grzany cydr.

– Nie sądziłam, że kiedyś to powiem, ale było to dziwnie romantyczne. Jak się domyślasz, dla mnie nietypowe. Najwyraźniej jednak, przy odpowiedniej motywacji, nie przeszkadza mi na randkach odrobina horroru.

– Ale byłaś napalona – Lin pokręciła głową z żartobliwą dezaprobatą.

– Jeśli poszukasz w głębi siebie, z pewnością dojdiesz do wniosku, że chciałabyś nazwać mnie „elastyczną”.

Siedziałyśmy na polu słoneczników. Jasper leżał obok nas na flanelowym kocu, a wysokie, żółte kwiaty unosiły się wysoko ponad naszymi głowami. Ktoś – pewnie Lark, wyglądało to na jej poczucie humoru – zaczarował słoneczniki, żeby od czasu do czasu, niczym chóry anielskie, zaczynały wyśpiewywać kultowe przeboje emo – smutną muzykę białych chłoptasiów, którą Linden zawsze nieironicznie uwielbiała. Zaklęcie musiało być związane z obecnością magii, żeby kwiaty nie zaczęły śpiewać podczas wycieczki turystów.

Pole zaszczycało nas właśnie wykonaniem *a capella* jakiegoś utworu 3 Doors Down. Żółciutkie główki słoneczników poruszały się do rytmu pod niebem pełnym chmur wyglądających jak naturalne smugi kondensacyjne.

Zapomniałam, jak bardzo rodzinny sad Linden przypomina współczesne pola elizejskie. Był niemal irytująco piękny, jak przestroga. Jakby same

sady zadawały mi pytanie: „Jak można być tak głupią, by chcieć porzucić takie miejsce?”.

– Rowan nigdy w to nie uwierzy – pokręciła głową Linden. – Jeśli w ogóle pozwolisz mi mu powiedzieć. Tamten las jest jego kryptonitem. W zasadzie musiałam go trzymać za rękę przez całą drogę powrotną, zwłaszcza po tym, jak Isidora przegoniła go swoim fochem.

– No właśnie, co to za historia? Talia twierdziła, że nic nie wie.

Linden pociągnęła za jeden ze swoich loków i naprężyła go.

– Ja też nie mam pojęcia. Kiedy próbowałam go o to spytać w drodze do domu, system mu się zawiesił.

– Serio? Myślałam, że wy z natury nie jesteście w stanie ukrywać przed sobą takich rzeczy.

– Kiepsko nam wychodzi zachowywanie sekretów, ale czasem się to zdarza. A kiedy się zdarza, nie wolno wsadzać nosa w nie swoje sprawy. – Skrzywiła się. – Ale wiesz co, energia między nimi jest paskudna, emanowała z Rowana jak elektryczność. Ta laska przeraża go niemal równie mocno co Puszcza Czarownic – no właśnie, błagam, mogę mu powiedzieć, że zaliczyłaś tam pierwszą bazę? – Oczywiście błyszczały na samą myśl o upokorzeniu brata bliźniaka. – Zawstydzi się jak diabli.

Pokiwałam głową z uśmiechem.

– Jasne, spoko. Z radością pomogę wam w waszych dziwacznych rytuałach wzajemnego nękania.

Kiedy dotarłam do lasu wczesnym popołudniem, najpierw przeszłam przez Honeycake Cottage w nadziei, że spotkam tam resztę rodziny Linden. Chociaż bliźniaki i Lark mieli w mieście własne mieszkania, cała ekipa lubiła spotykać się w uroczym domu ich rodziców, zbudowanym w stylu Tudorów; w zasadzie była to ogromna, cudna hobbicia chata o ryglowej, kamiennej fasadzie i wielodzielnych oknach, wciąż obwieszonych girlandami bluszczu.

Aspen i Rowan byli jednak w szopie, gdzie asystowali przy trudnym porodzie źrebiąt, a Lark dołączyła do nich z powodów, których nigdy nie zrozumieć. Kiedy miałyśmy z Linden po dwanaście lat, raz byłam świadkinią lepkiego cudu końskich narodzin i wystarczy mi to na całe życie. Na szczęście przynajmniej Gabrielle była w domu. Wzięła mnie w swoje słynne objęcia, miękkie i ciepłe, pachnące wanilią i masłem shea, jakby była wyjątkowo czarującą królową. Dziś fruwał wokół niej rój motyli; kilka

z nich w ramach powitania spoczęło na mojej głowie, a ruch ich nóżek było łaskoczącą pieśzczotą.

Nikt nie witał się tak jak Gabrielle Thorn.

– Jak dobrze znów cię widzieć, Emmeline – powiedziała ciepło, biorąc moją twarz w dłonie i gładząc kciukami po policzkach. Gdyby ktokolwiek inny zrobił coś takiego, poczułabym się strasznie niezręcznie, ale Gabrielle była taką fontanną czułości, że nawet ja, potomkini Harlowów, mająca do publicznego okazywania czułości podejście bliskie brytyjskim radcom prawnym, musiałam się jej poddać.

– Ciebie też, Gabrielle. – Dla mnie była zawsze „Gabrielle” lub „panią”, nigdy Gabs czy Gabby. Ona również zwracała się do mnie zawsze pełnym imieniem; matriarchini Thornów uważała, że należy przyznawać się do tego, kim jesteśmy. – Od tak dawna cię nie widziałam.

– To dlatego, że opuściłaś rodzinę na zbyt długi czas – powiedziała, kładąc dłonie na moich ramionach, żeby odsunąć mnie od siebie trochę i spojrzeć mi w oczy. – Ale o tym porozmawiamy kiedy indziej. Teraz pomówmy o tym lekkomyślnym planie, w który wciągnęły cię moje dzieci... nie to, żeby w głębi duszy była przeciwna dowolnemu rozwiązaniu, które sprawi, że Blackmoore’owie wreszcie spłacą swoje długi. Ale twoja pozycja jest szczególna, kochanie. Czy jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko?

– Nie mam – zapewniłam, wzruszona jej troską. – Zresztą, gwoli sprawiedliwości, coś mi się wydaje, że był to raczej lekkomyślny plan Talii Avramov.

– Przysięgam, że nie wiem, czy bać się tej dziewczyny, czy ją podziwiać – Gabrielle złożyła usta w dzióbek. – Ale wiem na pewno, że jestem dumna z ciebie. Harlowowie mają dużo na głowie, kiedy przychodzi czas turnieju. A sposób, w jaki poradziłaś sobie wczoraj... płaszcz płaszczem, Emmeline, ale to wymagało odwagi. Wiele z tego zrobiłaś sama – i należy ci się za to szacunek. Szacunek nas wszystkich.

Przełknęłam łzy, tak poruszona, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

Później, kiedy poszliśmy z Linden na pole słoneczników z termosem cydru i koszem piknikowym, wciąż jeszcze trochę chciało mi się płakać. W okresie dorastania Gabrielle była dla mnie jak druga matka i fakt, że wciąż zasługiwałam na jej szacunek, bardzo mnie wzruszał. Nasza rozmowa nakładała na sad dodatkową soczewkę nostalgicznego zachwyty – nie żeby sam w sobie nie był dość piękny. Pole pokryte wijącymi się gałęziami i okazałymi owocami dyni, z których wiele zaczarowano, by przyj-

mowały fantazyjne kształty, było boleśnie znajome i porażająco wyjątkowe. Znajdowały się tam tam dyniowe portrety założycieli – tak realistyczne, jakby mieli się zaraz odezwać – cukrowe czaszki tańczące w płomieniach, dyniowe planetarium z obracającym się słońcem, księżycem i gwiazdami...

Nigdy nie widziałam nic podobnego w mieście – i gdybym wyjechała stąd na zawsze, nigdy bym już nie zobaczyła.

W dalszej części sadu drzewa zdawały się uginać pod ciężarem replik owoców z dmuchanego szkła; lśniących, rumieniących się tęczowo jabłek. Powietrze było słodkie i jasne, proporcja słońca i chłodu – doskonała. Tego rodzaju ekstrawaganckie widoki sprawiały, że Thistle Grove przypominało raczej jesienną wersję śnieżnej kuli niż rzeczywiste miejsce; nieprawdopodobna doskonałość sprawiała, że zaskakująca decyzja o wyjeździe szybko przynosiła brutalne przebudzenie.

– Wszystko w porządku, Em? – spytała Linden, nieco zatroskana. – Twoja mina jest dość rozpacзлиwa.

– Ten dzień jest tak doskonały – powiedziałam, przechylając głowę i mrużąc oczy w słońcu. Nie potrafiłam ukryć tęsknoty w moim głosie. – Chicago jesienią... może powiem tylko, że nieczęsto tak wygląda.

Pierwszą jesień w Chicago spędziłam, płacząc niemal co drugi dzień, na maksa zdołowana ponurą wilgocią tej pory roku, nieuniknioną męką lodowatego wiatru, który wiał znad jeziora jak klątwa. Przyzwyczaiałam się już do zmiennej pogody i wiele rzeczy w Chicago pokochałam, ale to wspomnienie miejsca, za którym przez tyle lat tęskniłam, i tak trochę mną wstrząsnęło.

Na szczęście kanapki z bekonem, pomidorem i sałatą, świeżo upieczone cydrowe pączki i kruche ciasto z truskawkami znacząco poprawiły mi humor. Nawet Linden zdawała się zadowolona, kiedy dzieliłyśmy ciasto na kawałki; zachowywała się jak moja dawna przyjaciółka.

– To co teraz? – zapytała, zanurzając palec w bitej śmietanie i karmiąc nią Jaspera, który uderzał ogonem o ziemię i wpatrywał się w nią oczami pełnymi miłości. Mój wąsaty książę był zmienny w uczuciach, kiedy w grę wchodziło jedzenie. – Planujecie stały związek? Cokolwiek to znaczy u Avramovów... Może zamiast kwiatków da ci węża albo coś?

– Kwiatki jako symbol miłości, łał. Nie wiedziałam, że żyjesz w latach pięćdziesiątych. Poza tym... nie wiem, co dalej. – Rozłożyłam ręce. – Zanim odwiozła mnie do domu, wspomnialiśmy, że mogłybyśmy pójść niedługo na sushi, więc mam nadzieję, że ciąg dalszy nastąpi.

Wspomnienie Talii siedzącej okrakiem na moich kolanach przefrunęło przez mój umysł jak kometa; nacisk jej ud na moje, rozgrzane ciepło jej ust, jej chrapliwy jęk.

Marzyłam o sequelu.

– Ale jeśli będziecie się spotykać... – Linden nagle spoważniała. – Co wtedy? Wciąż zamierzasz wyjechać, prawda? Nie planujesz tu przecież zostać?

– No tak – powiedziałam, niepewna, do czego zmierza. – Ale uznałam, że tymczasem możemy się po prostu zabawić. Obie jesteśmy dorosłe, prawda? A ona wie, że nie zamierzam tu zamieszkać.

Linden pokiwała ostrożnie głową.

– Może i wie. Ale może tak naprawdę nie wie, Em.

Uniosłam brwi.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Linden Thorn, za to przypominają mi się niby-romansowe historie z czasów liceum.

Zagryzła wewnątrz policzka, wciąż gładząc Jaspera po głowie.

– Jak dużo Talia opowiedziała ci o Jessice?

Przypomniałam sobie minę Talii, kiedy wspomniałam wczoraj o jej byłej.

– Poza imieniem, niewiele. Powiedziała, że ich historia źle się skończyła i że to się stało przed jej romansiem z Garethem.

Linden skrzywiła się na dźwięk jego imienia.

– Talia potrafi udawać jak nikt inny, ale tak naprawdę jest dość delikatna. Wrażliwa. I choć ja też nie znam szczegółów, wiem, że ta historia z Jessicą totalnie ją rozwaliała... – Westchnęła, przygotowując się na dalszy ciąg wypowiedzi. – A podwójne życie Garetha nie pomogło. A to znaczy, że jeśli chce dla ciebie zaryzykować...

– Bo, powtarzam, jesteśmy dorosłe, a to dobra zabawa...

– To znaczy, że naprawdę cię lubi, Em – przerwała, unosząc dłoń. – Albo przynajmniej rozważa kolejny skok na główkę. Być może nie jest w stanie się powstrzymać, bo to Talia Avramov, osoba naturalnie impulsywna. Nie jesteś odpowiedzialna za jej uczucia, bo, jak sama zauważyłaś, obie jesteście dorosłe. Ale powinnaś przynajmniej mieć świadomość jej sytuacji.

Przypomniałam sobie, że Talia sama wspominała, że musi się hamować – jakby rzucanie się na główkę było jej normalnym sposobem działania.

– Sama nie wiem – powiedziałam wreszcie. – Ja też naprawdę ją lubię, Lin. Ale wróciłam tu dopiero tydzień temu... i pocałowaliśmy się raptem

raz. Nie wydaje mi się, byśmy już teraz musiały martwić się konsekwencjami.

– Może masz rację. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, w co się pakujesz.

Linden uśmiechnął się do mnie lekko, mrużąc słodko błyszczące oczy i patrząc na mnie z tym samym zrozumieniem, co wtedy, kiedy miałyśmy sześć, dziesięć, siedemnaście lat.

– Em, pamiętaj, że dobrze cię znam – powiedziała łagodnie. – Nie zakochujesz się szybko i mocno jak ja, zajmuje ci to trochę czasu. A kiedy ktoś zakochuje się w tobie jako pierwszy, przeraża cię to. Zaczynasz czuć się winna i wkurzasz się, że musisz nagle zarządzać emocjami drugiej osoby, całym tym bałaganem.

Zebrała z twarzy rozwiane włosy i westchnęła.

– Nie sądzę więc, że martwię się tylko o Talię; nie jest tak. Ja po prostu... nie chcę też, żebyś to ty cierpiała.

Poczułam się nagle obnażona, jakbym naprawdę zapomniała, jak dobrze Linden mnie zna. Chociaż w jej opisie nie wypadałam zbyt życzliwie, to była to prawda. Od czasu historii z Garethem wycofywałam się. Być może tanto rozstanie było doświadczeniem formacyjnym albo może po prostu taka byłam i tyle. Tak czy inaczej, kilkakrotnie zdarzało mi się czuć okropnie, kiedy ktoś zakochiwał się we mnie na długo przed tym, jak zaczęłam w ogóle rozważać taką możliwość.

Byłam racjonalna, ostrożna, skrupulatnie dawkowałam swoje uczucia do kochanków.

Ale Talia... Przy niej nie czułam się ani trochę „ostrożna”. Ostrożność pozostała wiele lat świetlnych w tyle.

– Doceniam, że tak się o mnie troszczysz – powiedziałam, kładąc dłoń na cieplej od słońca dłoni Linden i ściskając ją lekko. – A ty? Jak się masz?

Chwilę wpatrywała się w ciastko w zamyśleniu, zanim wzięła kolejny gryz.

– Te pączki nie są zalane łzami. To chyba postęp, prawda?

Zachichotałam, rozdarta między rozbawieniem a współczuciem na wspomnienie wiszącej na mnie Lin, na zmianę łkającej, zapychającej twarz tuzinem wczorajszych pączków z Emilio's i popijającej z kartonu wino razem ze łzami.

– W zasadzie nie powiedziałaś mi, co się wydarzyło na gali – powiedziałam. – Co takiego się stało, że wpadłaś w ten węglowodanowy szal.

– Pytasz, co się stało, kiedy wy z Talią tańczyłyście tango Morticii i Gomeza? – spytała ponuro. – Wiem, wiem, że zrobiłyście to głównie w ramach demonstracji przed Garethem. I wyglądałyście razem bardzo seksownie. Po prostu uzaliłam się wtedy nad sobą, bo przypomniałam sobie, jak poszłam z nim na salsę do Carbondale i...

– Gareth potrafi teraz tańczyć salsę? – Omal się nie porzygałam na samą myśl. – Blech.

– Jak na kogoś obciążonego takim ogromem przygotowań, ma nieźle naturalne poczucie rytmu – wzruszyła ramionami. – To jedna z tych rzeczy, które... nie, nie będę rozmyślać nad tym wszystkim, co mi się w nim podobało, kiedy byliśmy parą. W każdym razie za nim zatekniłam, a on najwyraźniej wyczuł moją słabość jak jakiś rekin-socjopata. Więc kiedy do mnie podszedł, nie odmówiłam mu, tak jak powinnam. Pozwoliłam mu opowiadać o tym, że jego zdrada była okropnym błędem, że byliśmy taką świetną parą, że zanim to wszystko spierdolił, byłam jego najwspanialszą dziewczyną, że powinniśmy spróbować jeszcze raz, i tak dalej.

Wpatrywałam się w nią, przerażona.

– On naprawdę uważa, że do siebie wrócicie? Po tym, co zrobił?

Pokręciła głową, zdeorientowana.

– Chyba uważa, że to da się jeszcze uratować. Że na to zasługuje. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby kłamał, kiedy mówi, że za mną tęskni, albo kiedy twierdzi, że żałuje bycia takim dupkiem. Ale nieważne, czy to prawda: nie byłabym w stanie znów mu zaufać po tym, co zrobił. Wszystko zniszczył, na zawsze. A te cięłe próby namówienia mnie do powrotu czy co on tam robi... to tylko sprawia mi przykrość.

Zacisnęłam zęby, czując znajomy gniew.

– A więc to nie pierwszy raz?

– Chciałabym, żeby to był pierwszy raz. – Prychnęła, sfrustrowana. – Nie, odkąd zablokowałam go we wszystkich mediach społecznościowych i, oczywiście, na telefonie, zaczął atakować mnie na mieście, namawiając na rozmowę. Tyle że ja nie chcę z nim rozmawiać. Chcę iść naprzód, chcę się lepiej poczuć. A on po prostu... on mi na to nie pozwala.

– Zasługujesz na to – powiedziałam, raz jeszcze ściskając jej dłoń. – Tak jak on zasługuje na to wszystko, co zrobimy, żeby zapobiec jego zwycięstwu. I na wiele gorszych rzeczy.

– Tak, za to wszystko, co robi jego rodzina, żeby zniszczyć nasz sad – powiedziała ponuro Linden. – Nawet nie wiesz, jak wygląda ich nowa,

wypasiona zewnętrzna dekoracja w Camelocie, Em. Może to nic osobistego, może chodzi im tylko o pieniądze turystów. Dywersyfikują swoje źródła dochodu czy coś w tym stylu. Ale przecież każdy widzi, że Honeycake Orchards to wyjątkowe miejsce. Jak ktokolwiek mógłby chcieć narażać je na niebezpieczeństwo?

Zajęta świętym oburzeniem na to, co przytrafiło się Linden, omal nie zapomniałam o tym aspekcie całej historii. W weekend w okresie w okolicy Halloween w sadzie powinien być tłum turystów, stojących w kolejce do wozów z sianem, które wieczorami stawały się czarująco „nawiedzone”, przedzierających się przez labirynt krzaków, spacerujących pomiędzy turlającymi się jabłkami, wzdłuż równo posadzonych drzew z naładowanymi, płóciennymi torbami na ramionach. A jednak przez cały dzień widziałam ich tylko kilku.

Biorąc pod uwagę, ilu gości przyjechało do miasta, powinno być ich dość, by obskoczyły wszystkie atrakcje – gdyby nie fakt, że wszyscy szli do Blackmoore’ów.

– To sprawia, że jeszcze bardziej nie cierpię tego dzbana – powiedziałam, zaciskając szczęki. – Jego i całej tej jego wstrętnej rodziny.

Linden wybuchła zaskoczonym śmiechem.

– Kogo nie cierpisz?

– Tego dzbana, tak się teraz mówi w mieście. To nieco bardziej wyrefinowana odmiana słowa „duppek” albo „debil”. Podoba mi się jej brzmienie.

– Dzban – powtórzyła. – Tak, mnie też się podoba. Pasuje do niego.

Zapadła między nami pełna czułości cisza. Słoneczniki kiwały się nad naszymi głowami, ich płatki marszczyły się, kiedy pole kosił silniejszy wiatr. Mocniej owinęłam się swetrem z owczej wełny. Cieszył mnie i jej splot, i chłód powietrza.

– Tęskniłam za tym, Lins – powiedziałam, odchylając głowę w tył i mruczając oczy w słońcu. – Tęskniłam za rozmowami z tobą. Za wszystkimi tymi głupotami, które razem robiłyśmy, sądząc, że takie jesteśmy zajebiste. Pamiętasz, jak poszłyśmy popływać w wieży ciśnień, jakbyśmy należały do siostrzanego stowarzyszenia Ya-Ya? To nie mogło się dobrze skończyć.

– Tak, a kiedy cydr z nas wyparował, obie przypomniałyśmy sobie, że boimy się wysokości. Biedny Rowan musiał nam wyczarować winorośle, żebyśmy mogły stamtąd zejść. – Zaśmiała się i pokręciła głową. – Byłyśmy prześmieszne.

– Ale w najlepszy możliwy sposób, prawda? Naprawdę za tym tęsknię, Lin. Tęskniłam za tobą.

– Naprawdę? – zapytała, a w jej głosie był ton subtelnej urazy, który sprawił, że gwałtownie uniosłam głowę, a serce zaczęło mi mocniej bić. – Bo, Em, bardzo, bardzo się starałam, żebyśmy wciąż były razem. Żebyśmy pozostały przyjaciółkami. I czasem wydaje mi się, że ty też tego chcesz, że wciąż cię mam, że wciąż jesteśmy tym, kim byliśmy wtedy. Ale momentami... – Pokręciła głową, a kąciki jej ust opadły. – Czasami wydajesz mi się taka odległa. Mam wtedy wrażenie, że nie przeszkadzałoby ci, gdybyś miała mnie już nigdy więcej nie zobaczyć.

Przez chwilę milczałam. Ból pęczył mi w piersi, przybierając kształt gwiazdy o ostrych krawędziach. Było mi tak niewypowiedzianie przykro, że nie wiedziałam nawet, od czego zacząć. Nie miałam pojęcia, że Linden tak się czuła.

Albo może raczej sądziłam, że, podobnie jak ja, pogodziła się z faktem, że powoli się od siebie oddalamy.

– Przepraszam – wyszeptałam wreszcie. – Lin, ja naprawdę...

– Wiesz, nie sądziłam, że w ogóle tu wrócisz – przerwała mi głosem, w którym wzbierał się płacz – To dlatego w ogóle zaczęłam się spotykać z Garethem. Nawet bym na niego nie spojrzała, ale sądziłam, że już na zawsze opuściłaś Thistle Grove. Że skończyłaś z tym miejscem, skończyłaś z... ze mną. A to było do dupy. Serio, chujowo było mieć poczucie, że twoja najlepsza przyjaciółka po prostu zniknęła.

Wybuchła płaczem, a łzy spływały jej po twarzy jak grochy.

Dotąd tylko kilka razy słyszałam, żeby Linden przeklinała tak całą sobą, i to jedynie wtedy, kiedy została doprowadzona do emocjonalnych granic. Słyszając to i widząc te straszne łzy, poczułam, że serce pęka mi jak geoda. Że rozpada się wzdłuż ukrytej linii na dwa kawałki ząbkowanego kamienia. Poczułam nie tylko wstyd; poczułam, że jestem gorsza niż Gareth, że jestem wyjątkowym śmieciem.

Kiedy tak kręciłam się w miejscu jak popsuta igła kompasu, Jasper jęknął i trącił kolano Linden. Położyła dłoń na jego głowie, drugą zakrywając twarz.

Mój sznaucer okazał się lepszą osobą ode mnie. Ta smutna prawda była dobrym podsumowaniem bałaganu, którego narobiłam.

– Lin... – zaczęłam bezradnie. Pokręciła głową, wyprostowana jak naprężony łuk. Ramiona drżały, kiedy płakała sobie w dłoń.

Zrobiłam więc jedyne, co umiałam zrobić, jedyne, co kiedykolwiek robiłam, kiedy ktoś próbował wbić między nas klin. Nawet kiedy tym klinem byłam ja sama.

Sięgnęłam ku niej.

Przez chwilę trzymała się na dystans – tego się właśnie bałam, bałam się, że ją straciłam, jakbym stała na skraju przepaści, a pod moimi stopami rozciągały się mile pustego powietrza. Myśl, że skazując się na dobrowolne wygnanie, mogłabym żyć też bez niej, wydała się tak durna, tak krótkowzroczna, egoistyczna, niemal okrutna. Jak mogłam tak pomyśleć, skoro Linden Thorn była tak fundamentalną częścią mnie? Byłyśmy ze sobą splecione jak drzewa, które szczepiły się, ledwie wyrosły z ziemi.

Jak mogłam choćby zastanawiać się nad odcięciem się od niej?

Po chwili, która wydawała mi się wiecznością, wreszcie rozluźniła się na tyle, by też mnie przytulić. Wciąż była ostrożna i niepewna, ale wydała z siebie drżące westchnienie, które brzmiało jak powrót do domu po długim, męczącym dniu.

Ledwie potrafiłam ukryć ulgę, która wypełniła mnie, gdy wzięłam ją w objęcia. Wciąż miałam szansę to wszystko naprawić. Może ta szansa była niewielka, ale cały czas zbyt cenna, by dać jej się wymknąć.

Nie zamierzałam tego znów spieprzyć.

– Tak bardzo cię kocham, Linden Sharee Thorn – wyszeptałam w jej włosy, czując nieprawdopodobne szczęście, że moja najlepsza przyjaciółka jest tak wspaniałomyślna. – I zawsze będę cię kochać. Nie wyobrażam sobie bez ciebie życia. Obiecuję, że nigdy więcej nie zniknę. No i, Lins... przykro mi, że jestem taka beznadziejna.

– Jesteś – powiedziała z takim przekonaniem, że obie wybuchłyśmy śmiechem. – Ale biorąc pod uwagę nasze wspomnienia z wieży ciśnień... myślę, że możemy zacząć od nowa.



Świeca

Tego wieczora wcześniej się położyłam; następnego poranka miałam się spotkać z Talią i Linden na wspólną lekturę ksiąg w Woluminach. Długo jednak leżałam bezsennie, nie mogąc przestać myśleć o popołudniu spędzonym z Lin. Chociaż nie pogodziłyśmy się tak do końca, napięcie między nami zelżało jak męczący upał zgaszony przez wyczekaną ulewę – ulga, którą przyniosła, była tak upojna, że przypominała nową miłość.

Odzyskałam moją najlepszą przyjaciółkę i tym razem nie zamierzałam wypuścić jej z rąk.

Udało mi się wreszcie zasnąć i nie byłam pewna, co obudziło mnie na nowo. Jednak, kiedy zaczęłam wypływać na powierzchnię, oddychając płytko i z bijącym mocno sercem, odruchowo sięgnęłam ku świecy na mojej nocnej szafce i wysłałam czarodziejski płomień, żeby ją zapalić. Ogień zapłonął od razu, bez wahania.

Kiedy opuściły mnie resztki snu, a bicie serca się uspokoiło, sięgnęłam ku świecy. Nie mogłam w to uwierzyć: żywy płomień trząskał w moich dłoniach i nigdzie się nie wybierał. Ogarnęła mnie radość, ciepła i słodka jak topiony karmel.

Ja to zrobiłam. Całkiem sama rzuciłam to malutkie zaklęcie.

W odróżnieniu od wielkich czarów płaszcza, które zdawały się nadprzyrodzone – była to magia niezaprzeczalnie obca – to malutkie zaklęcie było moje. I kiedy testowałam swoją zdolność kontroli nad tym płomieniem, rozciągając go w górę i w dół niczym ognistą nić cukru, a następnie owijając sobie wokół palca, odkryłam, że znów jest pełna. Może nawet silniejsza niż przed moim wyjazdem. Nawet kiedy pozwoliłam ogniowi zgasnąć, czułam wciąż wzbierającą we mnie żywiołową magię, błyszczącą i sprężystą.

Jakby nigdy mnie nie opuściła.

Jeszcze przez dłuższą chwilę trzymałam świecę w dłoniach. Nie mogłam nawet spróbować znowu zasnąć z emocji.

Musiałam sama przed sobą przyznać, że tak szczęśliwa nie byłam od lat.



Zagubiona czarownica w wielkim mieście

Nawet jeśli nie były bardzo pomocne dla sprawy notatki arbitrów z przeszłych turniejów, okazały się mieć zaskakującą wartość rozrywkową.

– Miło mi donieść, że arbitrka Savannah Harlow była doskonałą komiczką – powiedziała Talia, chichocząc i zamykając jeden z oprawionych w karmelową skórę tomów, które wyciągnęłam tego poranka z części archiwum Harlowów poświęconej historii turnieju. – Ogarnij się, Harlow. Savannah nie bierze jeńców.

Wyciągnęłam rękę, kiedy podała mi tom ze starej, obitej sztruksem kanapy, wciśniętej w jeden z kątów na strychu.

– Ja też chcę zobaczyć! – zawołała Linden, porzucając czytane kroniki i zaglądając mi przez ramię. – Łał, czy to... szkic postaci z wielkimi jajami?

– To czysta doskonałość – powiedziałam wesoło, przeglądając strony wypełnione miedziorytowym pismem, kontrastującym z marginesami, na których puszyły się ludziki z kresek ze śmiesznymi minami i równie śmiesznymi znakami szczególnymi. Stanowiły one ilustrację dla jedyne go turnieju, w którym Blackmoore'owie przegrali z Thornami.

– Za każdym razem, kiedy wspomina o Evrainie Blackmoorze, nazywa go „pyszałkowatym workiem na jaja”, ale potem przekreśla te słowa – oczywiście bardzo porządnie, tak żeby spokojnie dało się je nadal odczytać – i zastępuje jego prawdziwym imieniem. – Talia uśmiechnęła się, a jej oczy rozbłysły podziwem dla mojej zuchwałej przodkini. – No wiecie, w ramach dobrego wychowania. Musiała go nie cierpieć.

– Nietrudno sobie wyobrazić, jaki to musiał być człowiek. Ona z kolei...
– powiedziałam z nagłą czułością wobec mojej babci z kilkoma „pra” – najwyraźniej była zajebista.

Od wielu godzin siedzieliśmy z Talią i Linden na strychu księgarni, wdychając nasączone magią powietrze i czytając w nikłym świetle późnego popołudnia, które wlewało się do środka. Jako że w poniedziałki zazwyczaj było tu spokojnie, ojciec wziął urlop i zamknął sklep, tak że nikt nam nie przeszkadzał. Rowan odmówił udziału w naszej kwerendzie, ufając, że Lin opowie mu później o wszystkim, co znajdziemy; twierdził, że jest zajęty pracą, ale ja podejrzewałam, że jego nieobecność ma coś wspólnego z niechęcią do przebywania w pobliżu którejkolwiek z sióstr Avramov, nawet tej przyjaznej.

Mnie to nie przeszkadzało – byłam tak radosna i optymistycznie nastawiona do świata, że nie chciałam, żeby coś popsuło mi humor. Między mną a Lin panowała dobra atmosfera, świeża jak nadchodząca wiosna; była między nami przestrzeń, w której mogłyśmy się na nowo odnaleźć. Wciąż przypominałam sobie poprzednią noc, świecę i mój mały, zaczarowany płomyk. Od czasu do czasu testowałam swoją moc, pozwalając, by czary dotarły do moich palców, napełniając je namacalnym potencjałem.

Za każdym razem, kiedy mościła się tam, gotowa, by postąpić według mojej woli, podniecenie wypełniało moją pierś niczym rój uwięzionych ciem. Bez wątplenia po latach przerwy magiczne zdolności wróciły.

Znów byłam prawdziwą wiedźmą.

No i była tu Talia, która ułożyła swe smukłe ciało na starej, wilgotnej kanapie, jakby była seksownym sylfem, który wyłonił się z jakiejś legendy z lśniącościami włosami spływającymi z ramienia. Przez całe popołudnie wymienialiśmy rozpalone spojrzenia, jakbyśmy przekazywały sobie liściki. Za każdym razem, kiedy na nią zerkalam, ona już na mnie patrzyła, a jej pełne wargi sugerowały uśmiech.

Wszystko razem zajebicie mnie rozpraszało i było powodem, dla którego trudno mi było smucić się mizernymi rezultatami naszej kwerendy.

– Czy te notatki nie powinny być, no wiecie, bardziej wyrafinowane? – zastanawiała się Linden, wciąż zajęta oglądaniem wątpliwych dzieł Savanny. – Nie, żebym zamierzała rozpaczać nad utraconą godnością Blackmoore’ów ani nic w tym stylu. Zawsze jednak sądziłam, że Harlowowie byli pozbawionymi emocji kujonami.

– Nie jestem pewna, czy powinnam się czuć obrażona, czy uznać, że wcale mnie nie znasz – powiedziałam, chociaż musiałam przyznać, że frywolne podejście niektórych moich przodków do sporządzania kronik mnie również nieco zaskoczyło. Wiele zapisków nie miało w sobie nic z nudnego, akademickiego tonu, który tak mnie męczył, kiedy czytałam fragmenty grymuaru; najwyraźniej nie wszyscy Thornowie byli podobni do Eliasa.

Dziwnie się czułam, dostrzegając, że byli po prostu ludźmi. Nie surowymi, pozbawionymi poczucia humoru, ograniczonymi monolitami, które zawsze sobie wyobrażałam, kiedy myślałam o przeszłości naszej rodziny.

Jakbym nie zdawała sobie sprawy, ile miejsca Thistle Grove pozostawia na indywidualność.

– Może pomyślała, że i tak nikt nie będzie tego czytać, zwłaszcza za jej życia? – ciągnęłam.

– Albo może była tak twardą laską, że miała na to po prostu wyjebane. – Talia dorzuciła z kanapy swoje trzy grosze.

– To również możliwe. Znalazłaś coś poza dobrymi żartami?

Talia postawiła nogi na podłodze, usiadła i zwiesiła ramiona między udami.

– Nie. Dowiedziałam się tylko, że kiedy Savannah była arbitrem, w wyzwaniu mierzącym siłę zawodnicy musieli pokonać najprawdziwszą hydrę i wyciągnąć żeton z jej pyska.

Ostatnie zdanie wypowiedziała tęsknie, jakby ściganie się z Rowanem i Garethem wyraźnie bladło w porównaniu z czarodziejskim pojedynkiem z morskim potworem.

Nie zaskakiwało mnie aż tak bardzo, że nie znalazła nic bardziej przydatnego: najważniejszym, czego dowiedziałyśmy się z kwerendy, było to, że turnieje obfitowały w pomysłowe i wysoce nieprzewidywalne wyzwania. Kluczowa w nich wszystkich zdawała się szybkość, jako że zawodnicy wiecznie się ze sobą ścigali, żeby wykonać dane zadanie.

Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Czasem dziedzice walczyli o jedno trofeum – tak jak Talia, Rowan i Gareth zmagali się o różę nad jeziorem. Czasem zakłęcie obwieszczało trzy zupełnie odmienne, równoległe zadania, które się na siebie nie nakładały. Zawodnicy trafiali pod wodę, pod ziemię albo fruwali w powietrzu; mierzyli się z zębatymi potworami, katastrofami pogodowymi albo trafiali na najdziwniejsze tereny. Podczas jednego z wyzwań mierzących siłę, ziemia zmieniła się w słony karmel,

a zawodnicy musieli zanurkować w lepkaż maż, żeby znaleźć żeton, a potem jakoś się stamtąd wydostać. Arbiter tamtego turnieju, Nathaniel Harlow, szalenie poetycko opisał cudowny zapach tamtego wyzwania.

(Po lekturze, skuszona wizją nurkowania w deserze, pobiegłam do cukierni Zakłęte Słodkości po drugiej stronie ulicy i kupiłam nam zdecydowanie zbyt dużo krówek).

– Chyba to wszystko nie miałyby sensu, gdyby dało się przewidzieć – powiedziałam, szczypiąc się w skrzydełko nosa. – Ale to i tak irytujące.

– Czyli mam powiedzieć Rowanowi, żeby trzymał się planu? – spytała Linden. – Tym razem ty zajmiesz się Garethem, Tal, i pozwolisz Rowanowi strzelać?

– Pewnie będzie się tego spodziewał, ale tak zrobmy. Myślę, że to będzie dla nas najlepsze, nawet jeśli zabraknie elementu zaskoczenia – no chyba że zadanie będzie zakładać trzy osobne trasy, bo wtedy jesteśmy w dupie – dodała Talia, zaplatając dłonie za głowę i wydmuchując powietrze. – O ile wy, moje niewinne dziewczęta, nie zmienicie zdania w kwestii wrózenia z luster.

Talia rzuciła już pomysł zajrzenia w przyszłość, do kolejnego wyzwania, żeby mogli się z Rowanem lepiej przygotować, ale spotkała się z naszym podwójnym wetem.

– To już prawie oszustwo – powtórzyłam, kręcąc głowę. – A nawet bez „prawie”, bo gdybym chciała to zrobić, a nie chcę, płaszcz z pewnością by zaprotestował. Zasada dwunasta zakazuje jakiegokolwiek magicznego przewidywania przyszłości, które mogłoby przynieść korzyść jednemu z zawodników.

– A co, gdybym przypadkiem miała profetyczny sen... – zaprotestowała Talia, szeroko otwierając oczy i rozkładając ręce z nieprzekonującą niewinnością.

– Nie, Talio – powiedziałyśmy chórem.

– Żadnych profetycznych snów, ani przypadkowych, ani żadnych innych – ostrzegłam, grożąc jej palcem. – Przysięgnij na duszę wiedźmy.

– Dobrze, już dobrze – kwęknęła Talia, wstając z kanapy i ruszając ku oknu, gdzie światło barwy sepii ozłociło jej skórę. – Przysięgam na moją głupią duszę, słowo harcerki i tak dalej. Bogini broń, bym zrobiła coś naprawdę pomocnego.

– Skoro mamy porozumienie, ja idę – powiedziała Linden, ignorując jej marudzenie. Wzięła swoją torebkę ze sztucznej skóry i owinęła szyję turku-

sowym kominem. – Obiecałam mamie, że przejrzę dzisiaj faktury z sadu. Widzimy się w weekend? Dajcie znać, jeśli w międzyczasie potrzebne będzie jakieś awaryjne spiskowanie.

Uśmiechnęła się, pomachała i zniknęła za drzwiami, żegnając się stukotem kroków na spiralnych schodach. Kiedy wyszła, paradoksalnie powietrze wydało się nagle jednocześnie cięższe i lżejsze, jakby molekuly podskakiwały, żeby dostosować się do nagłego wzrostu napięcia.

– Masz teraz jakieś plany, Harlow? – spytała Talia, odwracając się, by na mnie spojrzeć.

– Nie – odparłam, starając się zabrzmieć swobodnie, chociaż moje serce biło tak prędko, jakbym była kolibrem. – A masz jakiś pomysł?

– Szybka kawa? Po powrocie do domu muszę się zająć finansami Emporium i... – Ziewnęła szeroko, odchyliła głowę, ukazując długą szyję, i uniosła ramiona wysoko i leniwie jak budzący się kot. Jak to możliwe, że nawet jej ziewnięcia były seksowne? To już przesada. – Zasnę na tym strychu jak Rip Van Winkle. Potrzebuję zastrzyku kofeiny i wolę nie pić sama.

Zbyt długie przebywanie w antykwariacie wśród gęstej magii ksiąg faktycznie wywoływało senność. Kiedy w wakacje pomagałam tacie, niezliczoną liczbę razy drzemałam na tej zniszczonej kanapie, z rozłożoną na piersi książką, której magia sączyła się wprost do mojego serca. Stare poduszki pewnie wciąż pamiętały kontur mojego ciała, ślad godzin, które tu spędziłam.

– Masz szczęście: moja sekretna moc to zdolność do picia kofeiny późnym popołudniem – powiedziałam, sięgając po szal, kiedy ona zarzucała na siebie bomberkę i ruszała ku drzwiom. – Chociaż muszę cię ostrzec: po pobycie w Chicago jestem rozpieszczona w temacie kawy. Nie obiecuję, że nie będę snobką.

– Na koktajle się snobuje, na kawę się snobuje... – Talia pokręciła lekko głową z żartobliwym oburzeniem. – Do tego prowadzi młodą wiedźmę życie w wielkim mieście? Co będzie dalej?

– O nie, Avramov, nie będę się wstydzić swoich wysokich standardów. Nie dzisiaj.

Otworzyła przede mną drzwi i pochyliła się, kiedy do nich podeszłam, tak że owionął mnie śmietankowy zapach jej perfum. Jej bliskość, nagłe ciepło między nami wypełniły mnie takim podnieceniem, że zaparło mi dech w piersi.

– W takim razie, Harlow, zdradzę ci małą tajemnicę Thistle Grove – wyszeptła poważnie prosto w moje ucho. – Tylko nie zemdlej... mamy nawet nitro cold brew.

Wciąż nie przestałam chichotać, kiedy wkroczyliśmy na bruk Yarrow Street, malowniczego deptaku, który ciągnął się przez centrum miasta. Po obu stronach znajdowały się sklepiki, których markizy uroczo trzepotały na wietrze pachnącymi jabłkiem i cynamonem; oznaczało to, że piekarnia Golden's, gdzie kupić można było rozpływające się w ustach croissanty i grzany cydr, wciąż działała. Było to jedno z niewielu przyzwoitych miejsc na lunch w okolicy Woluminów, obok cukierni Zakłute Słodkości, tawerny Kosa i Księżyc oraz małego barku z kanapkami na jednej z bocznych uliczek.

Podczas spaceru obok kiczowatych lokali, które tak dobrze pamiętałam, zauważyłam jednak sporo nowych miejsc. Minęliśmy eleganckie muzeum historii czarów, piękne kino w stylu art deco, w którym obejrzeć można było przede wszystkim horrory, sklep z mydłami i świecami Oczarowanie, stoiska z pamiątkami i bibelotami, ale też ekstrawagancką pizzerię Cryptid Pizza, która straszyla bardzo ironicznie, lodziarnię rzemieślniczą, a nawet coś, co wyglądało mi na gastropub z wyższej półki. Turyści przewijali się wszędzie wokół, wchodzili i wychodzili ze sklepów z papierowymi torbami, w spiczastych kapeluszach, z dziećmi wyposażonymi w urocze hallo-weenowe przybory.

– Widzisz tamten lokal? Gwizdzący Kominek? – spytała Talia, wskazując gastropub. – Czasem podają tatar, uwierzysz? Z prawdziwymi jajkami przepiórczymi i aioli z czarnego czosnku, coś niesamowitego. Możesz zamknąć oczy i udawać, że jesteś zupełnie gdzie indziej.

– OK, możesz już przestać.

Talia skrzyła gwałtownie w lewo i otworzyła ciężkie, industrialne drzwi, za którymi znajdowała się mała hipsterska kawiarenka; odkryte cegły, nieoszlifowane deski, żarówki w stylu vintage wiszące ponad ladą ze zniszczonego bukowego drewna, powietrze pachnące słodko trocinami i przesyta- zia- ren kawy. Dobry przykład trzeciofalowej kawiarni, która czerpie tyle samo zysków z faktu, że pozyskuje swoje produkty ze zrównoważonych źródeł, co dzięki wystrojowi. Innymi słowy – to miejsce, które pasowało mi idealnie i którego w życiu nie spodziewałabym się w Thistle Grove.

Przejrzałam listę napojów na tablicy za ladą, zachwycona i nieco zszokowana na widok selekcji blendów Dark Matter.

– Mają moją ulubioną kawę! – zapiszczałam, tak podniecona, że uniosłam rękę do serca, jakbym po latach spotkała przyjaciółkę. – W Chicago zawsze ją zamawiam! Nie wierzę, że tu dotarła! Oficjalnie przyznaję się do błędu.

– Nie przesadzajmy z deklaracjami – ostrzegła Talia, grożąc mi palcem. – Musisz najpierw sprawdzić, czy ci wiejscy bariści wiedzą, co to w ogóle jest french press. Z nimi nigdy nie wiadomo.

Wskazała mi jeden ze stolików, a sama poszła zamówić nam napoje. Zerknęłam na telefon, żeby przejrzeć służbowe maile. Chociaż teoretycznie byłam na urlopie, a moje obowiązki zostały podzielone między kolegów – miłych ludzi, których w większości lubiłam i wyjątkowych współpracowników, którzy nie narzekali, biorąc na siebie moją robotę na miesiąc – pod przywództwem mojej najlepszej kumpeli Naomi, wciąż wysyłano mi kopie wiadomości, żebym mogła w razie czego ugasić pożary.

– W czarodziejskich pudełkach bez zmian? – spytała Talia, zaglądając mi przez ramię. Postawiła przede mną wielki, parujący kubek.

– Aż za spokojnie – poskarżyłam się. Przyciągnęłam kubek do siebie. Poczułam słodki zapach spienionego mleka migdałowego z cynamonem, kakao, espresso i odrobiną cayenne. Zazwyczaj byłam kawową purystką, ale blend Czarna Magia brzmiał niezwykle kusząco, choć nazwa była nieco zbyt dosłowna. – Nie było jeszcze żadnej, nawet najmniejszej katastrofy. Czuję się niepotrzebna!

– Daj im chwilę – poradziła Talia. – Nie ma cię dopiero od tygodnia z hakiem. Jeszcze zdążą wpaść w tarapaty.

– A tak w ogóle, zostawiłam koleżance, która mnie zastępuje, całe mnóstwo instrukcji. Musi tylko podtrzymać relacje z klientami, przegadać kilka nowych koncepcji, ogarnąć druk, pokłócić się ze stażystami, odhaczyć resztę z mojej listy zadań, a wszystko powinno być w porządku.

Talia pokiwała głową, opierając łokcie na stole i spletając palce.

– Jak długa jest ta lista i czy Tymczasowa Ty ma w ogóle czas na sen?

– Nie ma miejsca na takie drobnostki, kiedy niesiesz magiczny kaganek oświaty. Pośpi sobie, jak wrócę.

– Naprawdę kochasz tę pracę, co? Kiedy o niej mówisz, cała... – Zastanawiała się nad właściwym słowem, opierając podbródek na dłoniach i przyglądając mi się oczami barwy zlodowaciałego jeziora. Staralam się

nie skrzywić, czując na sobie jej wnikliwe spojrzenie. Wiedziałam, że się rumienię. – Cała iskrzysz. Twoje oczy błyszczą.

– Cóż, to jest tak naprawdę moje – wzruszyłam lekko ramionami. – To moje życie. Tak naprawdę dziwnie się czuję, będąc tutaj zamiast chodzić codziennie do pracy. To prawie tak samo dziwne jak wprowadzenie się na nowo do rodziców. Serio: nie byłam przygotowana na tyle niezręcznego milczenia.

Talia upiła łyk espresso – tak czarnego i gorzkiego, że nawet ja uznałabym je za karę. Najwyraźniej, gdy chodziło o kawę, dziewczyna, która piła owocowe koktajle z dodatkową porcją wisierek, słodycz uznawała za osobistego afrontu.

– Trudno mi to sobie nawet wyobrazić – powiedziała, kręcąc głową, skonfundowana. – Jak dziwnie jest żyć nie pośród swoich. Elena i moje rodzeństwo... nawet ciotki, wujkowie i kuzyni... są nie tylko moją rodziną, są moim domem. Są mną.

– No cóż – powiedziałam dość oschle. – Nie wszyscy jesteśmy papużkami nierozłączkami jak Avramowowie. Może i nie mam w Chicago rodziny, ale mam wspianą sieć znajomych, przyjaciół, którzy zawsze mi pomogą. Nie jestem zagubioną czarownicą w wielkim mieście.

– Ale nie czujesz się czasem samotna? – nalegała. – Jasne, przyjaciele są super. Ale krew to krew. Rodziny nie da się zastąpić.

Wbrew sobie pomyślałam o porannej herbacie z mamą, o słodkiej oazie, jaką stały się dla mnie te chwile, i o tym, jak bardzo tęskniłam za pocieszonymi dowcipami ojca, za żartami, które stroił sobie z turystów.

– Daję sobie radę – odparłam, starając się rozluźnić ramiona i wiedząc, że nie muszę się usprawiedliwiać. – Poza tym cenię sobie wolność. Nie dałabym rady żyć tak jak wy, jedno na drugim w The Bitters.

– Och, wcale nie żyjemy jedno na drugim. Jest nas tylko piątka, chyba że akurat krewni wpadają na jakiś czas. Poza tym ta rozpadająca się rudera jest tak wielka, że każde z nas mogłoby mieć własne skrzydło. Moglibyśmy udawać, że jesteśmy w zubożałym brytyjskim parostwie i nigdy się nie widywać. Uwierz mi, jest tam mnóstwo przestrzeni... i prywatności.

Uśmiechnęła się lekko, a szatański błysk w jej oku napełnił mój brzuch nagłym ciepłem, kiedy rozpałiło mnie wspomnienie naszego pocałunku w lesie i rozniecił się między nami niewidzialny płomień.

– Ale koniec końców, po prostu lubimy być blisko – wzruszyła ramionami. – Wspólne kolacje, spontaniczne koktajle w przebraniach, absurdalne

zabawy o przypadkowych porach. Zawsze można znaleźć partnera do trudnego zaklęcia.

– Każdemu jego porno – powiedziałam, popijając kawę, po czym odsta-
wiłam kubek na znak zamknięcia tematu. – To o co chodzi z tymi nowymi
sklepami na Yarrow? Wiem, że Emporium i sady z trudem znoszą konku-
rencję ze strony Camelotu, ale tutaj nie widać kryzysu.

– Wiele z nich jest w jakiś sposób związane z Blackmoore’ami –
odparła, krzywiąc się gorzko. – Dzierżawcy czy kupcy sprzedają ich pro-
dukty. A ci, którzy nie wchodzą z nimi w relacje... cóż, nie wydaje mi się,
by normalsów dotyczyły te same zasady. Magia Thistle Grove aż tak bardzo
się nimi nie przejmuje, więc podejrzewam, że po prostu radzą sobie sami.

– A więc to tylko pozostałe rodziny dostają w dupę – powiedziałam
ponuro. – Co za chujnia. I ze strony Blackmoore’ów, i magii.

– Ale was to nie dotyczy – powiedziała Talia, zamyślona, bawiąc się
końcówkami włosów. – Woluminy nie ucierpiały, prawda? Czy też może
twoi rodzice są tak tajemniczy, że nic o tym nie słyszałam?

– O niczym takim mi nie wspominali – powiedziałam, marszcząc nieco
brwi; ta rozbieżność w losie różnych biznesów nie przyszła mu nawet do
głowy. Uznałam pewnie, że nasze skromne przedsięwzięcia nie zaintereso-
wały dotąd Blackmoore’ów. – Tata zdawał się raczej przytłoczony liczbą
turystów. Chyba wolałby nawet, gdyby było ich nieco mniej, a to oznacza,
że raczej nieźle sobie radzi.

– Może po prostu księgarnia nie jest dla nich bezpośrednią konkurencją
– zastanawiała się Talia, muskając paznokciem dolną wargę. – Twoja
rodzina zajmuje się książkami, a nie czarodziejską rozrywką. Antykwariat
nie jest atrakcją w takim sensie, w jakim my nią jesteśmy.

– Może i tak. Albo może chodzi o to, że jesteśmy sędziami i nawet nie
bierzemy udziału w turnieju? I sama magia nawet nie bierze nas pod
uwagę?

– Być może. – Talia zerknęła na srebrny zegarek na nadgarstku, cały
z pętelek i filigranów. Oczywiście musiała wybrać vintydzowy analog,
który drastycznie kontrastował z moim smartwatchem w odcieniu różo-
wego złota. – Wiesz co, muszę lecieć. Ale może jesteś wolna w czwartek
koło siódmej? Przecież obiecałam ci sushi.

– Mój karnecik jest całkiem pusty – odparłam. Serce bezwstydnie waliło
mi w piersi na samą myśl, że mogłabym spędzić z nią cały wieczór. –

Myślałaś o Carbondale, czy też może jest w mieście jakieś przyzwoite sushi, o którym dotąd nie słyszałam?

– Wyobraź sobie, że w zeszłym roku otworzyła się całkiem niezła suszarnia. Przyzwoita, a może nawet fajna. – Uśmiechnęła się szyderczo i uniosła brwi. – Może nie zasłużyła na gwiazdki Michelina, ale zdziwisz się, jak mało cię zażenuje.

– Tak bardzo myliłam się co do kawy, że naprawdę nie mogę się kłócić – powiedziałam, unosząc ręce. – Pójdę, gdzie mnie zabierzesz.

– Uważaj, jak formułujesz zdania, Harlow – powiedziała, odsuwając krzesło i powoli rozciągając wargi w uśmiechu. – Zapomniałaś, że pochodzę z nikczemnej rodziny Avramovów? A to brzmi jak wyzwanie!



Płatki w bursztynie

Nie wiedziałam, w co się ubrać.

Było to o tyle absurdalne, że od dwóch dni myślałam tylko o tej randce. I, w typowym dla mnie stylu, zabrałam ze sobą do Thistle Grove tyle rzeczy, że równie dobrze mogłam tu przysłać całą swoją garderobę; opcji miałam do wyboru, do koloru. Biorąc jednak pod uwagę, jak długo się zastanawiałam, można by pomyśleć, że starałam się odnaleźć logarytm objaśniający sens życia, a nie wybrać strój na spotkanie z kimś, z kim całowałam się już w nawiedzonym lesie. Dobór ciuchów na normalną randkę nie powinien stanowić większego problemu.

Zdałam sobie jednak sprawę, że to nie ciuchy są problemem. Problemem było moje zdenerwowanie – ręce pociły mi się jak przed pierwszą szkolną randką. Zazwyczaj nie czułam takiej tremy, ale Talia niosła ze sobą nieuchwytnie poczucie kuszącego niebezpieczeństwa, ryzyko zejścia z dawno obranej drogi. Utratę kontroli, którą pracowicie od tylu lat pielęgnowałam.

Chociaż nasza wspólna noc w lesie i kawa wydarzyły się jakby same z siebie, teraz było inaczej: umówiliśmy się specjalnie. Ja i Talia, drinki i kolacja – cała noc rozwijała się przed nami niczym nęcący, mroczny szlak.

Prowadzący do jakiegoś ciemnego lasu, może jeszcze głębszego niż Puszcza Czarownic.

– Weź się ogarnij, Harlow – wymamrotałam sama do siebie, wkładając kolejne spodnie. – Idziecie na sushi, nie wyruszasz z nią na wyprawę do Hadesu.

Zdołałam w miarę uspokoić nerwy, zanim dotarłam do Arami. Muszę przyznać, że wewnątrz było stylowe – wyłożone blokami betonu ze lśniącochromowanymi elementami i industrialnymi wykończeniami, z inspi-

rowanym graffiti muralem z samurajką, który częściowo przykrywały rury wijące się po suficie. W ekstrawaganckiej dekoracji nie było żadnych elementów związanych z Halloweenem.

Talia czekała na mnie przy barze, na którego całej długości stały szklane miski w kształcie kwiatów lotosu z unoszącymi się w nich świeczkami.

– O, jesteś – powiedziała z uśmiechem, kiedy usiadłam koło niej. Spojrzała na mnie z podziwem. Po zdecydowanie zbyt długich rozważaniach dokonałam najwyraźniej trafego wyboru – miałam na sobie buty ze sztucznej skóry węża, metaliczne motocyklowe legginsy i granatową bluzkę w abstrakcyjny wzór przypominający dalie, a na wargach mocno różowy błyszczak. – I to w takiej dobrej formie. Nieźle wyglądasz, Harlow.

– Ty również, Avramov. – Jej ciężkie fale znów były upięte, a jedwabny top, spięty wokół szyi nie materiałem, lecz czarnym łańcuszkiem, miał barwę granatów. Chociaż próbowałam się przekonywać, że nie zamierza uwieść mnie i porwać do podziemnej krainy, w migotliwym świetle świec jej porcelanowa skóra i kruczoczarne włosy przywodziły na myśl namiętną mieszkankę zaświatów.

– Musimy jeszcze poczekać na stolik. – Przeciągnęła palcem po krawędzi kieliszka z martini i przysunęła go do mnie. – Martini z sake i opuncji, spróbujesz? Nie jest to może poziom Morty’ego, ale i tak niezłe. No i nie musisz się obawiać: nie ma w nim nawet odrobiny rozpuszczonych żelków.

– Łał, dobra reklama – powiedziałam, omal się nie opluwając. – Naprawdę jestem pod wrażeniem.

– Zawsze bardzo się staram – odpowiedziała z kamienną twarzą. Czulałam, jak wpatruje się w mój profil, kiedy zamawiałam ten sam koktajl. Ciepło jej spojrzenia było niemal namacalne. – Nie trzymaj mnie w niepewności. Czy to miejsce spełnia twoje standardy, czy może powinniśmy wypić i wyjść?

– Oczywiście na temat jedzenia nie mogę się jeszcze wypowiadać, jednak jak dotąd przerasta większość moich chicagowskich odkryć – a w każdym razie miejsc, na które mnie stać – przyznałam. – W tych, które naprawdę lubię, koktajle kosztują piętnaście dolarów. Pijąc je, z pewnością nie spłacę studenckiego długu.

– Piętnaście dolarów za koktajl? – Talia pokręciła głową z niedowierzaniem, co przypomniało mi, że nigdy nie oddaliła się z Thistle Grove na tyle, by napotkać szokująco przecenione napoje. – Czy są tego warte?

– Niestety czasami tak.

Opowiedziałam jej o kilku moich ulubieńcach: o Violet Hour w Wicker Park o zwiewnych zasłonach i koktajlach przywołujących na myśl alchemiczne eliksiry; o historycznym pubie na Uniwersytecie Chicagowskim z niesamowicie zdobionymi drewnianymi panelami, do którego wejść można tylko w towarzystwie osoby posiadającej kartę członkowską i który wyglądał, jakby czarodzieje z elity chadzali tam na grzaną whiskey; o ciastnym, wyłożonym aksamitem barze w paryskim stylu przy Division Street, gdzie czasami urządzano spektakle magii i burleski.

– Ale najbardziej ze wszystkich lubię Beatnik on the River – dokończyłam. – To inspirowane Marokiem miejsce na Riverwalk. Siada się tuż nad wodą wśród roślin, pięknych dywanów i kryształowych żyrandoli art deco. Popija się koktajle z łupin kokosów i obserwuje ryzykantów w kajakach i pontonach. Czasem obstawia się prawdopodobieństwo ich wywrócenia przez turystyczne łodzie rejsowe, które mają na wszystko wyjebane.

– Kiedy tak o tym opowiadasz, zaczynam myśleć, że te chore dreszcze podniecenia faktycznie mogą być warte tych pieniędzy.

– Może kiedyś przyjedziesz do mnie na parę dni? – Zaproponowałam, starając się, by zabrzmiało to swobodnie, chociaż na samą myśl o przyjeździe Talii do Chicago mój brzuch wypełniły motyle. – Mogłabym cię oprowadzić.

– Może... – w jej głosie była wątpliwość. – Nie wiem, czy bym to zniosła – nawet dłuższy pobyt w Carbondale jest dla mnie trudny. A Chicago? Tak daleko na północ? Wiesz, jak szybko magia niknie, kiedy przekroczy się granice miasta.

– Nawet na kilka dni? – nalegałam. – Dopiero po paru miesiącach przestałam być zdolna do czarów.

– Gra niewarta świeczki – pokręciła głową. – Nawet kilka dni takiej słabości nie jest dla mnie. A co, jeśli coś pójdzie nie tak i moja moc już nigdy w pełni nie powróci? – Zadrżała na samą myśl o takiej stracie. – Nie będę ryzykować.

Popijałam koktajl, nagle zasmucona wszystkim, co ją ominie przez to, że nie potrafi choć na chwilę porzucić magii Thistle Grove. Potem jednak przypomniałam sobie cudownie makabryczne zaklęcie, które rzuciła w lesie, by oddalić cienie, czystą elegancję jej czarów i pomyślałam, że może to z moją hierarchią wartości jest coś nie tak.

– W takim razie musisz uwierzyć mi na słowo. Beatnik to miejsce eklektyczne w najlepszym możliwym sensie... podobnie jak to. – Nieco zdeprzy-

mowana, rozejrzałam się wokół, podziwiając przemyślane dekoracje. – Nawet nie czuję się tu jak w Thistle Grove. Porządna kawa to jedno, ale urządzona ze smakiem restauracja? Gdzie są wszystkie nietoperze? Cemu nie nazywa się Buuu-nagi albo jakoś tak?

Zachichotała i pokręciła głową.

– Długo cię nie było, Harlow. Widziałas już na Yarrow, że Thistle Grove bardzo się zmieniło od twojej ostatniej wizyty. Dużo się dzieje, otwierają się nowe lokale... A gdybyś mu na to pozwoliła, to być może to miejsce pokazałoby ci, że ma do zaoferowania znacznie więcej, niż zapamiętałaś.

Uniosłam dłoń, biorąc duży łyk martini.

– Nie zapędzajmy się tylko dlatego, że doceniam minimalistyczny design.

Kelner zaprowadził nas do stolika. Ja usiadłam na ławie, a Talia na krześle naprzeciwko. Kiedy zamówiliśmy i przyniesiono nam przystawki, kończyliśmy już drugą rundkę drinków; czułam się ciepło i błyszcząco, dużo bardziej zrelaksowana, a wszelkie moje nerwy przeminęły dzięki kolejnym kolejkom martini i równie odurzającej obecności Talii.

– Mam teraz dylemat: czy mogę przyznać, że to naprawdę dobre? Bo obawiam się, że będziesz się tym chełpić do końca świata – powiedziałam, biorąc kolejny gryz tataki z tuńczyka – a tym samym popsujesz mi przyjemność.

– Jeśli poczujesz się dzięki temu bezpieczniej, zdradzę ci, że czasem zdarza mi się przyjmować własne triumfy z godnością Jessiki Lange. – Zanurzyła różowy płatek sashimi w sosie sojowym i zaczęła go skubać w sposób, który niespodziewanie katapultował surową rybę na pierwsze miejsce na mojej liście najseksowniejszych dań. – A najlepsze sushi i tak robię sama w domu. A zatem nie ufam twojej opinii, póki nie spróbujesz mojego dla porównania.

– Zaraz, zaraz. – Zmrużyłam oczy i wymierzyłam w nią pałeczkę. – Ty robisz sushi? Gotujesz?

Przyglądała mi się rozbawiona, a światło świecy tańczyło w jej lodowatych tęczęwkach.

– Nie jestem pewna, czy rolowanie maki można uznać za gotowanie. Ale tak, na ogniu też gotuję. A nawet piekę. A co, Harlow, zaskakują cię moje niesamowite umiejętności?

Palcami pokazałam, jak fajerwerki wybuchają mi przy obu skroniach.

– Zaraz mi mózg wykipi. Opowiadaj.

– Informuję cię zatem, że bardzo lubię najróżniejsze – mówiła głębokim, celowo chrypiącym głosem i pochyliła się ku mnie – domowe obowiązki. Niektórzy twierdzą, że moja babka czekoladowa jest deserowym odpowiednikiem seksu tantrycznego.

Wybuchłam śmiechem, chociaż jakaś drobna, wścibska część mnie zastanawiała się, czy powiedziała jej to słynna Jessica.

– To chociaż jedna z nas ma takie umiejętności. Wypróbuję nasze kulinarne pudełka subskrypcyjne, żeby wkręcić się w gotowanie, ale te konkretne umiejętności jakoś się mnie nie trzymają. Jeśli komuś o tym powiesz, oczywiście się wyprę, ale przyznaję, że w ciągu ostatnich miesięcy udało mi się przypalić ryż co najmniej trzy razy. Raz spaliłam go tak, że uruchomił się alarm i sąsiedzi się wkurwili.

Jej czarne jak atrament brwi powędrowały w górę.

– Chciałam zastosować domniemanie niewinności, ale muszę przyznać, że to tragedia.

Zamieszałam osad z opuncji w kieliszku.

– Brakuje mi cierpliwości. Po co męczyć się nad jakąś wołowiną po burgundzku, skoro efekt twojej pracy zaraz zostanie zjedzony? Godziny roboty, a potem puf i nie ma.

– Tak, zazwyczaj tak to jest z jedzeniem.

– No wiem, ale i tak mi się to nie podoba. Strata czasu.

Wzruszyła lśniącym, nagim ramieniem.

– Mnie to daje satysfakcję. Kiedy kogoś karmisz, przynajmniej na chwilę dajesz mu radość i poczucie bezpieczeństwa. Troszczysz się o tę osobę, a ona to czuje. Jasne, efekt jest lepszy, kiedy gotujesz przynajmniej dla dwóch osób. Faktycznie by mnie zmuliło, gdybym napracowała się dla siebie samej.

Wzięłam ostatni łyk, próbując przyswoić te nowe informacje. Z jednej strony w życiu bym nie pomyślała, że Talia Avramov, którą pamiętałam – niezależna, urocza i nieuchwytna jak kwiat paproci – jest taką troskliwą opiekunką. Z drugiej strony ta nowa perspektywa lepiej pasowała do Talii, którą widziałam w Puszczy Czarownic – nekromantki tak czule rozmawiającej z samotnym cieniem. Talii, która nie potrafiła zrozumieć beztroskiego stylu życia własnej rodziny.

„Ale może” – przypominałam sobie jej słowa na gali – „Może już nie jestem aż tak złą decyzją”.

Być może, tak jak Thistle Grove, którego tak naprawdę nie znałam, zdystansowana i nieuważna Talia z liceum, niczym płatek uwięziony w bursztynie, była tylko odbiciem kogoś, kto już od wielu lat nie istniał.

Jakimś cudem ta jej złożoność czyniła ją tylko bardziej intrygującą, jak niespodziewana zagadka, którą desperacko pragnęłam rozwiązać.

– Cóż mam powiedzieć – rzekła, a jedno spojrzenie wystarczyło, żeby przeczytała mi w myślach. – Za dnia fartuszki z falbanami, nocą ektoplazma... Mam wiele warstw. Twoja kolej, Harlow. Czego o tobie nie wiem, a powinnam?

– Hmm... – zastanawiałam się, kiedy przyniesiono nam maki na danie główne. – Wiesz oczywiście, że bardzo lubię czytać. Ale kręcą mnie też łyżwy i rolki. W zeszłym roku przez jakiś czas byłam nawet w drużynie rolkarskiej, ale w pracy zaczęło się tak dużo dziać, że nie mogłam wciąż brać zwolnień, żeby leżeć z uniesioną kostką i okładać lodem siniaki.

– Nie gadaj – zdziwiła się i zagryzła wargę w uśmiechu. – Emmeline Harlow, rozpychająca się łokciami raptuska na kółkach. Masz rację: nigdy bym nie zgadła.

– To ja, a moje imię to Electra Hex – powiedziałam, dramatycznym gestem wskazując jedną z moich pałeczek. – Była członkini drużyny Mass Marauders.

– „Mała we wzroście, wielka jest w zawzięciu” ² – powiedziała, unosząc żartobliwie brew. – I nie mów mi, że ludzie za często powtarzają ten cytat, bo dobrze o tym wiem – i w tym konkretnym przypadku wszystko mi jedno.

– Nie zamierzałam tego powiedzieć. Reszta cytatu nie jest równie lubiana, ale mnie podoba się całość. „Gdy się rozzłości, chytra jest, zacięta. Jędzą już była, gdy chodziła do szkół”. Ach, ta szekspirowska bezczelność. – Uśmiechnęłam się do swojego sushi. – Zawsze uważałam, że byłby z tego dobry tatuaż.

– Na tobie na pewno.

Spojrzałam z ukosa na mleczne płótno jej ramion. Nie mogłam powstrzymać myśli wędrujących ku jej słodko-słonej skórze. – A skoro już mówimy o tatuażach: ty masz jakieś? Podejrzewałabym, że tak.

Opuściła głowę, a przez jej twarz jakby przemknęła chmura.

– Raz czy dwa miałam ochotę sobie zrobić – powiedziała, unosząc na mnie wzrok, jednocześnie czujny i kruchy. – Ale nigdy do tego nie doszło... z różnych powodów.

– Wiesz, że twoja tajemniczość tylko mnie skłania do dalszych dociekań, prawda?

– W takim razie... – Przyglądała się kolekcji tatuaży na wewnętrznej stronie moich przedramion, mrużąc oczy z zainteresowaniem. – Mam dla ciebie propozycję.

Powoli sięgnęła przez stół, palcem przeciągnęła po linii rysunków wznoszącej się pionowo ponad żyłami na moim nadgarstku. Poczułam jej dotyk, ciepłą miękkość jej palca i ostrą krawędź paznokcia, niczym łaskotanie rozprzestrzeniające się po moim ciele. Z ramienia przenosiło się na klatkę piersiową, do brzucha, i stawało się gorące pomiędzy udami, jakby dotknęła palcem bezpośrednio nerwów pod skórą.

– Jeśli powiesz mi, co oznaczają wszystkie twoje tatuaże – powiedziała niskim, słodkim jak miód głosem, kiedy ja próbowałam nabrać tchu – to odwzajemnię przysługę.

– Dobra. – Przechyliłam głowę, trochę wstawiona i bardzo odważna, wciąż czując jej dotyk na skórze. – Może... może chciałabyś do mnie wpaść? Na drinka przed snem i opowieści o dobrych i złych tatuażach?

Przez chwilę zastanawiała się, a jej blade, wilcze oczy patrzyły wyciekająco.

– Wiesz co, Harlow? To właśnie chciałabym zrobić.



Co mówi się w zaufaniu

Inaczej czułam się w ogrodzie matki, kiedy obok mnie była Talia; przestrzeń stała się nagle bardziej intymna, w swojej magii bardziej dzika. Sierp przybywającego księżyca pilnował nas, kiedy spacerowałyśmy wzdłuż wybrukowanych alejek; profil jego tajemniczej twarzy odcinał się od damaszkowego mroku. Pierwiosnki milkły, kiedy je mijałyśmy, a potem zaczynały szeptać, jakby przekazywały sobie ploteczki. Zerwał się wiatr, który nie pachniał jedynie zimą i jesienią, ale też najprawdziwszym Halloween; pachniało tak tylko w Thistle Grove – niespokojnymi duchami, ciemniejszą, głębszą magią rzeczy znajdujących się na krawędzi śmierci. Po raz pierwszy poczułam, że Samhain się zbliża.

Ten dymny zapach sprawiał, że miałam ochotę całą noc spędzić na dworze i wdychać go szeroko otwartymi ustami w świetle uważnego księżyca. Wydało mi się nagle, że nigdy nie zdołam wdychać go dość długo, nawet jeśli noc będzie trwała wiecznie.

– Uroczo – zauważyła Talia, budząc mnie z zadumy i gładząc dłonią pierwiosnek, który schylił się ku niej jak bezczelny, mały szpieg. Kwiat zamarł pod jej dotykiem, po czym prędko się odsunął, trzęsąc się z oburzenia. – Kto go animuje?

– Moja mama. Zazwyczaj są o wiele bardziej urocze – dodałam, jakbym chciała przeprosić za kwiaty i chłodne przyjęcie, jakie nam zgotowały. – Mniej... zirytowane.

– Nie ma problemu. Nigdy się nie dogaduję z ruchomymi roślinami. – Wzruszyła ramionami. – Nie biorę tego do siebie; dla Avramovów są jak kłątwa. Przeraża je, że przesłona w ich pobliżu się przeredza, kiedy jeste-

śmy obok, jako że życie jest antytezą śmierci. A przynajmniej tak twierdzi Linden, a ona się na tym zna.

– Szkoda, ale ma to jakiś sens.

Otworzyłam drzwi, przygotowując się na wybuch miłości Jaspera, który rzucał się na mnie przy każdym powitaniu; dla poziomu jego entuzjazmu nie miało znaczenia, czy nie było mnie przez pięć minut, czy pięć godzin. I oczywiście podbiegł do mnie galopem, drapiąc pazurami o drewnianą podłogę, omal się nie wywalił, a wreszcie zderzył się z moimi nogami we wściekłym szale.

– Spokojnie, chłopaku, spokojnie – zdołałam wydusić z siebie pomiędzy jednym a drugim liźnięciem w twarz. – Talio, poznaj Jaspera, mojego wąsa- tego księcia. I nie przejmuj się, jeśli na początku wyda ci się nieprzystępny, potrafi być trochę...

Oddaliłam się, a Jasper opadł z powrotem na ziemię, powąchał dłoń Talii i zwałił się na plecy, czekając aż ona podrapie go w obnażony brzuch. Na pieszczoty reagował tak przesadzoną ekstazą, że poczułam się nieco urażona; mój książkę miał być psem monogamicznym! A ona nie dała mu nawet żadnej przekąski!

– ... nieufny wobec obcych – otworzyłam szeroko usta, zaskoczona. – OK, co tu się dzieje? Nigdy nie zachowuje się tak przy pierwszym kontakcie.

– To z kolei zaleta Avramovów – powiedziała, lekko wzruszając ramionami i patrząc na mnie przez pęczkę lśniących włosów, która opadła jej na twarz. – Psy nas lubią. Według legend o naszym rodzie, Jaga była blisko związana z leśnymi zwierzętami, takimi jak wilki. Pewnie coś odziedzyczyliśmy.

Podrapała Jaspera i podniosła się zgrabnie. Jej ruchom nie towarzyszyło strzykanie w stawach, które z pewnością wydałyby z siebie moje zniszczone jazdą na rolkach kolana. Jasper przez chwilę leżał tam, gdzie go zostawiła, z nadzieją uderzając ogonem o podłogę, wreszcie jednak się poddał i poszedł na swoje posłanie przy kominku, wzdychając nieszczęśliwie.

Pokręciłam głową, urażona jego zdradą, wrzuciłam klucz do miseczki w kształcie sowy stojącej na stoliku przy drzwiach i zapaliłam wszystkie światła w pokoju pstryknięciem palców – trochę popisywałam się przed Talią.

– Harlow! – zawołała, odwracając się do mnie z uśmiechem, kiedy pokój wypełnił się przytłumionym blaskiem. Wydawała się szczerze uradowana. –

Wróciłaś do czarów! Chyba powinnam ci pogratulować!

– Nie mogę sobie przypisywać szczególnych zasług w tym temacie. Magia sama do mnie wróciła, ot tak – powiedziałam ze wzruszeniem ramion, podchodząc do aneksu kuchennego. Nie chciałam przyznawać, jak bardzo jestem podekscytowana. – To chyba aklimatyzacja. Chcesz się czegoś napić? Masz do wyboru... – Otworzyłam małą lodówkę i zajrzałam do środka, chociaż dobrze znałam jej mocno ograniczoną zawartość. – Białe wino w puszcze albo różowe wino w puszcze. I nie zamierzam za to przeproszać.

– Poproszę białe i żadnych przeprosin nie trzeba. Ludzie nie doceniają wina w puszcze.

– Cieszę się, że zgadzamy się w kwestiach podstawowych.

Kiedy Talia obchodziła wokół pokój niczym kot zaznaczający nowe terytorium, chwyciłam dwie puszek wina Dark Horse i dziobatą pomarańczę z miski. Talia dołączyła do mnie, kiedy usiadłam na kanapie obok okna i rzuciłam jej jedną z puszek. Unosiła się nad nią chmura słodkich perfum.

– *Vashe zdorov'ye* – powiedziała, otwierając puszkę i stukając o moją.

– Wiesz, że to absurdalne?

– Takie słowa z ust słynnej Electry Hex?

Powstrzymałam śmiech, przykładając pięść do serca.

– Jak śmiesz, Avramov. Pewne rzeczy mówi się w zaufaniu.

– Och, nie przejmuj się. Planuję robić sobie z ciebie żarty tylko wtedy, kiedy nikogo nie będzie wokół – zapewniła.

– A mawiają, że Avramovowie nie są taktowni.

Zanurzyłam palce w pomarańczy i zdarłam z niej satysfakcjonująco długie spirale skóry. Kwaskowa słodycz cytrusów wypełniła pokój jak dzin wypuszczony z butelki. Zgrabnie podzieliłam owoc na pół i podałam jej jedną część, starając się nie wgapić w jej wargi, kiedy uniosła ją do ust.

Przyłapała mnie jednak; domyśliłam się tego, widząc, że je w przemyślany sposób, zatrzymuje się nad każdym kawałeczkiem i zsysa sok z palców.

Popiła pomarańczę winem i odstawiła puszkę na stolik.

– A propos rzeczy, które mówi się w zaufaniu – powiedziała, wskazując moje ramię. – Miało ich być więcej.

– Ale masz wymagania. – Zbliżyłam się ku niej z podciągniętymi stopami, aż dotknęłam kolanami jej kolan. Bliskość sprawiła, że poczułam się aż nadto obecna, superświadoma i przewrażliwiona, jakby cała moja skóra

obudziła się z długiego snu. Serce wskoczyło mi na wyższy bieg i zaczęło uderzać o żebra. Nikt nie wiedział, co oznaczały wszystkie moje tatuaże; ani najlepsi przyjaciele z Chicago, ani nawet Lin. Strzegłam ich jak skarbu, sekretnego, choć każdy mógł go zobaczyć. A teraz miałam opowiedzieć o nim Talii, którą znałam niby całe życie, ale tak naprawdę dopiero od dwóch tygodni.

Starając się zebrać na odwagę, podciągnęłam rękaw i ułożyłam jej ramię na kolanach. Chwyciła mnie ciepłą dłonią za nadgarstek, a palcem leniwie pogładziła jeden z tatuaży.

– Zaczniemy od tego. Od strzały.

Przełknęłam ślinę i wyciągnęłam wolną dłoń po wino.

– Zrobiłam go jesienią po tym... No wiesz, po tym lecie, o którym nie wspominamy. Chyba w listopadzie, właśnie skończyłam osiemnaście lat. To wtedy zdecydowałam, że spierdałam stąd na dobre.

Talia przeciągnęła palcem po strzałce, a jej ciemne brwi zmarszczyły się lekko.

– Co on oznacza? Że podjęłaś decyzję o wyjeździe?

– Mogłam pewnie wymyślić coś bardziej kreatywnego niż strzałka, ale chciałam, żeby to był prosty rysunek. Taki, na który mogłabym spojrzeć i pomyśleć tylko: „odfrywam”. – Zagryzłam wargę, przypominając sobie, jak czułam się jako nastolatka na fotelu w jedynym studiu tatuażu w Thistle Grove, Black Cat Ink. Miałam w sobie głęboką nadzieję na inną przyszłość, za którą czaiło się morze smutku. – Wciąż byłam w rozpacz, ale poczułam się cudownie, kiedy udało mi się podjąć tak ważną decyzję. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że jestem zajebista.

Talia uśmiechnęła się lekko. Uniosła moją dłoń do ust i delikatnie musnęła strzałkę wargami, jakby w podziękowaniu.

– A ten?

Westchnęłam lekko, kiedy wskazała palcami stylizowanego feniksa, bardziej wstrząśnięta tym delikatnym pocałunkiem, niż być powinnam.

– To jest... yyy... maskotka uniwersytetu chicagowskiego. Feniks Phil. Zrobiłam go sobie na drugim roku, kiedy poczułam, że naprawdę tam przynależę. Że dokonałam właściwego wyboru.

– Wcześniej nie byłaś pewna?

Zaśmiałam się przez nos.

– Och, bynajmniej. Na pierwszym roku byłam strasznie nieszczęśliwa. Tak bardzo tęskniłam za domem i miałam mnóstwo wątpliwości, zwłaszcza

kiedy opuściła mnie magia. Nie miałam prawie żadnych przyjaciół, a tych, którzy byli wokół mnie, z pewnością doprowadzałam do szału swoimi lękami. Zwłaszcza że nie mogłam im przecież powiedzieć, na czym polega problem.

Głośno przełknęłam ślinę.

– Ale byłam zbyt uparta, żeby się poddać, a w pewnej chwili wszystko po prostu... trafiło na swoje miejsce. Obudziłam się i zdałam sobie sprawę, że mogę być tam szczęśliwa. Że przez większość czasu jestem tam szczęśliwa. Że to dla mnie właściwe miejsce. Fundament mojego przyszłego życia.

Talia znów przyciągnęła mój nadgarstek do ust; tym razem pocałunek był chwilę dłuższy, odrobinę słodszy. Kiedy palcem dotknęła kolejnego tatuażu – maleńkich nożyczek przecinających pętelkę – było to nieme pytanie. Jakby bała się, że zgubię wątek, jeśli odezwie się na głos.

– Wtedy postanowiłam wreszcie obciąć włosy. – Na to wspomnienie poczułam ukłucie bólu; złotobrazowe, kasztanowe i miodowe pasma spadały na podłogę wokół fotela w salonie fryzjerskim niczym zrzucona skóra. – Uwielbiałam swoje włosy. Były absurdalnie długie, a ja robiłam sobie idiotyczne fryzury. Mnóstw warkoczyków, czasem ozdobionych talizmanami i kryształkami z Woluminów & Wróżb. Ta papuga Delilah nosi się teraz podobnie. Zawsze chciałam, żeby wyglądały totalnie jak u wiedźmy. – Wzruszyłam samokrytycznie ramionami. – To pewnie była taka kompensacja. Nie miałam szans być wielką czarownicą, więc przynajmniej moje włosy miały odpowiednio wyglądać.

Talia lekko się uśmiechnęła na te słowa.

– Pamiętam. Sięgały ci do pasa i miały mnóstwo kolorów, chociaż nigdy ich nie farbowałaś. Były naprawdę piękne. Jak lato przechodzące w jesień.

Chwilę milczałam, zaskoczona.

– Naprawdę? Tak myślałaś?

– Naprawdę. – Teraz uśmiechnęła się już szeroko i ciepło. – Myślałam też, że wyglądasz w nich jak mała lwica.

Przełknęłam gulę, która stanęła mi w gardle, pełna tęsknoty za utraczonymi dawno włosami. Jakby gładka fryzura nie była tą częścią mojego wyglądu, która wymagała najwięcej pracy; jakbym co miesiąc świadomie nie chodziła do fryzjera, żeby podciąć włosy i odświeżyć kolor, jakbym ich nieustannie nie suszyła i nie prostowała, żeby wyglądały tak a nie inaczej. Cały ten wysiłek był zajęciem stanowiska – ogłaszałam nim, że nie zamie-

rzam wracać, że nie zrobię nawet kroku w tył ku osobie, którą byłam kiedyś.

Czasem śniło mi się, że w jedną noc włosy odrosły, i budziłam się niewymownie smutna. Jednak na jawie nigdy nie przyznałabym się, że mogłabym je znów zapuścić.

– Wcześniej tylko odrobinę je podcinałam. To było... – zawahałam się, próbując wyartykułować moją motywację. – To było jak pokazanie światu osoby, którą chciałam zostać w świecie bez magii. A ta osoba zdecydowanie nie była obdarzona włosami czarownicy Barbie.

– Nie miałaś włosów czarownicy Barbie, Harlow. Były znacznie bardziej stylowe.

– Może i tak, ale wiesz, o czym mówię. – Wzięłam głęboki oddech i wypuściłam powietrze z drzeniem. – W każdym razie mogłoby się wydawać, że tak radykalna zmiana fryzury sama w sobie jest wystarczającym przełomem, ale to było... ważniejsze niż tylko włosy. To był kolejny punkt zwrotny. Może moje włosy nie miały już zawsze być krótkie, ale jeśli nawet... nie chciałam nigdy zapomnieć o tamtej decyzji.

Talia otworzyła usta, ale najwyraźniej zastanowiła się nad tym, co miała powiedzieć, i zamiast się odezwać, znów uniosła mój nadgarstek do ust. Czułam jej ciepły oddech na skórze podczas długiego pocałunku, a spiętrzone we mnie ciepło znów rozpląnęło się po ciele.

Pomiędzy kolejnymi łykami wina przyglądała się kolejnym tatuażom na moim ramieniu, które symbolizowały moment ukończenia studiów, decyzję o podjęciu pracy w Enchantify zamiast dalszej edukacji, klucz do pierwszego mieszkania, które wynajęłam sama, kolejne awanse... Wszystkie te kamienie węgielne miały zbudować fundament Emmy z Chicago w miejscu, w którym dawniej rezydowała Emmeline Constance z rodu Harlowów z Thistle Grove.

Talia każde wyznanie pieczętowała gorącym pocałunkiem; moja skóra stawała się coraz delikatniejsza pod dotykiem jej warg, kiedy zbliżała się ku zgięciu łokcia. Pomyślałam, że nigdy dotąd nie czułam takiej mieszanki emocji, uderzającego do głowy miksu wrażliwości i pożądania. Nie zbliżyłam się do niego, kiedy byłam kilka miesięcy wcześniej z Andersem, ani nawet z Chrissy jeszcze wcześniej, choć związek z nią był obiecujący, nim przeszkodziła w nim praca.

Towarzystwo Talii było tak żywe, promienne, lśniące jak drogie kamienie. W porównaniu z nią wszyscy, z którymi byłam dotąd, zdawali się bled-

nać, rozpływać się w nieciekawych pastelach.

Z każdym kolejnym, coraz dłuższym pocałunkiem mój oddech stawał się coraz krótszy, coraz bardziej urywany, aż zaczęłam podejrzewać, że nie dotrzemy do końca mojej opowieści.

– A ten? – przymilała się, gładząc kciukiem kolczasty fioletowy kwiat, wytatuowany pod moim łokciem.

Przestałam już udawać, że trzymam jakikolwiek dystans, i siedziałam jej już prawie na kolanach, jakby przestrzeń między nami została namagnesowana. Unoszące się tuż nade mną hipnotyzujące oczy i musnięte cytrusem wargi były jak zaproszenie. Małe wgłębienie nad jej górną wargą miało idealny kształt diamentu. Marzyłam, by je pocałować. Czułam tylko zapach pomarańczy i słodycz jej perfum, jak wonne wezwanie.

– No dawaj, Harlow, umowa to umowa. Powiedz mi, co oznacza ten tatuaż.

– Oset... no cóż... – zamknęłam oczy, starając się pohamować bardzo natarczywe wołanie moich łądzwi i się zastanowić. – Ten zrobiłam niedawno. Pod koniec sierpnia, kiedy postanowiłam wrócić do domu na turniej. Nie od razu tego chciałam, miałam poczucie, że się cofam. Potem jednak pomyślałam, że nie tak powinnam na to patrzeć. Byłam winna moim rodzicom ostatni przyjazd. Uznałam, że jeśli uda mi się przyjechać tu i wyjechać znowu, to będzie dowód.

– Dowód na co? – zapytała chrapliwym głosem.

– Dowód na to – zaczęłam, choć serce zdawało się podchodzić mi do gardła jak balon. Była tak zajebiście blisko. Jej dłoń była taka gorąca, jej uda naciskały na moją nogę w najintymniejszy możliwy sposób – że to miejsce jest już za mną. Że nie płynie już w mojej krwi.

Spojrzała na mnie, a jej oczy były równie zniewalające co noc Samhain za oknem.

– I faktycznie tak jest?

– Och, Talio – wyszeptałam głosem, w którym pojawiła się boleść. – Sama już nie wiem.

A potem pochyliłam się, żeby ją pocałować.

Jej wargi rozchyliły się natychmiast, a jedwabisty, słodki od pomarańczy język omiół mój. Obiema rękami objęła mnie w pasie i posadziła sobie na kolanach, gładziła mnie po plecach, a potem zanurzyła palce w moich włosach i przyciągnęła do siebie, by pogłębić pocałunek. Ujęłam jej twarz w dłonie, przeciągnęłam palcami po kościach policzkowych i ostrej linii

szczęki, podążyłam opuszkami wzdłuż jej szyi i sterczącego obojczyka pod łańcuszkami jej topu. Nie miała na sobie biustonosza, a jej piersi pod śliskim materiałem były w moich dłoniach ciężkie i ciepłe; jej sutki stwardniały, kiedy gładziłam je kciukiem.

– O kurwa, Emmy – wymamrotała mi prosto do ust.

– Czy ty... właśnie zwróciłaś się do mnie po imieniu? – zapytałam, tak zaskoczona, że odsunęłam się trochę. Na dźwięk tych dwóch sylab przeszedł mnie elektryczny prąd. Jakby nikomu dotąd nie udało się wypowiedzieć ich tak, jak trzeba.

– Emmy – powtórzyła, teraz już nieco się przekomarzając. Uśmiechnęła się i mocniej ścisnęła moje włosy. Odchyliłam głowę do tyłu, dysząc ciężko, kiedy całowała miejsce tuż pod moją szczęką. Przeszły mnie gwałtowne dreszcze i nowe pulsowanie pomiędzy udami. Kiedy całowała mnie w szyję, wiłam się, bezradna wobec požądania. – Emmy – powiedziała znów prosto w moją skórę. – Lubisz, jak to mówię?

– Uwielbiam, kurwa – powiedziałam głosem tak ściśniętym, że jakby nie moim. Jej palce powędrowały ku rąbkowi mojej bluzki, a ja uniosłam ręce żeby mogła ją zdjąć.

I wtedy jej wargi były już wszędzie, pozostawiały tłący się ślad na moich piersiach, spuchniętych pod miseczką biustonosza z czarnej i srebrnej koronki, który włożyłam w nadziei, że go zobaczy.

Przeciągnęła językiem po przestrzeni między moimi piersiami, jedną dłonią powędrowała po żebrach i talii, aż chwyciła mnie za biodro; drugą czochrała mi włosy, odchylając głowę do tyłu. Wyobrażałam sobie wiele sposobów na to, by skłonić ją do jęku, ale to ja nie mogłam przestać hałasować. Kiedy zdjęła jedną miseczkę mojego biustonosza i włożyła sobie mój sutek do ust, wydałam z siebie niski, głęboki jęk i objęłam jej szyję ramieniem.

Pragnęłam jej do bólu, do słodkiego bólu między moimi udami.

– Nie przestawaj – jęknęłam, kiedy pociągnęła mnie za włosy trochę mocniej, wyginając mi szyję. – Nie...

Ktoś zapukał do drzwi. Lekko, trzy razy.

– Kurwa mać – wycedziła Talia, opierając policzek o moją klatkę piersiową. – Chyba żartujesz.

Zamarłam na jej kolanach. Oparłam podbródek o jej głowę.

– Nie ruszaj się – wyszeptalam. – Może po prostu sobie pójdzie.

– Kto to może być, tak późno?

– Pewnie moja mama. Ona tak puka.

Jakby na zawołanie rozległo się kolejne pukanie, tak delikatne, że nie obudziło nawet śpiącego przy kominku Jaspara. Moja matka, która zawsze była rasową sową, zobaczyła pewnie przez okno migoczące światło i założyła, że ja również nie śpię. A nie miała, biedaczka, żadnego powodu, by podejrzewać, że mam takie towarzystwo.

Zapukała jeszcze raz, słabiej. Po dłuższej ciszy usłyszałam jej kroki w kapciach, kiedy postanowiła wrócić do domu.

Ze świszczącym westchnieniem sturlałam się z kolan Talii i rozparłam się na kanapie ze skrzyżowanymi ramionami. Spleciony szenil drapał mnie w nagie plecy.

– Jak myślisz – zaczęła ot tak, zwracając ku mnie głowę – powinniśmy ją były zaprosić do środka?

Wybuchłam śmiechem, zakrywając twarz przedramionami.

– Przestań.

– Wiesz, tak by było uprzejmie. Wszystkie jesteśmy dorosłe, mamy tu mnóstwo pomarańczy, jestem też przekonana, że masz więcej puszek z winem...

Jęknęłam sobie w ramiona.

– Nienawidzę cię, Avramov. Szczerze cię nienawidzę.

– Jestem absolutnie pewna, że nie jest to prawdą, Harlow.

A zatem znów mówiłyśmy sobie po nazwisku; chociaż sama zaczęłam, nie do końca mi się to podobało. Atmosfera się zmieniła, iskrzące napięcie od razu zniknęło, a zastąpiła je niezręczność.

– Myślę jednak... – Talia rozchyliła moje ramiona, żebym mogła zobaczyć rozbawiony błysk jej oczu, jej powoli blednące policzki – ...że czas na mnie.

– Obawiam się, że masz rację – odparłam. Moje policzki wciąż płonęły.

– Całkiem możliwe, że mama wróci, żeby sprawdzić, co u mnie słychać. Sprawdzić, czy nie spaliłam domu, skoro śpię przy zapalonych świeczkach. Bezpieczeństwo przede wszystkim!

– Tak też podejrzewałam. – Wstała i uśmiechnęła się do mnie swoim wilczym uśmiechem. Kiedy wkładałam bluzkę przez głowę, wciąż pełna nieugaszonego pożądania, zebrała swoje rzeczy i ruszyła w stronę drzwi. – Dzięki za dzisiaj, Harlow... Nie mówię, że było fajnie, bo to zdecydowanie zbyt mało powiedziane.

Uśmiechnęłam się.

– Wiem, co masz na myśli. I... no wiesz, ja też.

– W porządku zatem. – Rzuciła mi przez ramię pożegnalny uśmiech. – Do zobaczenia.

Kiedy wyszła, jedna część mnie zasmuciła się jej nieobecnością, drugą zaś zalała fala ulgi. Obnażyłam się przed nią, opowiadając o moich tatużach w sposób, do którego zazwyczaj nie dopuściłabym kogoś obcego. Teraz, kiedy zaczynałam znów myśleć jasno, słyszałam tylko potępiające echo słów, które wypowiedziałam, kiedy zapytała, co myślę o Thistle Grove.

Po tylu latach spędzonych daleko, po wszystkich wysiłkach mających na celu wygnanie tego miasta z mojej duszy, potrafiłam odpowiedzieć tylko słabym „Nie wiem”. Miałam w sobie przynajmniej dość rozsądku, by zdać sobie sprawę, że po części niepewność ta związana jest z samą Talią Avramov.

Dopiero, kiedy znalazłam się w łóżku, w powozowni, która po jej wyjściu stała się zimna i ciemna, zdałam sobie sprawę, że Talia nie dotrzymała swojej części umowy.

Wciąż nie wiedziałam, czemu ona nie ma żadnych tatuży.



Anomalie, artefakty

Obudziłam się pełna żalu, że Talii nie ma obok.

Kiedy wstawałam, żeby wypuścić Jaspera, przyglądałam się temu uczuciu, obracałam je w myślach niczym jakąś anomalię, artefakt, na który przypadkowo wpadłam, analizowałam pod każdym możliwym kątem. Zazwyczaj nie chciałam towarzystwa we własnej przestrzeni; najszcześniejsza byłam rano sama w łóżku, z książką w dłoni i gwiżdżącym chrapaniem Jaspera w tle.

Tego poranka czułam się jednak apatyczna, trochę smutna. Co gorsza, zaczynałam tęsknić za Talią. Nawet powrót do najzabawniejszych momentów poprzedniego wieczora nie poprawiał mi humoru.

Wciąż się nad tym zastanawiając, wyszłam na chłodne powietrze w niechlujnym dresie i kardiganie na ramionach. Nie miałam dziś żadnych planów związanych z turniejem, zamierzałam więc po śniadaniu odpowiedzieć na służbowe maile. Niebo było zasnuwane ciężkimi chmurami. Mgła zbierała się w ogrodzie w małych kępkach, a kiedy wyszłam na brukowaną alejkę, owinęła wilgocią moje kostki. W ciemności poprzedniego wieczora tego nie zauważyłam, cała zajęta Talią i unoszącymi się w powietrzu czarami, ale mama przygotowała już dekoracje. Gdyby turyści i wigilia Samhain nie przypominały mu o nadejściu „sezonu koszmarów”, tata pewnie by go prze-gapił, mama jednak co roku wpadała w prawdziwy szal. Krzywe grobowce wystawały spomiędzy jej kwiatów, jakby urządziły inwazję – „Po mrowieniu w palcach czuję, że coś złego się szykuje – tu spoczywa Beryl E. Dedd” – i wszędzie leżały lampiony z wydrążonych dyń, zaś zza różanego krzewu próbował się wydostać obłany krwią ghul. Rozwiesiła nawet w całym ogro-

dzie całe połączenie sztucznej pajęczyny, a uwięzione w niej cekinowe krople rosy lśniły nieoczywistym pięknem.

– Co sądzisz, kochanie? Czy w tym roku dobrze się spisałam?

Uniosłam wzrok. Mama siedziała na starej huśtawce na tyłach domu, owinięta wygodnym szlafrokiem i w wełnianych kapciach, z kubkiem jakiegoś parującego napoju w dłoniach. Była prawie jedenasta, ale ona bardzo lubiła przedłużać poranki.

Z uśmiechem przedostałam się przez dziarskie powoje i kołyszące się różowe lilie, a potem usiadłam obok mamy na werandzie przy jęczącym proteście sprężyn. Szczęśliwie dla wszystkich zainteresowanych, kiedy przesunęła się, by zrobić mi miejsce, nie wyczułam w jej uśmiechu żadnej niezręczności; najwyraźniej poprzedniej nocy nic niepokojącego nie usłyszała.

Dzięki bogini za te drobne łaski.

– Lepiej niż kiedykolwiek – zapewniłam. – Ten ghul jest naprawdę niesamowity.

– Dziękuję – odparła ze szczerą satysfakcją w głosie. – Makabryczny ziomek, co?

– Totalnie groteskowy – zgodziłam się. – Chciałabym mieć choć część twojego talentu. Gdybym to ja go zrobiła, nie wyglądałaby jak ucieleśnienie koszmaru, ale jak smętny ludzik z zapalek.

Mimo całej mojej czarodziejskiej krwi, w odróżnieniu od mamy i Delilah nie miałam cienia talentu do robótek ręcznych. A moja biedna rodzicielka, która w ciągu lat była świadkinią niezliczonych katastrof z suchym makaronem i papier-mâché w rolach głównych, miała pełną świadomość moich tragicznych ograniczeń w tym temacie.

– No nie wiem, nie wiem – zerknęła na mnie pytająco. – W samym pomysle, że mogłabyś wykonać cokolwiek własnymi rękami, już jest coś koszmarnego.

Roześmiałam się. Zaszczekałam zębami na chłodnym wietrze. Spojrzała na mnie z matczyną troską.

– Nie jest ci zimno, kochanie? Może wypiłabyś coś ciepłego?

– Bardzo chętnie – powiedziałam, wstając. – Ale zrobię sobie sama...

– Nie, nie, siedź spokojnie – powiedziała zdecydowanym tonem, sadzając mnie z powrotem. – Przyniosę ci. Zresztą sobie też chciałam dolać. Wolisz herbatę czy cappuccino?

Rozsiadłam się, powstrzymując westchnienie. Nie mogłam jej odmówić tych chwil macierzyńskiej opiekuńczości po tak długiej nieobecności. Ale też czułam się okropnie, kiedy tak mi usługiwała.

– Cappuccino będzie super – poddałam się, obejmując się ramionami. – Dzięki.

Dziesięć minut później popijałyśmy razem kawę, przyglądając się parze wścibskich kruków, które postanowiły zrobić sobie grzędę na poszarpanej głowie ghula.

– Jak się czujesz przed jutrzejszym sędziowaniem? – zapytała, obejmując kubek obiema dłońmi. – Gotowa na kolejne wyzwanie?

– Po ostatnim jestem trochę zdenerwowana – przyznałam. – Wszystko się może zdarzyć.

– Ja na twoim miejscu też bym się na pewno denerwowała. – Spojrzała na mnie znacząco kątem oka. – Czy tym razem znowu wymyśliliście z tą twoją ekipą coś paskudnego-chociaż-nie-zakazanego? Oczywiście nie musisz mi nic mówić. Ale dobrze by było wiedzieć, czego możemy się z ojcem spodziewać.

Oblizalam wargi, spuściłam wzrok.

– Kiedy mówisz: „wymyśliliście”, masz na myśli...?

Mama przewróciła oczami i klepnęła mnie w udo.

– Proszę cię, kochanie, chyba nie doceniasz swojej starej matki. Nie rozumiem tylko do końca, czemu to robicie. Tobie pewnie chodzi o wyrównanie rachunków po tym, co ci zrobił w szkole ten wstrętny Blackmoore. Ale o co chodzi twoim sojusznikom? Ty i Linden zawsze byliście blisko, ale ta mała Avramov z pewnością nie pomaga wam tylko dlatego, żeby zemścić się za twoje dawne krzywdy.

Przerwała, widząc moje oszołomione spojrzenie, i poklepała mnie znów po udzie, jakby chciała powitać mnie raz jeszcze w tej rozmowie. Jeden z kruków zwrócił ku nas łeppek, kracząc i wpatrując się w nas paciorkiem swojego oka, jakby szczególnie zainteresowały go nasze sprawy rodzinne. Próbowałam przypomnieć sobie, co oznacza spotkanie z dwoma krukami: z tego, co pamiętałam, zapowiadało jakąś pozytywną zmianę. Co za bzdura.

– Ty... wiedziałaś? – wydusiłam wreszcie, jakby ktoś wymieszał płyty tektoniczne pod moimi stopami. – O Garetcie? O mnie i o Garetcie?

– Nie znam szczegółów, ale oczywiście, że wiedziałam, że coś ważnego między wami zaszło. Jak mogłabym nie wiedzieć? – Porcelanowy kubek stłumił jej śmiech. – Przez całe lato kilkaset razy wplatałaś jego imię

w każdą rozmowę przy kolacji, cała rozanielona i niewinna. Nie jestem aż tak nieudolna, by nie rozpoznać oczywistych oznak beznadziejnego zakochania.

Chwilę przetwarzałam te informacje z żołądkiem wyżętym jak brudna szmata.

– Ale... nigdy nic nie powiedziałaś – wydusiłam wreszcie. – Nigdy później o nim nie wspomniałaś, nigdy...

Jej wzrok był surowy i zbolący.

– Zdecydowałaś mi o nim nie mówić, kochanie, a byłaś na tyle duża, że nie miałam prawa się wtrącać. Ale to zdarzenie cię zmieniło, prawda? On cię zmienił. Zranił cię. Wcześniej byłaś tu z nami szczęśliwa. Ale potem...

Pokręciła głową, a ja, czując, że żołądek jeszcze bardziej mi się ściska, zdałam sobie sprawę, że próbuje się opanować. Moja matka z definicji nie była płacziwa; wręcz przeciwnie, określiłabym ją raczej mianem dzielnej stoiczki, w pełni oddanej własnej godności i niemal uświęconej koncepcji „dawania rady”. Nie sposób było jednak nie zauważyć, że szklify jej się oczy, a kąciki ust drżały.

W okresie dorastania widywałam to bardzo rzadko, choć wciąż potrafiłam rozpoznać, kiedy moja matka próbowała powstrzymać płacz.

– Ale potem wprost nie mogłaś się doczekać, kiedy stąd uciekniesz – wyszeptala, ze złością wycierając oczy kłykciami. Rozpoznałam ten gest, irytację i zniecierpliwienie własnymi emocjami: kolejną rzecz, którą po niej odziedziczyłam. – Kiedy uciekniesz od nas. Najpierw myślałam, że po prostu potrzebujesz przestrzeni, że nakłanianie cię do zmiany decyzji tylko pogorszy sprawę. W życiu bym nie pomyślała, że do nas nie wrócisz...

– Mogliście mnie odwiedzić – wyszeptalam, chociaż wypowiadając te słowa, wiedziałam, że jest to nie tylko żalosna wymówka, ale po prostu kłamstwo.

Odwróciła się, żeby spojrzeć prosto na mnie, jej szklące się oczy lśniły jak oliwin. Położyła mi dłoń na policzku.

– Dobrze wiesz, że nigdy byśmy tego nie zrobili – powiedziała ze straszną, cichą życzliwością. – Dałaś nam jasno do zrozumienia, że tego nie chcesz. Ja i twój ojciec... Tęskniliśmy za tobą okrutnie, ale nie zamierzaliśmy ci się narzucać, skoro nie odwzajemniałaś tego uczucia.

Zagryzłam wargę, tonąc w lepkiem wstydzie. Miała rację. Przyjechaliby, gdybym kiedykolwiek zaprosiła ich tak naprawdę. Ale ja nie zniosłabym ich obecności w Chicago, ich iskrzących się, czarodziejskich zdolności

w czasie, gdy moje były ciemne, stłumione, gdy odbijały się we mnie echem jak w dawno opuszczonym domu. Tylko by mi przypominali o tym wszystkim, co zostawiłam za sobą, a za czym tęskniłam każdego dnia.

Mimo że porzuciłam to wszystko z własnej, nieprzymuszonej woli.

– Tęskniłam za wami, mamó – wyszeptalam, pochylając głowę, a smutek ciążył mi tak bardzo, że ciało miałam jak z ołowiu. Tamtego popołudnia w kawiarni, kiedy Talia zastanawiała się, jak radziłam sobie z dala od rodziny, trafiła w punkt. A nawet nie wiedziała, jak często i jak mocno odpychałam od siebie te uczucia. – Pewnie, że tęskniłam. Pewnie, że powinnam was była zaprosić. Powinnam była...

– A my powinniśmy byli przyjechać tak czy inaczej. Powinniśmy byli, bo dyskrecja dyskrecją, ale ty, Emmeline Constance, jesteś moją córką – powiedziała. Jej jasne oczy wpatrywały się we mnie, a kąciki ust drżały. – Pierwszą i jedyną, absolutnie ukochaną. To źle, że pozwoliłam, by sprawy zaszły tak daleko, powinnam cię była zapytać, nim zrobiło się za późno...

Głos jej się załamał, westchnęła z drzeniem, odwróciła się ode mnie i zamknęła oczy. Mocno objęłam się ramionami, zastanawiając się, ile jeszcze osób, które kocham, będzie w najbliższych dniach przeze mnie płakać. Tak bardzo przejmowałam się własnym bólem i powodami mojej ucieczki z Thistle Grove, że wstydliwie mało myślałam o krzywdzie, którą mój wyjazd wyrządził tym, których zostawiłam za sobą.

Moja aplikacja astrologiczna nie poinformowała mnie o tym nadchodzącym emocjonalnym przebudzeniu – jedna gwiazdka.

– To nie była twoja wina, mamó – powiedziałam cicho. Mój głos także drżał. Sięgnęłam ku niej dłonią na ślepo, chciałam chwycić ją za rękę, ale bałam się na nią spojrzeć. – Ani trochę. To ja was odpychałam, kiedy próbowaliście się zbliżyć, masz rację, Gareth mnie zranił. Może... może nawet bardziej, niż byłam gotowa przyznać.

– Czy teraz mi o tym opowiesz, kochanie? – powiedziała tak płaczliwie, że serce mocniej zabiło mi z żalu. – Co się wtedy stało? Dlaczego pomyślałaś, że nie możesz tu zostać?

Moje wnętrzości zdawały się ściśnięte, jakby wąż wśliznął mi się do środka przez gardło i owinął wokół żeber, dusząc powoli i okrutnie. Taka otwartość między nami była kompletnie nieznanym, przerażającym terytorium. Kochałam moich rodziców, ale nigdy nie byliśmy rodziną, która zagłębia się nawzajem w swoje uczucia. Mówiąc najprościej, po prostu nie wiedziałam, jak w ten sposób rozmawiać z mamą.

Ale byłam pewna, że chcę spróbować.

– Oczywiście, że tak. Wtedy też powinnam ci powiedzieć – przyznałam, jakbym miała pojęcie, co robić dalej. – Albo kiedykolwiek. Ale nie wiedziałam jak... to beznadziejny powód, dla którego nigdy nie spróbowałam.

– Nieważne, już nieważne, kochanie – powiedziała. Ścisnęła moją dłoń i ot tak napięcie w klatce piersiowej zelzało, aż poczułam, że znów mogę oddychać. – Cieszę się, że teraz chcesz wpuścić mnie do środka.



To jest prawdziwa awaria apple'a

Zgodnie z tradycją, kolejne wyzwanie odbyło się o zmierzchu.

Niebo nad Honeycake Orchards przybrało kolor stłuczonych owoców; warstwy brzoskwini, moreli i indygo, zszyte złotymi nićmi słońca zachodzącego za Hallows Hill. Stałam pośrodku szerokiej alei naprzeciwko stoły, w której znajdowała się recepcja. Dalej droga się rozwidlała, a polne ścieżki prowadziły do różnych atrakcji sadu. To tu w normalny dzień turyści przychodziliby na pączki, cydr i po bilety.

Tyle tylko, że to nie był normalny dzień. Talia, Rowan i Gareth stali naprzeciwko mnie w swoich ceremonialnych szatach – Gareth podejrzliwie patrzył wokół rozbieranymi oczami, które nijak nie pasowały do jego banalnej twarzy jak z reklamy pasty do zębów. Za moimi plecami zebrali się w oczekiwaniu członkowie założycielskich rodów. Wszechobecny, pełen napięcia szum był niemal elektrycznie naładowany, jakby w powietrzu unosił się namacalny potencjał, magia kreacji o własnej, iskrzącej się mocy.

Jak mówiłam poprzedniego dnia matce, czułam, że może zdarzyć się wszystko.

Grymuar raz zapulsował przede mną na piedestale, jakby łagodnie mnie szturchał. Potem otworzył się, jego karty trzepotały, aż znalazły właściwe miejsce, a słowa rozbrły na pustym pergaminie, jak spisane przez niewidzialne, ogniste pióro.

*Choć możliwe, że czary płyną w twoich żyłach,
Władza nie jest raz dana, trzeba ją zdobywać.*

*Gdy magiczne stwory są niebezpieczeństwem,
Musisz ciosy im zadać, harde i bolesne!*

Nie po raz pierwszy pomyślałam, że osoba odpowiedzialna za poetycką część zaklęcia nie była geniuszem liryki. Zwłaszcza słowo „harde” to już było odrobinę zbyt dużo, obstawiałam więc, że autorem jest Gramps Elias.

Kiedy słowa wybrzmiały, z grymuaru uniosły się trzy wiązki światła, a następnie owinęły wokół zawodników niczym lśniące sznury. W jednej chwili cała trójka zniknęła i zaraz pojawiła się znowu – Rowan przy wejściu na pole słoneczników, Talia koło grządek z dynią, Gareth zaś naprzeciwko pierwszego rzędu jabłoni.

Gdy się tam znaleźli, świetliste sznury rozwinęły się i splotyły w pozłocane kwiaty, z których każdy odfrunął na drugą stronę odpowiedniej areny i zawisł w powietrzu w oczekiwaniu.

Nawet stojąc pół kilometra dalej, widziałam, jak Talia zaciska zęby i przeklina pod nosem, zdając sobie sprawę, że grymuar pokrzyżował nam plany – każdy z zawodników miał pokonać inną, równoległą trasę. Talia nie miała szans, by przerwać swoje wyzwanie, popędzić do jabłoni po drugiej stronie sadu i przeszkodzić Garethowi, tak by zapewnić Rowanowi zwycięstwo.

Chociaż determinacja na jej twarzy, którą uczyłam się rozpoznawać, podpowiadała, że zrobi wszystko, żeby jej się to udało.

Wtedy grządki dyni zaczęły się ruszać.

Zarówno zwykłe dynie, jak i fantazyjne, powycinane lampiony uniosły się nagle z ziemi, ciągnąc za sobą winorośle. Zaczęły powoli przesuwać się do środka pola, jakby poderwało je jakieś grymaśne tornado. Talia z rozdziawionymi z podziwu ustami przyglądała się, jak wirowały wokół siebie niczym miniaturowy układ słoneczny, zanim jakaś niewidzialna siła wessała je jak czarna dziura.

Połączyła je w niezgrabne dyniowe monstrum, z którego sypała się ziemia – konstrukt spleciony winoroślami, z ogromną, cukrową czaszką na szczycie, którą zauważyłam, kiedy byłam tu ostatnio z Lin.

Dyniowy olbrzym zrobił dwa wielkie kroki naprzód i pochylił się, aż znalazł się twarzą w twarz z Talią; w każdym z jego upiornych, pustych oczu migotały płomienie. Potem ryknął tak głośno, że się wzdrygnęłam, nawet pozostając bezpiecznie w oddali.

Talia przeciwnie – zniosła to wycie, tak potężne, że podmuch oddechu dyniowego potwora zdmuchnął jej włosy z twarzy (wolałam nie zastanawiać się nad jego zapachem), z taką leniwą obojętnością, jakby warzywne bestie wydierały się na nią co wtorek. Potem wyciągnęła rozczapierzoną dłoń i, jak kałamarnica wystrzeliwująca atramentem, trysnęła lepką ektoplazmą, niczym starą pajęczyną, prosto w jego twarz.

Ryk gwałtownie umilkł, bestia kręciła oślepioną głową z boku na bok. Talia obróciła się i pobiegła do sadu jabłoni – gdzie Gareth mierzył się z czymś, co wyglądało jak wyjątkowo brzydki jabłkowy ent.

Sad utkał olbrzyma ze zwichrowanego pnia, kolczastych gałęzi i strategicznie rozmieszczonych kępek owoców i liści. Ten, zgrzytając zębiskami, rzucił się na zbliżającego się Garetha, strzelając w niego gałęziami jak z bicia. Gareth odbił kilka ciosów swoimi zarekawiami – zacisnęłam zęby, widząc, że faktycznie mu się przydały – a na te, których nie mógł odeprzeć w ten sposób, odpowiadał zaklęciami transmutacji. Gałęzie, które miały bić go do nieprzytomności, zmieniały się w nieszkodliwe podmuchy pary, confetti albo coś, co wyglądało jak kolorowe wstążki jedwabiu.

Chociaż miałam świadomość, że nie robi tego specjalnie, żeby mnie wkurzyć, w tym pokazie siły było coś absolutnie okropnego. Blackmoore potrafił zmienić bójkę z wredną wersją Johnny’ego Appleseeda w pokaz czarów, tak jakby taka manipulacja molekułami nie wymagała od niego żadnego wysiłku.

W tym czasie Rowan odbywał swój taniec ze słonecznikową olbrzymką.

Słoneczniki, pod którymi piknikowałyśmy z Linden, splotły się w wysoką, kwiecistą postać stracha na wróble o intrygująco kobiecej sylwetce. W odróżnieniu od dwóch pozostałych potworów, w zasadzie była ona całkiem ładna, żółte płatki na jej głowie stanowiły koronę, a zielone liście owijały się wokół jej talii. Jej ogromne, czarne ślepia przypominały zbudowane z nasion słonecznika oczy muchy. Za każdym razem, kiedy Rowan próbował zwieść przeciwniczkę, ta go blokowała. Poruszała się z upiorną prędkością migawki; zdawało się, że klatek na sekundę jest zbyt dużo, by w ogóle je przyswoić.

Kiedy odwróciłam się, by sprawdzić postępy Talii, Rowan właśnie zaczął wyrywać z ziemi paluszniki i ogromne wyczyńce, żeby upleść z nich sieć i spróbować uwięzić przeciwniczkę, a samemu pobiec po świetlisty zeton za jej plecami.

Talia nie odniosła na dyniowej grządce zbyt wielu sukcesów. Choć udało jej się uciszyć wycie potwora i oślepić jego głowę, dyniowy przeciwnik miał do dyspozycji wiele innych oczu. Kiedy pędziła w stronę jabłoni, wystrzeliwał winorośl, jakby zarzucał łąso, i owijał ją wokół kostek Talii, żeby ją przewrócić. Upadła z trzaskiem łamanych kości, w sposób, który określić można tylko słowami „prosto na ryj”. Wstrzymałam oddech, widząc, jak z całej siły uderza brodą o ziemię, a krew sączy jej się z przegrzanej wargi.

Zaraz jednak oparła się na przedramionach, potrząsnęła głową, a w oczach miała żądę mordy. Obnażając zęby, sięgnęła w dół, by zerwać winorośl; nie byłam pewna, jakiego użyła zaklęcia, ale sądząc po tym, że pędy ześliznęły się z niej jak wąsy kukurydzy, musiała uczynić swój chwyt ostrym jak żyłka.

Potem wstała i ruszyła ku dyniowemu nieprzyjacielowi niczym jedna z furii, autentycznie warcząc pod nosem.

Turniej turniejem – było to nieprawdopodobnie seksowne.

Demon ruszył na nią jak wściekły byk, machając ramionami. Wtedy jednak powietrze wokół zaczęło migotać, stało się srebrne i jakby... rzadsze. Widziałam, jak intensywne skupienie sprawia, że rysy twarzy Talii jakimś cudem stają się jeszcze piękniejsze, szkarłatny granat na jej szyi budzi się do życia, a ona unosi dłonie do nieba. W nagłej zmianie powietrza było coś dziwnie grobowego, jak zimny oddech w pustym grobowcu, lodowaty palec wprawiający w dreszcze.

Potem kształty zdawały się zlepiać, półprzezroczysta, obdarta szarość upiornych żagli zawisała ponad dyniowym potworem. Wydawały z siebie żalony skowyt, przechodzący w przerażające zawodzenie.

Zrozumiałam, że Talia świadomie czyni przesłonę wokół siebie coraz cieńszą, zmienia grządki w liminalną krainę podobną do Puszczy Czarownic, która była jej domeną.

Kiedy zaczęło się pojawiać coraz więcej i więcej duchów, które otoczyły dyniowego demona jak złowrogi rój, stało się jasne, że Talia potrafi nie tylko z nimi rozmawiać, ale też nimi rządzić. Rzucaly się i pikowały wokół dyniowego demona jak wściekłe nietoperze; po chwili potwór mógł już tylko odpierać ich nagłe ataki. Choć zdawały się niematerialne, cienie bez wątpienia nie były bezbronne; widziałam pojawiające się na pomarańczowej skórze demona żłobienia, zadrapania i poszarpane wyrwy.

Talia pobudzała ich gniew, zmieniając je w poltergeisty.

Kiedy demon zaczął wyć z bólu, ona wykorzystała moment. Owinęła się wehniętą chmurą czarnej ektoplazmy, wzniosła się w powietrze i zaczęła pędzić jak meteor w stronę jabłoni. Nie miałam pojęcia, że potrafi poruszać się tak szybko; wzrastały we mnie nadzieja, podziw i (niezbyt godna pochwały) duma oparta na poczuciu własności, kiedy zdałam sobie sprawę, że musi być jeszcze silniejsza, niż myślałam.

I dobrze, bo jedno zerknięcie na sad jabłkowy starczyło, by dostrzec, że czas jej i Rowana szybko się kurczy.

Gareth doskonale radził sobie w walce z wrednym Johnnym Applese-
edem (dowcipna część mojego umysłu miała ochotę nazwać to awarią apple'a), wymierzając w różne jego kończyny zaklęcia transmutacji. Udało mu się nawet zmienić jedno z jego ramion w płytę z litego kamienia, której potwór nie umiał podnieść; mocno przechylony w prawo, włókł ciężar za sobą, z trudem próbując odeprzeć ataki. Znajdowali się właściwie na drugim końcu sadu, a żeton lśnił tuż za pniem potwora, ledwie kilka metrów poza zasięgiem Garetha.

Rowan po jego lewej stronie wciąż walczył ze słonecznikową olbrzymką. Chociaż udało mu się już przebyć ponad pół pola, ona przedzie-
rała się przez jego sidła niemal w tej samej chwili, gdy on je wyczarowy-
wał, ostrzeliwując go strumieniem nasion słonecznika i zmuszając tym samym do wydatkowania energii na obronę.

– Rowan! – zapiszczała Talia, mijając go w powietrzu. – Nie ma czasu na pierdoły! Jedziesz, jedziesz, JEDZIESZ!

Kiwnął ponuro głową, uklęknął na jednym kolanie, jedną dłoń w wciąż się osłaniał, a drugą ścisnął w pięść i przyciągnął do piersi.

Niebo nad polem pociemniało, zmieniając się w wir skrzydeł. Nad głó-
wami walczących niczym przeraźliwy cyklon zebrało się stado ptaków –
gołębi, jaskółek, rybołówów i kruków – które rzuciły się na olbrzymkę
dziobiącą, szponiastą masą. Chociaż jednak Talia lądowała już prawie
w jabłkowym sadzie, było za późno.

Gareth zebrał w sobie wszystkie siły, zbladł jak trup, a pot spływał mu
po włosach: przywołał burzę z piorunami.

Cały sad wypełnił się iskrami światła, jakby nagle zapalił się milion
żarówek. Syknęłam z bólu, zakrywając oczy przed blaskiem, który zasnuł
mój wzmocniony wzrok arbitra płonąca mgłą. Ale wciąż widziałam dość
dobrze, by dostrzec uderzenie pioruna, które trafiło w sam środek wrednego

Johnny'ego Applewooda, roztrzaskując pień na dwie części, które zaraz upadły na ziemię.

W chwili, w której Talia wylądowała na kolanach tuż za nim, Gareth przeskoczył roztrzaskane drewno i schwycił żeton w powietrzu. Światło rozpuściło się w jego dłoniach, całą sylwetkę otaczając złotym blaskiem – a słowa uznania siłą wydostały się z moich ust:

– Drugie zwycięstwo należy do rodu Blackmoore'ów.



To jest twoje miejsce

– To był niezły burdel – powiedziała Talia z głową schowaną w ramionach.

Cała nasza czwórka spotkała się w poniedziałek w Koniczynowym Kotle na spontaniczne opłakiwanie przegranego wyzwania. Talia z ponurą skutecznością wychylała kolejne drinki, w tempie wyjątkowym nawet jak na siebie. Jednak, kiedy tak polegiwała na barze z głową opartą na przedramionach, wcale nie wydawała się coraz bardziej pijana, jakby jej smutek wchłaniał cały alkohol. W porównaniu do niej Rowan, Linden i ja zachowywaliśmy się dość grzecznie, choć odkąd Morty dowiedział się, że ten kolektywny dół ma związek z Garethem, nie pozwalał, by nasze kieliszki były choć przez chwilę puste.

– Naprawdę się staraliście – próbowała pocieszyć ją Linden. – Serio, oboje prawie daliście radę. Musisz to docenić.

Talia uniosła głowę, żeby zmrużonymi oczami spojrzeć na Linden z urazą, ale zaraz znowu ją opuściła.

– Wiesz, co mistrz Yoda mówi o staraniu się – wymamrotała. – Staranie się jest dla jebanych przegrywów.

– OK, być może powiedział coś podobnego – przyznała Lin, marszcząc brwi. – Ale nie sądzę, żeby miał na myśli... dokładnie to.

– Słabiutko, siostra – wzruszył ramionami Rowan, wychylając swoje piwo Dos Equis. – Powiedzmy sobie szczerze, to nie był nasz dzień.

Nie odzywałam się, tylko bawiłam plasterkiem limonki w moim drinku. Chociaż wszyscy byliśmy przygnębieni tym niepowodzeniem, ja czułam się wyjątkowo smutno; jakby w mojej duszy było nie tylko pochmurno, lecz także padał w niej grad. Po części mogło to wynikać z syndromu odstawie-

nia płaszcza, ale tak głębokiego egzystencjalnego niepokoju nie czułam od lat.

Nawet martwy Fred wydawał mi się smutniejszy niż zwykle, jakby zamiast radosnej makabry chciał zakomunikować coś w stylu: „porzućcie wszelką nadzieję”.

Przytrzymując opuszką plasterek cytrusa pod powierzchnią płynu, zastanawiałam się, czemu w ogóle tak bardzo mnie interesuje, że Gareth zapewne zwycięży. Od początku wiedzieliśmy, że jest to najbardziej prawdopodobny rezultat, a Talia i Rowan zdołali przecież raz obrzucić go jajem – to i tak więcej, niż mogliśmy się spodziewać. A kiedy będzie po wszystkim, ja przecież zniknę, wrócę bezpiecznie do mojego prawdziwego życia, a to wszystko stanie się tylko kolejnym niemiłym wspomnieniem z Thistle Grove, które przyczepi się do mojego umysłu jak rzep, a potem wyschnie i odpadnie.

Czemu więc na tę myśl nie czułam się lepiej, ale nieskończenie gorzej?

– Bardzo mi przykro, stary – Talia zwróciła się do Rowana. – Wiem, że byłam ci winna to wyzwanie. Gdybym tylko dotarła do niego szybciej...

Rowan pokręcił głową, chwycił ją za ramię i lekko potrząsnął.

– Nieee, zrobiłaś, co mogłaś... mnie to zajęło za dużo czasu. Gdyby udało mi się choć na chwilę unieruchomić Słonecznikową Stacy...

– Mieliście przynajmniej szansę zrobić cokolwiek – kwęknęłam. – Ja mogłam jedynie ogłosić, że Gareth został zwycięzcą. Bleh.

– Dobrze wiesz, że i tak nie miałaś najgorzej – zaprotestowała Linden. – Ja mogłam tylko obserwować z boku, jak ten... dzban wygrywa.

Na te słowa zapadła ciężka, grobowa cisza.

– I co teraz? – zapytała Talia po kilku minutach wspólnej udręki. – Nie możemy pozwolić, by to był koniec naszego paktu. Zwłaszcza że zgodziliśmy się już, że nie tylko o nas tu chodzi.

Pomyślałam o na wpół opustoszałym sadzie Thornów i o tym, jak tętnił życiem jeszcze cztery lata temu, kiedy ostatnio byłam tu z wizytą. I chociaż nie odwiedziłam Emporium Avramovów, byłam pewna, że gdybym zobaczyła to miejsce ciche i opustoszałe – w porównaniu do harmidru, który zapamiętałam z pełnej turystów Hyssop Street – byłoby to równie przygnębiające.

Talia miała rację. Chodziło o coś więcej niż trzy wzgardzone czarownice i ich rachunki do wyrównania. Może i tak to się zaczęło, ale sprawa zdecy-

dowanie się rozrosła; teraz chodziło o coś rozmiaru i kształtu samego Thistle Grove.

– Wiesz co – zastanawiała się Linden – może właśnie tak jest. Nie chodzi tylko o nas. Wszyscy dobrze wiemy, że Blackmoore'owie od zbyt dawna rządzą tym miastem. Może nadeszła pora, żebyśmy naprawdę wciągnęli w to starszych.

Talia uniosła głowę, zaintrygowana.

– Co masz na myśli, słońce?

– Że moglibyśmy im o wszystkim powiedzieć. – Linden nabrała rozpędu, a w jej głosie pojawiła się nuta podniecenia. – Co próbujemy zrobić i dlaczego to robimy. Ogólny zarys na pewno już znają, ale nie szczegóły. Możemy ich wprowadzić, poprosić o radę. Wiecie, że starsi uwielbiają odgrywać mądrale.

– Niezły pomysł – przyznała Talia, a jej twarz się rozświeciła. – Mogą znać jakieś stare triki, które nam nie przyszłyby nigdy do głowy. Usiądę z Eleną, zrobimy burzę mózgów. Ona tylko czeka, żeby dopiec Igraine.

– A ja pogadam z mamą. – Rowan zwrócił się do Lin, demonstracyjnie wzruszając ramionami, kiedy zmrużyła oczy ze złością. – No co, siostrzyczko, tak będzie najsensowniej. Dobrze wiesz, że jestem jej ulubionym dzieckiem.

Linden kręciła głowę.

– Rowan, nie jesteś jej ulubionym dzieckiem, coś ci się przyśniło.

– Ależ oczywiście, że tak. Ale to nic wielkiego. Ty możesz po prostu pogadać z tatą, i tak zawsze to robisz.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie z Talią, słysząc ich przekomarzanie. Sięgnęła pod blat, żeby spleść palce z moimi; moja skóra jakby obudziła się do życia pod jej dotykiem. Najwyraźniej ten nagły spadek nastroju nie był aż tak głęboki, by zasypać ogień, który wciąż między nami płonął.

– Cieszysz się teraz, że jesteś jedynaczką? – Kącik jej ust lekko się unióś. – Trudno mi sobie wyobrazić takie spokojne dorastanie. Nie musiałaś nawet konkurować o zasoby.

– Szczerze mówiąc, brak rodzeństwa niespecjalnie mi w tym przypadku pomoże – powiedziałam, starając się skupić na niej, a nie na tym, jak jej kciuk miękko muskał wnętrze mojego nadgarstka. – Nie będę o tym rozmawiać z rodzicami. Mój ojciec jest zbyt honorowy, by wziąć udział w czymś takim, nawet jeśli, technicznie rzecz biorąc, nie łamiemy żadnych zasad. A że rodzice zawsze są zgodni, nie ma nawet sensu próbować z mamą.

- W takim razie z kim porozmawiasz?
- Z babcią Caro – odparłam, lekko ściskając ją rękę. – To moja ulubiona krewna. I to ona była kiedyś arbitrką.

Kalendarz babci Caro był wypełniony jak u debutantki z *Bridgertonów*, co oznaczało, że od gali w *The Bitters* widziałam ją tylko raz, na brunchu. Nie brałam tego do siebie; babcia zawsze taka była. Bardzo kochała swoje wnuczki – była wytrawną powierniczką i godną zaufania przemytniczką przekąsek – ale też chroniła własną przestrzeń. Podejrzewałam, że to jest sposób na to, by jej życie należało tylko do niej, i zawsze szanowałam tę umiejętność pilnowania własnych granic.

Kiedy jednak zadzwoniłam poprosić ją o pomoc, w moim głosie musiało być coś szczególnego, jakiś wnuczkowy odpowiednik sygnału Batmana. Jeszcze tego samego dnia zaprosiła mnie na herbatę i empatię.

– Jak sobie radzisz, ptaszyno? – zapytała, przyglądając mi się uważnie, kiedy popijałam meksykańską gorącą czekoladę, a powinnam była zachować się mądrzej i odmówić, bo mimo śmiesznego upodobania Harlowów do napojów o odpowiednich temperaturach, te, które podawała babcia, pozostawały gorące jak oddech smoka, prawdopodobnie dlatego, że ona takie właśnie lubiła. – Wyglądasz dość mizernie – dodała, uśmiechając się na wypadek, gdybym się obraziła. – Płaszcz nie jest łatwym kompanem, ale z tego, co zauważyłam, twoja z nim przygoda jest wyjątkowo ekscytująca.

– Przyznaję, że zaczyna mnie męczyć. Czuję się jakby... postrzępiona. Wrażliwsza niż zazwyczaj, niemal przygnębiona. To dziwne, nie przypominam sama siebie.

– Dobrze wiem, o czym mówisz – pokiwała głową i pochyliła się nad stołem, żeby poklepać mnie w kolano. – Ja jestem uzależniona od adrenaliny, a i tak w pewnym momencie miałam dosyć. A był wtedy przy mnie twój dziadek i wspierał w trudnych chwilach. Ten człowiek przypominał skałę. Nic go nie ruszało.

Chociaż mój dziadek Sebastian nie urodził się w rodzinie Harlowów, to jego usposobienie zdawało się znacznie bliższe tego, co kojarzyło mi się z naszą rodziną: był skryty, samowystarczalny i gardził wszystkim, co uważał za niepotrzebny dramat. Ich romans był jednak legendarny, więc najwyraźniej cicha woda brzegi rwie. Albo może to była jedna z tych sytuacji, w których przeciwieństwa się przyciągnęły.

Z jakiejś przyczyny zaczęłam myśleć o Talii; o jej paradoksalnej naturze, którą próbowałam wciąż rozplątać jak węzeł gordyjski. Szalona dziewczyna, która warczała na dyniowe demony i rządziła w bitwie, piekła też babki, żeby pokazać najbliższym, że się o nich troszczy. Dziewczyna, która miała porozumienie z ciemnością, opiekowała się żyjącymi w niej duchami, roztaczając tak iskrzące światło, że nie dało się oderwać od niej wzroku.

– Powiedz mi, o czym myślisz – poprosiła babcia Caro, unosząc wypielęgnowaną brew. – Założę się o ostatniego dolara, że nie tylko płaszcz tak ci ciąży.

– Nie – przyznałam, ciężko wzdychając. – Jest... ktoś. To się dopiero zaczęło, ale cała moja sytuacja jest przez to... jeszcze bardziej skomplikowana.

– Ach – pokiwała głową i odstawiła kubek na blat. – To kolejna rzecz, o której nie mówią ci w kontekście płaszczka. Płaszcz pomaga rozjaśnić pewne sprawy, mocniej poczuć siebie. Czasem to bardzo ryzykowne. Na przykład wtedy, kiedy i tak jesteś już na rozdrożu.

Pokiwałam głową, drżąc lekko, ze ściśniętym gardłem, w którym czułam słony smak łez. Szukając spokoju, odetchnęłam i rozejrzałam się po eklektycznie urządzonym mieszkaniu babci. Kociołek wisiał w granitowym kominku, a jedna z ręcznie robionych przez moją matkę mioteł leżała na nadprożu i wyraźnie kontrastowała z nowoczesnymi meblami, obrazkami przedstawiającymi instalacje Yayoi Kusamy, które babcia najprawdopodobniej widziała na żywo, i spiralą tureckich mozaikowych lamp, które pewnie kupiła na prawdziwym souku. W odróżnieniu od większości członków założycielskich rodów, babcia co roku wyruszała w podróż – wybierała się na rejsy z przyjaciółmi, na samotne wyprawy samolotem i zasadniczo była tym typem osoby, która w każdej chwili może się znaleźć w balonie nad jakąś winnicą. Może i była wiedźmą z Thistle Grove, ale nigdy nie pozwoliła, by magia definiowała jej życie, zamykając na wszystko inne; to kolejna rzecz, którą w niej podziwiałam.

– Co się dzieje, ptaszyno? – zapytała łagodnie. Wstała z fotela i usiadła koło mnie na wysłużonej sofie w skandynawskim stylu. – Powiedziałaś, że potrzebujesz rady, ale nie wierzę, żeby to turniej doprowadzał cię do płaczu. Jesteś na to zbyt rozsądna. O co tak naprawdę chodzi?

– Masz rację... tak naprawdę nie chodzi o turniej. Ani nawet o tę osobę, o której wspomniałam. – Przyszłam tu, żeby zapytać ją, co możemy zrobić, żeby pokonać Garetha w ostatniej rundzie, ale nagle wydało mi się to kom-

pletnie nieistotne. I podczas gdy w dużej mierze chodziło o Talię (prawdopodobnie była ważniejsza, niż byłam gotowa przyznać), to reakcja łańcuchowa, dla której ona i płaszcz byli katalizatorami, miała więcej wspólnego ze mną samą. – Chodzi o mnie, babciu. To ja jestem problemem. Tak bardzo się napracowałam, żeby dotrzeć tu, gdzie doszłam, a teraz... jestem zagubiona. Jakbym niczego nie mogła już być pewna. Tego, kim jestem, tego, czego tak naprawdę chcę. Nawet tego, gdzie chcę być.

Opowiedziałam jej, jak zaczęłam chodzić w południe na długie spacer, żeby nacieszyć się jesienną pogodą; jak wchodziłam do znajomych atrakcji turystycznych na Yarrow Street, zamawiałam lunch w Golden's albo w nowym barze kanapkowym, który podaje znakomite falafele. Jak zagłębiałam do hipsterskiej kawiarni, gdzie zabrała mnie Talia, zwiedzałam nowe galerie, sklepy z biżuterią i butiki, które pojawiły się w mieście pod moją nieobecność. Zrobiłam sobie nawet samotny piknik nad Jeziorem Damy w świetle słońca tak czystym, że było dla mnie jak lekarstwo, i poszłam z książką i kubkiem gorącej czekolady na miejski cmentarz, żeby spędzić tam całe popołudnie, tak jak kiedyś.

Powoli, nawet z tym nie walcząc, znów poddawałam się zakłębieniu Thistle Grove.

Babcia słuchała mnie z otwartością i spokojem, tak samo, jak kiedy miałam dwanaście lat i popsułam w Woluminach jeden z artefaktów, którego w ogóle nie powinnam była ruszać. Wtedy jednak wkradła się ze mną do sklepu i naprawiła go prostym zakłębieniem, a całą sprawę do tej pory trzyma w sekrecie; tata do dziś o niczym się nie dowiedział.

Tym razem nie podejrzewałam, by zakłębienie mogło wystarczyć.

Znów poczułam napływające łzy. Ze złością wytarłam oczy.

– Jasna cholera, i jeszcze to! W życiu tyle nie płakałam, a teraz bez przerwy mi z oczu cieknie. Coś okropnego.

– Czasem po prostu łzy chcą się wydostać. – Znów pogłaskała mnie po kolanie i ścisnęła je lekko. – Pomyśl o tym jak o uwalnianiu nagromadzonej pary. To dobre dla rur.

Uśmiechnęłam się lekko przez łzy i wzięłam oddech. Kiedy znowu się odezwała, byłam odrobinę spokojniejsza; przynajmniej na tyle, by móc wyartykułować swoje myśli.

– Chodzi o to, że wydawało mi się, że wcale nie chcę tu wracać – powiedziałam, a ból w mojej piersi wskoczył na wyższy bieg. – Myślałam, że skończyłam z magią Thistle Grove, że mam dość tego, że można tu być

tylko tym, kim się urodziliśmy. Cieszy mnie, że w Chicago mam różne osiągnięcia – takie, które są interesujące, godne podziwu, istotne. Buduję tam sobie własne życie. Staję się kimś.

– Och, skarbie, zawsze byłaś kimś – powiedziała babcia z pełnym pragmatyzmem, sięgając dłonią ku moim włosom. – Wtedy też o to ci chodziło? Nie zrozum mnie źle, mnie też nigdy nie chciało się męczyć z burzą włosów. I ładnie ci w tej fryzurze. Ale zastanawiam się, czy tobie naprawdę podobają się takie krótkie.

Każdy inny człowiek zostałby skarcony za takie pytanie – „Ojej, nigdy nie tęsknisz za twoimi ślicznymi, długimi włosami?” – ale wiedziałam, dokąd babcia zmierza. Zagryzłam wargę; poczułam się przyłapaną na gorącym uczynku.

– Co masz na myśli?

Spojrzała na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Dziecko, przestań się wygłupiać”.

– Kiedy byłaś mała, dostawałaś ataku wściekłości, ledwie Cecily próbowała podciąć ci końcówki. A nawet kiedy byłaś starsza, przez większość czasu wyglądałaś, jakbyś była cosplayerką Roszpunkki. Najpierw widać było twoje włosy, a dopiero potem ciebie.

Czy chciałam wiedzieć, skąd moja babcia wie, czym jest cosplay i skąd zna nowe filmy Disneya? Prawdopodobnie nie.

– A potem wyjechałaś z miasta – ciągnęła – i obcięłaś je ot tak, bez wahania? To przecież deklaracja, Emmeline. Wyraz buntu. Albo może nawet jakaś pokuta, którą tylko ty potrafisz zrozumieć.

Siedziałam, rozpaczliwie zagubiona, zastanawiając się, czy to możliwe, bym nie zrozumiała własnych intencji. Czy moja fryzura była nie tylko celebracją nowej tożsamości, ale też jakąś dziwną karą? Za słabość, którą okazałam po Garetcie, za to, że wybrałam ucieczkę zamiast odbudowania samej siebie, za to, jak potraktowałam tych, których zostawiłam za sobą. Mogłam sobie w nieskończoność powtarzać, że byłam tylko dzieciakiem i starałam się, jak mogłam, i że nikogo nie chciałam zranić, i że nie widziałam, jak bardzo cierpią.

Ale może to nigdy nie wystarczało mojemu wewnętrznemu sędziemu i ławie przysięgłych zasiadającej w moim umyśle.

– Uwierz mi: rozumiem – ciągnęła. – Wiem, że to miejsce sprawia czasem, że wydaje ci się, że nic nie znaczysz, jeśli nie urodziłaś się z właści-

wym nazwiskiem. Jesteś do mnie podobna, ptaszyno. Żadna z nas nie chce małego życia.

– Ale tu i tak jest miło – przyznałam, zamykając oczy z ulgą, że wypowiedziałam na głos myśli, które tak długo trzymałam w sekrecie. – Tylko... zupełnie inaczej. Zapach magii, iskrzenie powietrza. Nocne niebo, jesienna pogoda, cała ta durna doskonałość. To miejsce w ogóle nie powinno istnieć, a jednak istnieje, jest prawdziwe, a ja nie dopuszczałam do siebie myśli, jak bardzo za nim tęsknię. I wciąż... – Wzięłam głęboki oddech, przygotowując się na najgorsze. – I wciąż czuję się tu jak w domu.

To wyznanie było apokaliptyczne, jakbym otworzyła puszkę Pandory zakopaną w piwnicy mojego serca razem z resztą zasuszonych, wyblakłych prawd, do których nie chciałam się przyznać. Jakbym już teraz, kiedy to powiedziałam, nie mogła się wycofać.

– I wciąż je kochasz – babcia dokończyła za mnie. – Kochasz Thistle Grove i kochasz magię – chociaż nam, Harlowom, się w tym kontekście nie poszczęściło. Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, taki już nasz los.

Uśmiechnęłam się lekko na te słowa.

– Ptaszyno, problem polega na tym, że od niemal dekady próbujesz od tego miejsca uciec – może nadszedł czas, byś przyznała, że to niemożliwe. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś wiedźmą z Thistle Grove i potomkinią rodu Harlowów. To miasto płynie w twojej krwi, nawet jeśli jeszcze nie do końca to rozumiesz.

– Ale ty wciąż podróżujesz – odparłam niemal oskarżycielsko. – Wciąż jeździsz w najróżniejsze miejsca.

– Ale wracam, ptaszyno – odpowiedziała z nieskończoną łagodnością. – Za każdym razem wracam. I nie chcę, żeby to się zmieniło.

Kiedy pokręciłam głową i odwróciłam wzrok, palcem chwyciła mnie pod brodę i zwróciła z powrotem ku sobie.

– Na tym właśnie polega los Harlowów, Emmy. To w Thistle Grove stajemy się tym, kim jesteśmy naprawdę. A to oznacza, że gdzie się nie zwrócisz, dokąd nie wyjedziesz, dokąd nie uciekniesz, to miejsce zawsze znów wezwie cię do siebie.



Moje potworne dziecko

Sypialnia Talii wyglądała zupełnie inaczej, niż się spodziewałam.

Dotarłam do The Bitters wóół do dwunastej na zaplanowany seans. Przez kilka ostatnich dni nie udało nam się zebrać żadnych praktycznych wskazówek od naszych rodzin. Thornowie postanowili w ogóle nie brać udziału w naszych planach, a kiedy uspokoilałm się na tyle, by opowiedzieć babci Caro o naszym pakcie, okazało się, że nie ma nam do zaoferowania żadnych czarodziejskich trików, a jedynie gorące poparcie; jej zdaniem Blackmoore'owie prosili się o to od bardzo, bardzo dawna.

Jeśli więc nie liczyć filozoficznych rozważań Eleny Avramov dotyczących istoty klątwy jako takiej – a na nie ani ja, ani Linden nie miałyśmy ochoty – starsi nic nam nie powiedzieli.

A wtedy Talię nasza nagła inspiracja: postanowiła wezwać na pomoc ducha Margarity Avramov.

– A najlepsze jest to, że to nie będzie oszustwo – powiedziała poprzedniego dnia, kiedy spotkałyśmy się, żeby przegadać sprawę w Angelina's Diner. Jej oczy były pełne tej zuchwałej gorliwości, która zaczęła mi się wydawać typowym dla niej stanem. – Nie będę jej pytać o to, co się wydarzy, bo to by była gafa, prawda? Po prostu uprzejmie poproszę o jej... refleksje i komentarze na temat turnieju. Pozostawię kwestię otwartą i niech Biała Dama pociągnie temat. Jest współautorką zasad, więc powinna chyba wiedzieć, co można, a czego nie.

– Ja się z tego wypisuję! – powiedziała Lin, uderzając dłońmi o blat. – Nie biorę w tym udziału. Nie mam najmniejszej ochoty poznawać żadnych przodków o pseudonimach takich jak „Biała Dama”.

Zastanawiałam się nad tym chwilę, krzyżując ramiona na piersi.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy łamały jakieś zasady turnieju – powiedziałam z ostrożnym zainteresowaniem. Wciąż byłam tak wstrząśnięta rozmową z babcią Caro, że nawet planowanie takiego dość ryzykownego przedsięwzięcia zdawało mi się miłą odmianą mentalnej scenerii. – Jak mówiałś, znajdziemy się w szarej strefie, ale zasięganie rad nie wydaje mi się zakazane. Jeśli będziemy ostrożnie dobierać słowa, wszystko powinno być OK.

Nie zamierzałam odmówić także dlatego, że musiałam się przyznać do osobistej fascynacji. Nigdy nie uczestniczyłam w prawdziwym seansie Avramovów – pozostawały one zamknięte dla wszystkich prócz członków klanu i tych, którzy gotowi byli słono zapłacić za ten przywilej. Kusząca wydała mi się również możliwość zobaczenia Talii w jej naturalnym środowisku, jak tamtej nocy w Puszczy Czarownic.

– Tak, do cholery! – syknęła Talia, uderzając pięścią w stół. – W takim razie ja i ty, Harlow. Będzie zajebiście.

Teraz, kiedy już tu się znalazłam, nie byłam nawet pewna, czego się po jej sypialni spodziewałam. Może makabrycznego szyku – czaszek, stopionych świec i flokowanej tapety, obowiązkowo czarno-czerwonej. Może ze dwóch węży. Tymczasem pokój Talii okazał się ładny i elegancki, pozbawiony gadów i pachnący jak destylat z jej perfum. Łóżko było ogromne – tego akurat się spodziewałam – leżała na nim masa poduszek i kołder, zaś aksamitny zagłówek z guzikami miał piękny, morski odcień. Z kasetonowego sufitu zwisał przepiękny żyrandol – wyglądał jak zdumiewająco skomplikowana wersja tych opraw oświetleniowych z Restoration Hardware, na które w życiu nie byłoby mnie stać.

Talia uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, jak odchylam głowę, żeby mu się przyjrzeć.

– Micah go dla mnie zrobił – powiedziała, mając na myśli młodszego brata. – I to bez użycia magii. Dzieciak ma sprawne dłonie.

Podeszłam, żeby przyjrzeć się jednej z poruszających akwareli, które wisiały na szarych ścianach. Na wszystkich znajdowały się nocne pejzaże, zachowujące delikatną równowagę między mrokiem i światłem; głęboki zmierzch przecinany marszczeniami zorzy polarnej lub połyskującymi plamami galaktyk przypominających kosmiczne skrzynie pełne skarbów. Każdy z obrazów był delikatnie nasycony czarami – na tyle, by gwiazdy mogły poruszać się hipnotycznie i powoli. Kiedy pochyliłam się, żeby się

bliżej przyjrzeć, zobaczyłam w rogu zapisane postrzępioną czcionką imię Talii.

– Ty je namalowałaś? – spytałam, zerkając przez ramię, zaskoczona. – Ile jeszcze masz ukrytych talentów?

– Staram się ujawniać je stopniowo, by uzyskać maksymalny efekt – powiedziała, opierając się o ścianę z jedną stopą uniesioną i uśmiechając lekko. – Ale to chyba dobry moment, by zdradzić, że potrafię też gwizdać jak jebany słowik.

– Widzisz, to jest po prostu nie fair – poskarżyłam się. – Nikt nie powinien umieć i piec, i malować, i gwizdać, nie wspominając o nekromancji. Naprawdę przedobrzyłaś.

– Cóż mogę powiedzieć? – Wskazała samą siebie. – Jestem niezwykle wszechstronna.

Cisza, która między nami zapadła, stała się szybko aksamitna i gęsta; obie byłyśmy wyraźnie świadome bliskości miękkiego łoża Talii. Albo przynajmniej jedna z nas była jej świadoma; obrazy z naszej przerwanej nocy wracały do mnie jak deszcz meteorów.

Talia przełknęła ślinę i odwróciła wzrok, lekko się uśmiechając.

– A propos nekromancji: już pora. Musimy nacisnąć spust siedem minut po północy.

– To... bardzo konkretne – powiedziałam, próbując skupić się na zadaniu. – Rozumiem północ, ale czemu siedem po?

– To już tajemnice zawodowe, Harlow. Wiesz, jak to jest. Mogłabym ci powiedzieć, ale wtedy... – złożyła dłonie w szpony i zaczęła udawać, że kopie w ziemi. – Strzygi.

Przewróciłam oczami i podeszłam za Talią do wiszącego na jednej ze ścian dużego, ozdobnego lustra które najwyraźniej nie stanowiło części jej wymarzonej dekoracji. Szkło było tak zaśniedziałe, że wydawało się zady-mione, a z obu stron złotej ramy wyrastały iglice. Była ona rzeźbiona w kwiaty i winorośl, a zza delikatnych lilii i liści wyglądały pyski wilków i wijące się węże.

– Czarodziejskie lustro Avramovów – powiedziała z dumą w głosie. – Wszyscy możemy go używać, ale to ja, jako dziedziczka, mam je przechowywać. Jest w naszej rodzinie od prawie pięciuset lat.

– Jasna cholera – zdziwiłam się. – Pół tysiąca lat. Nie sądzę, by ród Harlowów w ogóle istniał tak długo.

Usiadłyśmy przed lustrem ze skrzyżowanymi nogami, najpierw Talia, potem ja. U jego stóp urządzony został jakby ołtarzyk – ciężka, drewniana taca ze zbiorem różnych ciekawostek. Siedem czerwonych świec i rozrzucone kryształy: agaty koronkowe, białe kwarcy, ametysty. Zniszczony, srebrny samowar, dwie porcelanowe filiżanki tak cienkie, że wyglądały, jakby mogły pęknąć, gdyby zbyt mocno w nie odetchnąć. Kawałek tortu szwarcwaldzkiego z wiśniami i wiórkami czekoladowymi, a obok niego miska świeżo ściętych pąków ciemiernika.

– Nie widzę krwi skarabeusza – powiedziałam, sporządzając w myślach katalog przedmiotów i przypominając sobie, co Elena Avramov powiedziała do Igraine po pierwszym wyzwaniu.

Talia prychnęła:

– To była po prostu złośliwość. Żeby przywołać ducha, trzeba zebrać zapraszające go talizmany, rzeczy, które Margarita lubiła za życia. I talizmany wzmacniające, które pozwalają zarzucić sieć daleko za przesłonę.

– Super – wydyszałam, czując, jak przyspiesza mi puls. O rzucaniu takich właśnie zaklęć marzyłam, kiedy byłam młodsza: skomplikowanych, z którymi nie poradziłby się nikt z Harlowów. Mogłam wreszcie przyjrzeć się jednemu z nich z bliska.

– Czy powinnam coś jeszcze wiedzieć, zanim zaczniemy? – spytałam. – Jakieś kwestie protokolarne?

Na twarzy Talii, która już się jednak skupiała, błysnął uśmiech.

– Zobaczysz, to raczej organiczny flow. Pozwól mi mówić, a wszystko będzie dobrze.

Pstryknęła, a siedem świeczek się obudziło.

Wstrzymałam oddech, kiedy zaintonowała cichą pieśń, wykonując rękami zgrabne gesty, które widziałam już w Puszczy Czarownic – jakby plotła niewidzialny kosz dla kota szybciej, niż zdołałabym dostrzec. Jej oczy w świetle świec wyglądały nieziemsko, bezdenne i szare jak stal. Płomienie zarysowywały jej profil, jakby nakreślony jednym długim pociągnięciem, a ja nie byłam w stanie oderwać od niej wzroku.

Wtedy uniosła widelec z tacy i odkroiła kawałek ciasta. Najpierw poczęstowała mnie, a potem spróbowała go sama. Pewnie własnoręcznie je upiekła; magia była zawsze silniejsza, kiedy jej składniki przygotowywano samodzielnie. Jeśli faktycznie tak było, jej zdolności cukiernicze okazały się jeszcze większe, niż dała to po sobie poznać. Zamknęłam oczy, czując,

jak czekolada, wiśnia i śmietanka rozpływają mi się na języku, i miałam nadzieję, że zakłęcie wymaga, bym zjadła znacznie więcej.

Następnie wlała napój z samowara do filiżanek i podała mi jedną. Wzniosłyśmy toast uroczyście i bardzo ostrożnie, patrząc sobie w oczy. Kiedy Talia się napiła, zrobiłam to samo – ale zaraz splunęłam, kaszlnęłam i omal nie zwymiotowałam, czując w gardle gryzący smak bimbru subtelnie przyprawionego cyjankiem.

– To... to nie jest herbata – wykaszałam, zażawiona.

– Oczywiście, że nie. – Świece oświetlały kącki szerokiego uśmiechu Talii. – Nie da się przywołać Białej Damy herbatką. To ulubiony napój Margarity, miódówka. A ten samowar należał do niej.

Kryształy zaczęły rozbłyskać po kolei, jakby przebiegał przez nie prąd, a płomienie świec drżały jak na wietrze. Zadymiona powierzchnia lustra wyglądała jak zmacona woda, do której ktoś wlał atrament, a dziwne kształty przywodziły na myśl test Rorschacha.

Aż nagle wszystko znikło i w lustrze pojawił się duch zmarłej założycielki Thistle Grove, Margarity Avramov.

Jej czarne włosy unosiły się wokół jej głowy jak wodorosty wśród fal, a wielkie oczy zmieniały kolor – od lśniącej czerni, przez błękit i nadprzyrodzoną zieleń, aż po kocia żółć. Chociaż widziałam już jej portrety na dole, wydała mi się teraz bardziej podobna do Talii, choć nie w jakiś niesamowity sposób. Miały podobne kości policzkowe, włosy czarne jak niebo siedem minut po północy i zgrabną, długą szyję. A w wyrazie ich twarzy było coś podobnie wojowniczego.

Jej obraz migotał jakby w świetle stroboskopów, ukazując raz piękną zjawę, a raz coś znacznie gorszego. Czarne nici zdawały się raz na jakiś czas przecinać jej twarz i szyję; jak promieniste pęknięcie na lustrze albo żyły unoszące się na powierzchnię bladej skóry.

Jak powiedziałyby Lin, gdyby tu była, był to totalny hardkor.

Wszyscy, którym przywołanie Krwawej Mary zdawało się dobrą zabawą, oszaleliby na punkcie Białej Damy Avramov.

– A teraz czego chcesz, ty potworne dziecko? – spytała Talię założycielka. Domyśliłam się, że nie mówi po angielsku, ale zaklęte lustro dawało efekt wieży Babel – bez problemu rozumiałam każde słowo. Jej głos odbijał się echem, jakby mówiła ze studni, ale mimo tego zniekształcenia słychać w nim było czułość. – Przecież do twoich urodzin pozostał nie-

mal cały obrót księżyca. Mam nadzieję, że masz mi do powiedzenia coś naprawdę ciekawego, Natalio.

– Nie szukam dziś błogosławieństwa, lecz rady, Biała Damo – powiedziała uroczyście Talia, pochylając głowę. – Bardzo dziękuję, że odpowiedziałś na moje wezwanie.

Zerknęłam na nią kątem oka.

– Zaraz, zaraz, wy się już znacie? – wyszeptałam. – O tym nie wspominałaś.

– Dziedzice Avramovów spotykają się z Białą Damą co roku z okazji urodzin – wyszeptała. – To taka tradycja.

– Mhm – zerknęłam na ducha, której twarz raz była porcelanowo biała, raz popękana i czarna. – Uroczo.

Margarita Avramov zwróciła ku mnie głowę i zmrużyła oczy. W jej spojrzeniu było coś przerażającego, świadomość władzy i wielkości. Jakby mogła zgnieść mnie jedną myślą, nawet pozostając w tej niewyobrażalnej krainie, w której teraz mieszkała. Z trudem utrzymywałam z nią kontakt wzrokowy, walcząc z nagłą potrzebą ucieczki z piskiem.

Zamiast jednak zniszczyć mnie w ramach kaprysu, uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Och, śliczna mała Harlow przysłała mnie odwiedzić! – zawołała, przechylając głowę. – Cóż za przyjemność! Z tym szpiczastym podbródkiem wyglądasz jak Elias, nie sposób się pomylić. Mam nadzieję, że przekażesz mu wyrazy szacunku. Za życia był strasznym nudziarzem, ale to miasto bez jego pracy byłoby niczym.

Wymieniłyśmy z Talią zaskoczone spojrzenia. Nie miałam pojęcia, o czym mówi Margarita. Talia najwyraźniej też nie.

– Ja... na pewno zapalę dla niego świecę w Samhain, fundatorko Avramov – odparłam. Przez chwilę nie odrywała ode mnie zmrużonych oczu, więc poprawiłam się szybko – To znaczy... Biała Damo.

Udobruchana, pokiwała głową, po czym znów przeniosła spojrzenie na Talię.

– Droga Natalio, wiesz, że szybko tracę cierpliwość – powiedziała ostro. – Mów, co masz powiedzieć, zanim stracę ją do reszty.

– Czeka nas ostatnie wyzwanie turnieju – powiedziała Talia. – I chociaż niestety dziedzic Blackmoore'ów jest dość... potężny, rody Avramovów i Thornów porozumiały się, by wspólnie go pokonać, i wciąż mamy szansę.

Miałyśmy nadzieję, że podzielisz się z nami swoją mądrością i coś nam poradzisz.

– Rozumiem – powiedziała Margarita, a jej oczy rozbłysły świeżym zainteresowaniem. – Niespodziewane porozumienie, cóż za przedsiębiorczość. A teraz testujecie zasady turnieju, sprawdzacie, czy są jakieś nieścisłości, które mogłybyście wykorzystać na waszą korzyść.

– Tak, coś w tym stylu – przyznała Talia, przechylając głowę niespeszona.

– Chociaż doceniam waszą inicjatywę, obawiam się, że nasza czwórka przysięgła, że nie będzie się wtrącać, „kiedy zrzucimy z siebie więzy ciała”³ – westchnęła z lekkim smutkiem. – Gdyby chodziło tylko o mnie i Caelię, być może byłybyśmy bardziej... elastyczne, by tak rzec. Ale Alastair i Elias... no cóż. Zawsze nalegają, by zachować równowagę.

Złożyła blade wargi w dzióbek, jakby udręczona.

– Bidulki, tak się przejmują sprawiedliwością. Co za nuda. Nic dziwnego, że ja umarłam ostatnia; nie zdziwiłabym się, gdyby tych dwóch zabiło przerażające nudziarstwo ich uczciwości.

Omam nie wybuchłam śmiechem, ale przyszło mi do głowy, że mogłaby to uznać za brak szacunku. A naprawdę nie miałam ochoty wkurzyć Białej Damy.

– Ale przecież Blackmoore’owie zwyciężają od wieków... to nie jest fair. I czy naprawdę udzielanie rad można uznać za „wtrącanie się”? – naciskała Talia. – Prosiłiśmy już o pomoc naszych żyjących krewnych. Czemu nie możemy poprosić i ciebie?

– Masz dużo racji, Natalio – przyznała Margarita, a w jej oczach rozbłysło zielone światło aprobaty. – Może sobie jednak zerknę – oczywiście dla mojej własnej korzyści, co jest przecież całkowicie dozwolone...

Jej wielkie oczy popatrzyły w dal i zasnuły się jakby cienką warstwą lodu. Potem uniosła brwi, a na jej nieziemskiej twarzy pojawiło się szczere zaskoczenie.

– Och, to naprawdę interesujące! – powiedziała, bardziej do siebie niż do nas. – Oboje! Nie pomyślałabym, że to się uda, a jednak...

Szron zniknął, a ona znów skupiła wzrok na nas, uśmiechając się przebiegle. – Jednak wcale nie potrzebujesz mojej pomocy, Natalio – powiedziała. – Już wszystko obmyślaś, moje mądre dziecko. Po prostu przyjdzie naprzód wspólnie, jak zaczęliście.

Klasnęła w dłonie i splotła palce, kiwając znacząco głową. Jej oczy roz-
błysły psotnie, dzięki czemu jeszcze bardziej przypominała Talię.

– Tymczasem żegnaj, moja potworna dziewczynko – powiedziała, a jej
uśmiech obnażył nagle niepokojąco dużo ostrych zębów. – I, bardzo cię
proszę, poślij tych łotrów Blackmoore'ów do diabła.



Jak ocean pełen gwiazd, jak obce niebo

Usiadłyśmy z Talią na parapecie przy szeroko otwartym oknie, wciąż podniecone intensywnym przypiływem endorfin, jaki pozostawiła po sobie nekromancja. Przywykłam też do smaku miodówki, kiedy zaczęłyśmy podawać sobie samowar z rąk do rąk i popijać z niego te płynne błyskawice jak z piersiówki.

Teraz, kiedy poznałam już Margaritę „na nieżywo”, wydało mi się całkiem prawdopodobne, że spodobałaby się jej ta zmiana przeznaczenia napoju.

– No dobra, to... dziwne – zwróciłam się do Talii, uderzając głową o ścianę i czując, że świat wiruje wokół mnie i pozostawia za sobą połyskujące ślady psychodelicznych smug. – Dziwne, ale też... przyjemne?

– Po prostu daj się ponieść – poradziła Talia, uśmiechając się leniwie do sufitu. – Będziesz się tak czuła jakiś czas. Ale jeśli przestaniesz z tym walczyć, powrót będzie mniej bolał.

Wzięłam głęboki oddech i pozwoliłam sobie głębiej zatonać w odczuciu przepływu.

– OK, rozumiem.

– To co o niej myślisz? O Jej Straszności Białej Damie?

Parsknęłam śmiechem.

– Okazała się niezwykle czarująca. To znaczy, oczywiście, przerażająca również. Ale w bardzo pociągający sposób.

– Mogłaś jej to powiedzieć. Spodobałby się jej taki komplement.

– Wolałam nie ryzykować. – Aż zadrzałam na samą myśl. – Wyglądała też jak ktoś, kto byłby mnie gotów zniszczyć, gdybym tylko powiedziała

coś nie tak.

– Chociaż najwyraźniej uwielbia Harlowów – zwróciła uwagę Talia. – Bez urazy, ale nieco mnie to zaskoczyło.

– Nie obrażam się. – Wyjrzałam przez okno na rosnący księżyc zawieszony nad Puszcza Czarownic, tak pełny i bliski, że wyglądał, jakby można było po niego sięgnąć i schować sobie do kieszeni. – Sama nie wiem, o co chodziło. Między Avramovami i Harlowami nie było przecież żadnej wieloletniej przyjaźni ani nic w tym stylu.

– A jak zrozumiałaś to, co powiedziała na końcu? – Talia splótła palce z przesadną doniosłością. – Całe to puszczenie oka i mówienie o „wspólnocie”. W zasadzie bawiła się z nami w szarady.

Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie tajemnicze spojrzenie założycielki, jej splecione palce. Słowa „przyjcie naprzód wspólnie” zapętlily się w moim umyśle.

Nagle, w przyjemnej, swobodnej atmosferze, w pozostałej po seansie poświęceniu przyszło mi do głowy pozornie niezwiązane wspomnienie – dłoni Talii muskającej zasadzone przez moją mamę pierwiosnki i to, jak się od niej odsunęły. A potem słowa wyjaśnienia Talii: „Dla Avramovów są jak klątwa. A przynajmniej tak twierdzi Linden, a ona się na tym zna”.

– Wiesz co – powiedziałam powoli, nie przestając się zastanawiać; mój umysł przeskakiwał z miejsca na miejsce jak ropucha z jednego liścia lilii na drugi. – Nie jestem pewna, czy o to jej chodziło, ale... przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Oooo. – Talia uniosła brew i pochyliła się nade mną. – Mów, proszę.

– Czary Thornów i Avramovów są fundamentalnie niekompatybilne, prawda? Ich magia jest zielona, pełna życia i światła; wy rzucacie zaklęcia nekromancji, igracie ze śmiercią. Jesteście dla siebie nawzajem jak... klątwa. Mówiłaś mi o tym w ogrodzie mojej mamy, kiedy tłumaczyłaś, że animowane rośliny źle reagują na twoją obecność.

Talia powoli pokiwała głową, zerkając gdzieś ponad moje ramię, kiedy próbowała to jakoś ogarnąć.

– OK, na razie rozumiem.

– No to co by było, gdybyście połączyli z Rowanem wasze czary, spletli je ze sobą? – ciągnęłam, rumieniąc się, nagle podniecona, kiedy wizja w moim umyśle zyskała pełnię i jasność. – Wydaje mi się, że wtedy zniszczylibyście je nawzajem, tworząc coś w stylu... pola unieważniającego.

Gdyby więc Gareth zaczął zbytnio się do was zbliżać, moglibyście... uwięzić go, nie pozwolić mu iść dalej naprzód.

– Jakbyśmy tworzyli antymaterię. – Talia wstrzymała oddech, a jej oczy rozbłysły, pełne uznania i znajomej dzikości. – Albo antymagię. To genialne, Harlow. Oczywiście to też durne i kurewsko niebezpieczne; pomyśl tylko o jak niestabilnym medium w ogóle mówimy! Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek zrobił dotąd coś podobnego. Ale to też... no właśnie, genialne.

– Serio, wydaje mi się, że to może zadziałać, jeśli oboje wejdziecie w temat – powiedziałam, wciąż ucieszona komplementem. – Wiem, że to ryzykowne przedsięwzięcie i że wiele od was wymaga. Ale na tym etapie wszystko albo nic, prawda?

– Teraz, kiedy już to wymyśliłaś, spróbujemy na pewno – nieważne, jak duże jest ryzyko. Postaram się przekonać Rowana, ale biorąc pod uwagę, jak Gareth nas ostatnio upokorzył, nie sądzę, by miał coś przeciwko. – Uniosła samowar w ramach toastu, napiła się i podała mi go. – Na zdrowie, Harlow. Jeszcze mamy szansę zwyciężyć.

Uniosłam samowar i wzniosłam toast. Niemal zakręciło mi się w głowie od całej tej nowej nadziei. Potem chwilę siedziałyśmy w milczeniu, obie pogrążone w myślach, pośród wzbierającej wokół ciemności. Absolutną ciszę The Bitters przerywały tylko ciche krzyki nocnych ptaków i piski śmiałych nietoperzy, krążących wokół licznych wież i wieżyczek posiadłości.

Talia odwróciła się od okna i spojrzała na mnie jak w jakimś cudownym harlequinie. Połowa jej twarzy pozostawała w cieniu, drugą oświetlał księżyc, rzeźbiąc każdy jej rys jak kameę. Jej blade oczy błyszczały jak w piosenkach Billie Eilish; jak ocean w świetle gwiazd albo niebo nad jakimś zamarzniętym, obcym światem, znacznie zimniejszym od naszego, ale może jeszcze ładniejszym.

– Pachnie deszczem – powiedziała, przechylając skroń ku szybie.

– Zaraz będzie padać – odpowiedziałam bez zastanowienia. – Na Hallows Hill już pada.

Przechyliła głowę i spojrzała na mnie pytająco.

– A ty skąd wiesz?

Zmarszczyłam czoło, zastanawiając się, skąd właściwie wiem. Nie tyle zresztą wiedziałam, ile czułam przy minimalnym wysiłku; powierzchnia Lady's Lake drżała z każdą uderzającą o nią kroplą, igły i liście drzew

wokół trzepotały na wietrze, ich gałęzie trzęsły się pośród zimnej ulewy, gleba stała się lepka i wilgotna. Co jeszcze bardziej zaskakujące, w tym cielesnym wrażeniu nie było nic dziwnego czy nie na miejscu; było to jakby naturalne przedłużenie moich zmysłów, równie zwyczajne jak odczuwanie wilgoci skóry i włosów zmokłych podczas ulewy.

– To chyba pozostałość magii płaszcza – powiedziałam, uwalniając uczucie. Zbladło bez wysiłku, tak jak się pojawiło.

– To dość dziwne, Emmy – odparła Talia śpiewnie, świadomie przedłużając sylaby.

– Zdecydowanie dziwne, Talio – zanuciłam w odpowiedzi. Serce mocniej zabiło mi w piersi, gdy ponownie wypowiedziała moje imię.

Oto i znów zaczęłyśmy krążyć wokół siebie. I chociaż cierpiał na tym kruchy spokój mojego umysłu, chociaż czułam tylko większą konfuzję, nie byłam sobie nawet w stanie wyobrazić lepszego miejsca niż tu i teraz, obok niej.

– Emmy – powtórzyła, wierząc się lekko i nie odrywając ode mnie wzroku. – Pięknie wyglądasz w świetle księżyca, Emmy Harlow.

– Tylko w twoich ustach taki sentymentalny tekst – powiedziałam, udając, że chwilę wcześniej sama nie miałam ochoty powiedzieć czegoś podobnego – brzmi jak najlepszy podryw świata.

– To dlatego, że mówię całkiem szczerze.

Pochyliła się naprzód, skupiona. Delikatnie dotknęła mojej twarzy. Opuszkami palców muskała najpierw łuki moich brwi i przestrzeń między oczami; potem długi nos, rynienkę i łuk kupidyna. A potem, wreszcie, moje usta; palcami chwyciła mnie pod brodą, kciukiem pocierała dolną wargę.

– Emmeline Harlow – powiedziała, wpatrując się we mnie intensywnie – jesteś tak zajebiście piękna, że aż mnie to boli.

– Ty również, Natalio Avramov – odparłam z lekkim westchnieniem, pochylając głowę, by chwycić jej kciuk w usta.

Wzięła świszczący wdech, jej powieki opadły ciężko.

– Emmy – powtórzyła tym chrapliwym szeptem, który tak bardzo lubiłam, twardym jak cukierek i równie słodkim.

Dalej sprawy potoczyły się szybko, nastąpiła kaskada zdarzeń, za którymi nie nadążałam, chociaż byłam ich dość integralną częścią.

Nagle stałyśmy przy oknie splątane ze sobą i zdejmowałyśmy sobie nawzajem koszulki przez głowę. Czułam, jak rozpala mnie dotykiem, jakby pozostawiała na mojej skórze świetliste ślady niczym neonowa farba.

Razem, potykając się, w niezdarnym tańcu dotarliśmy do łóżka, po drodze zdejmując buty i spodnie, całując się tak, jakbyśmy chciały połączyć się nawzajem w całości.

Od czasu do czasu wycofywałyśmy się na chwilę, wciąż trzymając się za włosy, i patrzyłyśmy, zachwycaliśmy się, uśmiechałyśmy się do siebie, szczęśliwe, że to się naprawdę wreszcie dzieje.

– Rany, mam ochotę cię zjeść – wyszeptałam w zgięcie jej szyi i przeciągnęłam dłońmi po jej kręgosłupie ku wcięciu w tali.

– To na co czekasz? – wyszeptała prosto w moje włosy, głosem, w którym słychać było uśmiech.

Kiedy obie upadłyśmy na łóżko, pościel Talii okazała się tak miękka, jak się spodziewałam – choć ta miękkość była niczym w porównaniu z jej skórą.

Wyznaczałam jej gładkie kontury rękami i ustami, kładłam wargi na podeszwach jej stóp, na kostkach, na miękkim zagłębieniu kolana, aż po jedwabistość wewnętrznej strony ud. Lekko ją kąsałam, a potem gryzłam mocniej, zanurzałam w jej ciele zęby dość głęboko, by zaczęła wydawać z siebie jęki, które chciałam usłyszeć od tak dawna.

I nagle leżała już na mnie, wszędzie wokół nas wisiały jej pachnące włosy, chwyciła moją twarz w obie dłonie i pocałowała mnie mocno i namiętnie.

– Emmy Harlow – wyszeptała mi prosto w usta. – Chcę zrobić dla ciebie wszystko.

I wtedy jej usta zapłonęły na mojej szyi i piersiach, a kiedy wkładała moje sutki do ust, wydierała mi z gardła jęk. Wymalowała na moim brzuchu płonący szlak, kreśliła kręgi wokół moich bioder językiem i wargami, gryzła cienką, napiętą skórę. Drżałam jedynie bezradnie, zmieciona falą doznań, aż tylko tyle byłam w stanie zrobić, nie błagając o więcej.

– Powiedz to, Emmy – zażądała pomiędzy pocałunkami niskim, ochrypłym głosem, jakby dobrze wiedziała, że doprowadza mnie do szaleństwa. – Poproś o to.

– Proszę – powiedziałam, kiedy wydało mi się, że zaraz imploduję pod ciężarem niewypowiedzianego pragnienia. – Talio, po prostu... proszę.

I wtedy jej usta znalazły się między moimi nogami; jej włosy ślizgały się po moich udach, a ja cała wyszłam jej na spotkanie.

Wygięłam plecy w łuk, nie przejmując się dźwiękiem, jaki wydawałam, a gdy zamknęłam oczy, pod powiekami rozbłysły mi gwiazdy. Wypowie-

działałam jej imię tyle razy, że straciłam rachubę.

Talio, Talio, proszę cię, Talio.

A wtedy zaczęło padać, jak zapowiedziałam.

Pierwszym kroplom deszczu towarzyszył miękki, wszechobecny szum, rogoże ocierały się o siebie z szelestem; potem zaczęła się głośna ulewa, jakby kamienie uderzały o dach ponad naszymi głowami. Zapach deszczu i porywistego wiatru wypełnił pokój, ale my znajdowałyśmy się głęboko w piekle i chłód był dla nas jak balsam. Razem byłyśmy czystym płomieniem, narastającym pożarem bez granic. Splatając usta i dłonie, raz po raz doprowadzałyśmy się nawzajem do szaleństwa.

Ten ogień był obłędem, którego nie da się ugasić.



Tylko to potrafisz

– Właśnie sobie przypomniałam – powiedziałam, leniwie przesuwając palcami po plecach Talii. Leżała na mojej piersi jak na poduszce, opierałam brodę o szczyt jej głowy, która unosiła się i opadała z każdym moim oddechem. – Wciąż mi nie powiedziałaś, czemu nie masz żadnych tatuaży.

– Serio, Emmy? – Jej śmiech rozbrzmiał na mojej piersi. – O tym chcesz teraz rozmawiać?

– Zrób mi tę przyjemność. – Tak miło było słyszeć swoje imię w jej ustach, nawet teraz, kiedy nie wypowiadała go pod wpływem chwili. Czulałam się, jakbym odniosła jakiś sukces, zdobyła coś cennego, co wolno mi będzie zachować. – Wydaje mi się, że chciałabym się tego dowiedzieć.

Westchnęła i zrobiła dzióbek, palcami malując runy na dole mojego brzucha.

– Będziesz się ze mnie śmiała.

– Po tych sześćdziesięciu pięciu tysiącach orgazmów? W życiu. Nie mam siły na pyskowanie.

– Skoro tak twierdzisz... – roześmiała się cicho, a potem usłyszałam, jak przełyka ślinę w ciemności. – No dobra, chyba należy ci się odpowiedź. Chodzi o to, że chcę poczekać na wspólne tatuaże. Takie, które zrobiłabym z partnerką. Tak, żebyśmy miały... coś nieścieralnego, co ma szczególne znaczenie. Coś, czego nie zrobiłam nigdy wcześniej sama.

– Zaraz, zaraz – powiedziałam, zagryzając policzek od wewnątrz, żeby się nie roześmiać. – Chcesz być atramentową dziewicą, bo czekasz na swój pierwszy raz z tą wyjątkową osobą?

– Och, spierdalaj – powiedziała, odsuwając się ode mnie, jakby zamierzała wstać. Przyciągnęłam ją mocno do siebie, a ona mimowolnie się roze-

śmiała.

– Czekaj, czekaj, staram się po prostu zrozumieć implikacje tego stanu rzeczy. Czy to czyni ze mnie atramentową dziwkę? Rozwiązła pod względem skórnym?

– Obiecałaś, że nie będziesz się nabijać!

– To było zanim dowiedziałam się, że w głębi serca jesteś taką romantyczką – zażartowałam, przyciągając ją do siebie, aż jej głowa wylądowała obok mnie na poduszce i zetknęłyśmy się nosami. – To zmienia postać rzeczy.

– Nie ukrywam tego jakoś szczególnie – zaczęła, a ostrożność, którą wyczułam w jej głosie, wypowiedziała mi, że teraz rozmawiamy poważnie.

– Masz z tym problem?

– Oczywiście, że nie – powiedziałam, muskając jej nos. – Czemu miałabym mieć?

– Bo inni mieli.

Wycofałam się lekko, na tyle, by dojrzeć w ciemności wilgotne lśnienie jej oczu.

– Co masz na myśli? – spytałam ostrożnie. – Naprawdę nie robię sobie teraz jaj. Jestem po prostu ciekawa. Jeśli, oczywiście, chcesz mi o tym powiedzieć.

Zawahała się. Oparła policzek o dłoń jak mała dziewczynka.

– Naprawdę nie chciałabym tego spieprzyć rozmowami o byłych.

– Nie spieprzysz – zapewniłam ją. – Nie bywam zazdrosna o ludzi, którzy byli przede mną. Nie musisz się o to martwić.

– No dobra, skoro jesteś pewna. – Wzięła głęboki oddech, jakby przygotowywała się na to, co chce powiedzieć. – Miała na imię Jess, zresztą to już wiesz. Studiowała na akademii teatralnej w Chicago. Stamtąd pochodzi.

– Och – odparłam nieco zaskoczona. – Nie wiem, czemu, ale założyłam, że była stąd.

– Nie, tylko tędy przejeżdżała. Zrobiła sobie chwilę wolnego od magisterki, żeby trochę zarobić, i postanowiła popracować w Camelocie. Podobno stać ich na bardzo dobre pensje dla cosplayerów, Jess zatrudniła się więc na sezon jako Nimue w jednym z sentymentalnych musicali granych w Avalonie.

Avalon był elegancką restauracją umieszczoną na sztucznej wyspie pośrodku stawu przylegającego do fosy zamku Camelot – stanowiło to kolejny absurdalny element imperium Blackmoore'ów. Udział Jessiki

w tym przedsięwzięciu wydawał się durnym powodem, żeby z miejsca ją znienawidzić, ale jakoś tak się stało. Od razu doszłam do wniosku, że jej nie znoszę, ale powiedziałam tylko:

– Dziewczyna spotyka czarownicę, stara historia. No i co było dalej?

– Szybko zrobiło się poważnie. Powiedziałam jej, że jestem czarownicą, poznała całą moją rodzinę, wzięła nawet udział w kilku sabatach. I naprawdę zdawała się dobrze to wszystko przyjmować, jak na kogoś, kto nie znał tego z domu. – Uśmiechnęła się lekko, wierząc się na poduszce. – Akurat to... to było bardzo miłe.

Mimo moich zapewnień, echo czułości w jej głosie zakłuło mnie lekko. Byłam jednak tylko człowiekiem i nie miałam szczególnej ochoty słuchać o tym, jak fantastyczna była Jessica.

– Potem jednak zaczęła rozumieć – ciągnęła – co to naprawdę znaczy. Co to znaczy związać się z kimś takim jak ja, z osobą tak zakorzenioną w tym mieście. A ja postawiłam sprawę jasno: myślałam o niej poważnie. Jess chciała podróżować, eksplorować... no wiesz, była globtroterką, kręciły ją powitania słońca na szczytach gór. Wiesz: #podróżniczka, #travel-junkie, te sprawy.

– A ty nie chciałaś jeździć razem z nią – powiedziałam cicho.

– Nawet nie chodzi o to, że nie chciałam: nie mogłam – odpowiedziała, ciut defensywnie. – Jestem dziedziczką Avramovów, czarownicą z Thistle Grove. Nie mogę po prostu wyjechać. No i wiesz, co sędzę o przebywaniu z dala od domu.

– Wiem – odparłam wymijająco, przypominając sobie własne osłupienie, kiedy powiedziała, że nie ma ochoty nawet odwiedzić Chicago.

Drżąc, wypuściła powietrze z płuc.

– Strasznie ją to frustrowało. Na tym etapie zdążyła już poznać resztę mojej rodziny. Jej zdaniem Avramovowie byli z założenia problematyczni – a to dość kiepski fundament długotrwałego partnerstwa. Skoro miała poświęcić dla mnie świat, uznała, że naprawdę powinnam być tego warta.

Gorycz w jej głosie sprawiła, że zrobiło mi się jej żal, chociaż musiałam przyznać, że rozumiałam też uczucia Jess. Związek z Talią był onieśmielającą perspektywą, gdy spojrzeć na nią tylko powierzchownie – piękno, zuchwałość i dzikie czary tworzyły kuszącą, ale nieposłuszną całość. Nie wspominając już o wątpliwej magii (i moralności) jej rodziny, a przede wszystkim – o ich podkreślaniu indywidualnej wolności.

Choć jednak ktoś, kto naprawdę ją kochał, powinien wejrzeć poza te pułapki, w jej czułe wnętrze.

– Koniec końców uznała, że to gra niewarta świeczki – zakończyła chłodno Talia. – Wraz z końcem sezonu letniego skończył się też nasz związek. Zerwała ze mną tuż przed wyjazdem. A potem to już tylko złamane serce, rozczarowanie, rozpacz, te sprawy.

– Przykro mi – powiedziałam, opierając czoło o jej czoło. – To musiało być dla ciebie bardzo trudne. A potem jeszcze to szambo z Garethem? Trudno mi sobie to nawet wyobrazić.

– Było to piekło, nie powiem – zgodziła się, ale potem jej twarz nieco się rozluźniła. – Możesz się więc domyślić, czemu z tobą musiałam przynajmniej udawać powściągliwość.

– Ja tam się cieszę, że przestałyśmy udawać – powiedziałam, cmokając ją w czoło.

– Przestałyśmy? – spytała, a w jej głosie znów pojawiła się niepewność. – Bo... co teraz?

– Co masz na myśli? – spytałam. Omal się nie skrzywiłam, ledwie wypowiedziałam te słowa, które brzmiały, jakbym celowo udawała idiotkę.

– Dobrze wiesz, Emmy – odparła z nutą niecierpliwości. Usiadła, przyciągnęła kolana do piersi i oparła na nich głowę. – Zostało jeszcze tylko jedno wyzwanie. Co z nami będzie, kiedy turniej dobiegnie końca? Nie-możliwe, żebym tylko ja bała się, że to, cokolwiek to jest, ma wbudowaną datę ważności.

– Nie – podniosłam się i oparłam – oczywiście, że masz rację. Oczywiście, że o tym myślałam. Kiedy turniej dobiegnie końca, muszę wracać do domu, do pracy. Obie wiemy o tym od początku.

– Może i tak. – Oblizwała wargi, szukając mojego spojrzenia. – Ale... trochę miałam nadzieję, że może... zmienisz zdanie, zostaniesz tu nieco dłużej. Przedłużysz swój urlop, popracujesz zdalnie albo coś w tym stylu.

– Nie mogę tak po prostu tego zrobić – powiedziałam ostrzej, niż zamierałam, bo oto znalazłyśmy się dokładnie w tym punkcie, przed którym ostrzegła mnie Linden. – Prawdziwe życie tak nie wygląda. Ani prawdziwa praca.

– Czemu nie? Z tego, co rozumiałam, sporą część obowiązków, które wykonujesz, mogłabyś robić stąd.

– A czemu to ja miałabym wykazywać się taką elastycznością? – zaprotestowałam. – Gdybyśmy naprawdę chciały spróbować, mogłybyśmy...

jakoś się podzielić, spróbować związku na odległość. Chicago to przecież nie księżyc. Nie ma żadnego sensownego powodu, żebyś tam czasem nie przyjechała.

– Żadnego sensownego powodu. – Wzdrygnęła się i otworzyła usta, jakbym dała jej w twarz. – Ja pierdolę, nie wierzę. To jakiś dzień świstaka, Jess też tak mówiła. Wiedziałam, wiedziałam, że znów będzie to samo.

Poczułam, jak narasta we mnie znajoma panika, że jestem odpowiedzialna za jej rozpacz, że całe to nagłe, gwałtowne przyspieszenie jest tylko moją winą.

– Wiedziałaś? – odparłam, odsuwając się. Postępujący zimny front здаwał się wypełniać przestrzeń między nami. – To dlaczego w ogóle na to wszystko pozwoliłaś? Nie zaczęłam tego sama.

– Pozwoliłam na to, bo naprawdę cię lubię, Emmy! – wybuchła, wymachując rękoma. – A poczułabym znacznie więcej, gdybyś tylko dała nam szansę.

– A jakim cudem miałyby się to udać – westchnęłam, czując się nagle ciężko i bezradnie – kiedy ty zachowujesz się jak jakaś księżniczka obciążona klątwą, która nie pozwala jej odjechać na kilometr od tego cholernego miasta?

– Och, czyli to ja jestem nierozsądna? – Zeskoczyła z łóżka, owinięta pościelą. Błysk jej oczu w ciemności zdradzał nieugiętość. – A ty? Wszyscy widzą, że ci się tu podoba, że tylko marzysz o tym, żeby tu zostać. Ale nie chcesz się do tego przyznać. Dlaczego? Tylko dlatego, że dziesięć lat temu jakiś kretyń złamał ci serce i uznałaś, że jeśli tu zostaniesz, będziesz nikim. Nie wpadłaś na to, że przyszła już pora, żeby zacząć podejmować decyzje dla siebie samej?

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. – Ja też zerwałam się z łóżka i zaczęłam zbierać swoje ubrania z podłogi. Kipiałam gniewem, a brzuch aż mnie bolał na myśl o tym, jak szybko ta krucha wata cukrowa między nami się rozpuszcza, jak niszczy ją z każdą kolejną chwilą, jakbyśmy oblewały ją kwasem.

– Czy może planowałaś spędzić całe swoje życie, uciekając przed tym miejscem? – naciskała Talia – i pozwalając, by nastoletni dupek Gareth dyktował ci, jak masz żyć?

– Nic takiego nie robi – wycodziłam przez zaciśnięte zęby, powstrzymując łzy. – Wręcz przeciwnie. Sama wybieram swoją drogę.

– Doprawdy? – Talia skrzyżowała ramiona na piersi. Wydawała się równie nieszczęśliwa i złamana jak ja. – Bo ta cała pogoń za zmianą, w którą się rzuciłaś, kiedy stąd wyjechałaś... czasem ucieczka to tylko chowanie głowy w piasek. Albo ukrywanie się przed tym, czego naprawdę chcesz, ale nie wierzysz, że możesz mieć.

– Wiesz co, naprawdę nie mam na to teraz siły, Talio – powiedziałam zmęczonym głosem, zakładając buty. – Jestem wykończona. Po prostu... muszę już iść.

– Oczywiście, że musisz – odparła wściekle, chociaż dojrzałam charakterystyczny połysk srebrnych łez na jej policzkach. – Czy Emmy Harlow ma do zaoferowania cokolwiek innego?

– A to co ma, kurwa, znaczyć? – warknęłam, już w połowie drogi do drzwi.

– A jak sądzisz? – Nawet w ciemności dostrzegałam na jej twarzy ból. – Potrafisz tylko uciekać.



Gdy nawet magia nie pomaga

– Nie pomyślałaś może, że ma trochę racji? – spytała Linden, odkładając pałeczki.

Spojrzałam na nią zza stosu pudełek po chińszczyźnie z Pearl Dragon, które zaśmiecały stół między nami. Większość pożarłam sama, próbując zająć wszystkie sprzeczne uczucia. Przyszedłam do Linden, żeby wtajemniczyć ją w nasze zamiary dotyczące kolejnego wyzwania; chociaż sprawy między mną a Talią znalazły się w tak skrajnym nieładzie, zakładałam, że żadna z nas nie zamierza zrezygnować z paktu.

To omówiliśmy szybko, a kiedy Lin zauważyła, w jakim jestem stanie, dalszą część wieczoru wypełnił płacz, wino i epickie obżarstwo.

– W czym konkretnie? – zapytałam, wciąż ze łzami w oczach, chociaż zjadłam już za dużo sajgonów, żeby rozplakać się porządnie. Poprzedniego wieczoru dosłownie uspiłam się łzami, a wcześniej lkałam Linden w ramię, więc źródło naprawdę zaczynało już wysychać. – Że moją specjalnością jest zwiewanie przed problemami?

– Nie o tym mówię. – Linden popatrzyła na mnie współczująco. – Podejrzewam, że powiedziała tak tylko dlatego, że poczuła się zraniona i chciała się zemścić.

– Nie możesz wiedzieć tego na pewno. Całkiem możliwe, że naprawdę tak uważa. Obie te opcje mogą być prawdą, a znając moje szczęście, tak właśnie jest. – Wzięłam łyk pinot grigio prosto z butelki, którą przejęłam; skrzywiłam się na kwaśny smak ciepłego wina. – Kurwa, zresztą może ma rację.

– Kiedy ludzie są wściekli, zawsze mówią więcej, niżby chcieli – zapewniła łagodnie Lin. – Nawet Avramowowie. A Talia to już na pewno.

– W takim razie w czym ma trochę racji, twoim zdaniem? – Zerknęłam na kolejne ciasteczko z wróżbą, ale przed sięgnięciem po nie powstrzymał mnie złowieszczy pomruk dobiegający z moich wnętrzności. Powinnam była poważnie się zastanowić, zanim pocieszyłam się taką ilością glutamianu sodu, ale ciężkie czasy wymagają drastycznych rozwiązań.

Linden przesuwiała usta z lewej strony na prawą i z powrotem, wyraźnie szukając najbardziej taktownego sposobu, by powiedzieć to, co zamierzała.

– Naprawdę chcesz wrócić do Chicago, Em? – zapytała. – Ja też zauważyłam, jaka szczęśliwa wydajesz się tutaj, kiedy przestajesz się przed tym bronić. Jakbyś musiała sobie regularnie przypominać, że z całego serca nienawidzisz Thistle Grove, bo inaczej na wierzch wypłynie prawda, a prawda jest taka, że bardzo lubisz to miasto. Może nawet bardziej niż część jego stałych mieszkańców.

– Nigdy nie twierdziłam, że go nienawidzę – zaprotestowałam. – Czy w ogóle ktokolwiek mógłby go nienawidzić? Jest absurdalnie piękne, pogoda jest świetna, niebu codziennie można robić zdjęcia #bezfiltra. Kurde, nawet pachnie tu, jakby ktoś zapalił halloweenową świeczkę Yankee Candle. Parę dni temu przyznałam w rozmowie z babcią, że, owszem, kocham to miasto i w zasadzie wciąż za nim tęsknię.

Linden uniosła brwi.

– Czy to taka gra, w której ty nabijasz mi punkty? Jeśli tak, to całkiem mi się podoba.

– Ale przecież to nie miasta nienawidzę tak naprawdę – wyjaśniłam. – Nienawidziłam tego dusznego pudełka, w którym żyją Harlowowie z Thistle Grove. Dobrze o tym wiesz, Lins.

– A więc wciąż uważasz, że warto było wyjechać do większego pudełka w kształcie Chicago? – naciskała. Nikt jak Lin nie potrafił dotykać niewygodnych prawd. – Warto było porzucić magię i to miasto, i wszystkich ludzi w nim żyjących, żeby zostać tą osobą, którą możesz być w Chicago?

Powstrzymałam odruchową chęć bezrefleksyjnej obrony życia, które wybrałam, i przez chwilę poważnie się zastanowiłam nad jej pytaniem.

– W Chicago też podoba mi się dużo rzeczy – powiedziałam powoli. – Riverwalk, muzea, mnóstwo restauracji. Pop-upy i browary, eleganckie bary i najlepsze możliwe spelunki. Jackson Park, park liniowy 606, spacery nad jeziorem. Wielki wybór wszystkiego. Można by spędzić tam całe życie, a wciąż mieć poczucie, że nie widziało się i nie poznało wszystkiego.

– Nie prosiłam cię o prezentację rodem z chicagowskiego biura turystycznego, Em. Chociaż faktem jest, że mogłabyś im wysłać CV.

– Ale to wszystko ma znaczenie – zaprotestowałam. – Z tego powstaje życie. Lubię, kiedy otacza mnie taki potencjał. A co istotniejsze, naprawdę lubię moją pracę i jestem w niej świetna, a dobrze wiesz, że to zawsze było dla mnie ważne.

I to była prawda. Chociaż pudełka Enchantify mogły wydawać się głupotą w porównaniu z intensywnością magii Thistle Grove, to naprawdę zależało mi na tym, żeby co miesiąc wypełnić je najfajniejszymi możliwymi produktami i utrzymywać relacje z ważnymi klientami. Satysfakcję potrafiłam znaleźć nawet w oglądaniu ślicznych filmików unboxingowych, które kręcili nasi partnerzy. Chociaż turniej i Talia, i wszystkie te służbowe rzeczy, które zrobiłam potajemnie, zajmowały moją uwagę, i tak tęskniłam za pracą, która stanowiła zazwyczaj najważniejszą część dnia.

– Ale nie musisz być w Chicago, żeby pracować? Czy wszyscy muszą stawiać się osobiście w biurze Enchantify?

Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać albukę, której splątane pędy zaczepiały o jej włosy jak rozbawione dziecko. Na parapecie za nią, podobnie jak w całym mieszkaniu, znajdowały się bujne, zielone rośliny. W każdym wolnym miejscu stały doniczki pełne egzotycznej, delikatnej flory, której ja z pewnością nie potrafiłabym utrzymać przy życiu. Mieszkanie podporządkowane było roślinom: różowe diody karmiły je odpowiednim spektrum światła, przez cały rok we wnętrzach panowało wilgotne ciepło, a do tego Lin pielęgnowała je miłością i magią.

Jeśli o mnie chodzi, te roślinki miały się zdecydowanie zbyt dobrze jak na coś, co (zazwyczaj) nawet z tobą nie rozmawia.

– Albo może mogłabyś zrobić tak, jak zasugerowała Talia, i częściowo pracować zdalnie? – ciągnęła.

– Pewnie nie jest to niemożliwe – powiedziałam, starając się zdusić nagłe podniecenie, które obudziła we mnie ta myśl. Najwyraźniej przynajmniej moje ciało nie było całkiem przeciwne takiemu pomysłowi. – Część pracowników mieszka w innych stanach. Nie na stanowiskach podobnych do mojego, ale pracuję tam już od pięciu lat, prawie od początku. Nie dowiem się, póki nie zapytam, ale wydaje mi się, że zależy im na mojej pracy. Może więc na to pójdą, jeśli zgodzę się jednak odpowiednio dużo czasu spędzać w mieście.

– A zgodzisz się – zauważyła Lin ze śmiertelną powagą – żeby nie przepiąć żadnego nowego pop-upa.

Zachichotałam i rzuciłam w nią ciastkiem z wróżbą. Chwyliła je bez trudu – lata gry w softball dobrze ją przygotowały – a następnie spokojnie rozpakowała, przełamała na pół i wyciągnęła z niego karteczkę z wróżbą.

– Ale z ciebie mała, Thorn.

– Po prostu mówię, jak jest, mieszcusko. – Uśmiechnęła się szeroko i włożyła sobie pół ciastka do ust. – Najwyraźniej ktoś musi. Ale, poważnie – rozumiem, że to dla ciebie ważne. Więc może spróbowałabyś żyć tak, żeby zawalczyć o to, co najlepsze z obu światów?

– Ale ja nie wiem, czy chcę żyć w obu światach – powiedziałam, trzeźwiejąc. – Naprawdę nie jestem tego pewna, Lins. Owszem, może gdybym tu wróciła, nie byłabym już tylko córką Harlowów, ale nie zaprzeczysz, że czarodziejska społeczność tego miasta jest głęboko kastowa. Kiedy tu mieszkasz, nie możesz przed tym uciec. A mnie wciąż wkurza, że moje magiczne zdolności nie są silniejsze. Z tym też musiałabym wtedy żyć.

– No tak, ale jest też inny spory problem: dziewczyna – zauważyła. – Nie chcę cię martwić, ale jeśli Talia nie jest gotowa pojechać do ciebie, drugiej takiej w Chicago nie znajdziesz.

– Nie – odparłam ponuro, kryjąc twarz w dłoniach. – Zdaje się, że Talia jest tylko jedna. I kropka.

– Naprawdę się w niej zakochujesz, prawda? – powiedziała Linden z tak łagodnym współczuciem w głosie, że znów poczułam, jak gardło mi się ścisnęło. – I to wyjątkowo szybko.

– Prawda? W pozostałych przypadkach na tym etapie byłam pewna co najwyżej, czy jest między nami chemia. – Zaśmiałam się bez przekonania, wyginając palce. – A tymczasem myśl o tym, że miałabym jej więcej nie zobaczyć, że mogłabym nigdy nie dowiedzieć się, jak to jest z nią być, sprawia, że chce mi się wrzeszczeć.

– Wygląda na to, że masz spory kłopot, moja droga – powiedziała Lin. – Przykro mi, że nic nie mogę dla ciebie zrobić.

– Jesteś pewna, że nie możemy przynajmniej wypróbować zaklęcia dłoni? – przymilałam się. – Naprawdę czuję się tak, jakbym miała niezłego kaca...

– Niestety, zaklęcie to nie ma zastosowania do spraw sercowych – odparła Lin z żalem. – Uwierz, że oboje z Rowanem wypróbowałyśmy

najróżniejsze. A jednak to prawda, co mówią: tylko czas leczy rany. Choć, szczerze mówiąc, zemsta również wydaje się niezłym remedium.

– Oczywiście, kiedy magia jest faktycznie potrzebna, przynosi tylko rozczarowanie. – Oparłam się na fotelu i demonstracyjnie westchnęłam. – Jestem zatem skazana na porażkę i nieszczęście. Czy właśnie to mi przyniesie los?

– Sprawdźmy. – Rozwinęła papierek z wróżbą, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Kiedy chińszczyzna, tanie wino i czary nie przynoszą pociechy... zawsze można urządzić sobie maraton *Buffy*.

– Tego tam nie napisali.

Wzruszyła ramionami i przełączyła telefon na tryb pilota do telewizora.

– Nie, napisali, że twoje biznesy będą się rozwijać. Ale jako twoja najlepsza przyjaciółka mogę sobie chyba pozwolić na pewną *licentia poetica*?



Sprytne sztuczki i zaklęcia

Miejsca z przeszłości po latach zazwyczaj wydają ci się znacznie mniejsze. Zaskakuje cię, ile przestrzeni zajęły w twoim umyśle.

Ale nie w przypadku zamku Camelot.

Twierdza majaczyła w mroku, tak imponująca i wielka, że mogłaby uchodzić za prawdziwą fortecę. Złoto-czarne proporce rodu Blackmore'ów, zawieszane na narożnych wieżach, łopotały na wietrze. Całość wyglądała jak ożywione szkolne zadanie domowe pod tytułem „elementy średniowiecznego zamku” z murami obronnymi, zwodzonym mostem, krytymi gankami i resztą onieśmielających elementów, których nazw nigdy się nie nauczyłam. Reflektory ustawione u podstawy oświetlały surowo ciosaną fasadę – jakby był to pieczołowicie zachowany zabytek, a nie konstrukcja pochodząca z roku, plus minus, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego – rzucając na kamień snopy zieleni, błękitu i różu, które odbijały się w pogrążonej w ciemności, falującej fosie.

Kiedy się tam znalazłam, spodziewałam się, że wałęsające się w mojej podświadomości pozostałości nastoletniej Emmy poczują jakąś tęsknotę za Garethem. Więcej czasu spędziliśmy jednak w jego rodowej posiadłości Tintagel kilka kilometrów dalej, a tutaj czułam tylko gniew. Pod moją nieobecność zamek został wyraźnie rozbudowany, jako że Blackmoore'owie najwyraźniej zyski ze swojego miniimperium zainwestowali w ekspansję.

Ten niepodważalny dowód ich rozkwitu, na którym cierpiały pozostałe rodziny, jeszcze bardziej mnie rozsierdzał.

Byłam też mocno zaniepokojona Talią, której nie widziałam od tamtej nocy w The Bitters, dwie doby wcześniej. Teraz stała przede mną z kamiennym spojrzeniem, absolutnie opanowana, pomiędzy Garethem a Rowanem.

Czekała na rozpoczęcie wyzwania. W ostatnich dniach dziesiątki razy chciałam wysłać jej wiadomość – no dobra, tak naprawdę myślałam o tym setki razy. Ale co miałabym powiedzieć, żeby ją udobruchać? Co miałam zaoferować, żebyśmy mogły wrócić w tamto dobre miejsce, skoro wciąż nie byłam pewna, czego chcę sama dla siebie?

Mimo euforycznego blasku płaszcza pomyślałam, że ten dzień będzie naprawdę do dupy.

Przede mną na kartach grymuaru zmaterializowały się ogniste słowa. Zebrałam siły, żeby odepchnąć od siebie emocje tak daleko, jak to możliwe, i przyjąć rolę arbitra.

*Jeśli pragniecie wieniec poznać, znajcie wpierw jego wagę i rozmiar;
Żeby na głowie go ugościć, musicie dowieść swej mądrości.
Czy pytaliście swoich przodków o sprytne sztuczki i zaklęcia?
Pytaniem są i odpowiedzią, warto je dobrze zapamiętać.*

Słowa zaskoczyły mnie już w chwili, kiedy wypowiadałam je z grzmiącym autorytetem arbitra, a światło jak zwykle unosiło się z grymuaru i splątało w ostatnią nagrodę. Wstrzymując oddech, wszyscy czekaliśmy, dokąd ona pofrunie: ogromne połacie włości Blackmoore'ów z miejsca, w którym staliśmy, rozciągały się w trzech kierunkach. Zamek Camelot i jego atrakcje były ledwie zajawką ich gigantycznego majątku. Żeton pofrunął jednak bez wahania ku mostowi zwodzonemu; ogromne podwójne drzwi fortecy rozchyliły się lekko, żeby mógł się tam wśliznąć.

A to oznaczało, że to właśnie zamek będzie areną dzisiejszej bitwy.

Zawodnicy nie tracili czasu; sprintem pognali do mostu; Rowan był na przedzie. Przypomniałam sobie, że – podobnie jak Lin – przez cztery lata szkoły trenował bieganie i wciąż miał niezłe tempo. Stojący za mną tłum widzów niecierpliwie przestępował z nogi na nogę; zebrani wyraźnie chcieli pobiec za zawodnikami, nawet kiedy Talia przekroczyła próg i drzwi się za nią zamknęły. Odpowiadając na wezwanie płaszcza, rozłożyłam ramiona jak barykadę.

– Nikt inny nie wejdzie do środka – zagrzmiałam – póki nie wyłonię zwycięzcy.

Po chwili protestów zebranych, niezadowolonych, że nie zostaną dopuszczeni do śledzenia ostatniego, prawdopodobnie najciekawszego zadania, usłyszałam szelest szat i cicho wyśpiewywane zaklęcia, bo wszy-

szy, którzy wiedzieli jak – i mieli akurat przy sobie odpowiedni sprzęt – postanowili użyć czarów, by zajrzeć poza mury.

Takie zaklęcie najwyraźniej wbudowane było także w płaszcz; kiedy instynktownie zamknęłam oczy, okazało się, że potrafię wyjrzeć poza ciało, a moja świadomość wyfrunęła przede mną niczym jakiś rodzaj cielesnego drona.

Przez nieprzyjemną chwilę ta wykraczająca poza ciało wizja przyprawiała mnie o mdłości, pochyliłam się więc lekko naprzód i wzięłam kilka głębokich oddechów, które brzmiały jak pędząca wichura.

„Ogarnij się, Harlow. Nikt nie chce zobaczyć wielkiego bełta”.

Dezorientacja minęła, a ja wśliznęłam się przez zamknięte drzwi akurat w porę, by zobaczyć, jak zawodnicy wkraczają do ogromnego pomieszczenia, które zwano pewnie wielką salą czy królewskim przedsionkiem; to tam turyści robili sobie zdjęcia z „dworzanami”, zanim ruszyli dalej na zakupy, coś do jedzenia i spektakle.

Tam zatrzymali się gwałtownie, kiedy drogę zastąpiła im wielka, brzęcząca zbroja. Żeton zatrzymał się tuż za nią, nad jednym z jej ramion, błyszcząc prowokacyjnie.

– Pędy z kamienia – zażądała metalicznym głosem zbroja, po czym rozłożyła ramiona wyczekująco.

Zawodnicy popatrzyli po sobie, wyraźnie niepewni, czego od nich chciała. Gareth postanowił spróbować podstępny i zrobił zwód, chcąc pewnie sprawdzić, co grymuar ma na myśli, gdy mówi o sprycie. Pusty rycerz odskoczył błyskawicznie i walnął go w głowę – na tyle mocno, że brzęk uderzenia odbił się echem w całym holu, ale nie tak, by naprawdę go skrzywdzić. Gareth wycofał się, pocierając głowę z irytacją. Wydawał się bardziej wkurzony niż zraniony.

– Pędy... z... kamienia – powtórzyła zbroja, tym razem powoli, jakby zwracała się do niezbyt bystrych dzieci.

– Pędy z kamienia – powtórzył pod nosem Rowan. Jego twarz nagle się rozjaśniła; zrozumiał. – Pędy z kamienia... no tak, zaklęcie przebudzenia zieleni! O to chodzi, prawda? O tym mówisz?

Zbroja zachęcająco przechyliła głowę na bok, po czym zanuciła kilka nut dziwnie znajomej melodii. Z jakiejś przyczyny przyszedł mi na myśl ostatni wers instrukcji: „Pytaniem są i odpowiedzi...”.

– Kurwa, o co chodzi? – wymamrotał Gareth. – Dalej nie kumam.

Rowan chwilę się zastanawiał, po czym wybuchł śmiechem i klepnął się w uda.

– O rany, serio? No dobra, spróbujmy. Czym jest zaklęcie przebudzenia zieleni?

– Grymuar gra w *Va Banque!* – zawołała Talia, kiedy ona też załapała, o co chodzi. – Gra z nami w czarodziejską wersję *Va Banque!*

Kiedy zbroja ponownie wskazała Rowana, zdałam sobie sprawę, że sama odpowiedź na pytanie nie wystarczała; miał rzucić właściwe zaklęcie. Wyzwanie to miało sprawdzić wiedzę zawodników i ich znajomość grymuaru, ale także umiejętność rzucania zaklęć.

Oczywiście Rowan pierwszy je sobie przypomniał; było to zielone zaklęcie, należące do domeny Thornów. Ponadto to właśnie oni studiowali setki zaklęć w księdze dokładniej niż większość Avramovów i Blackmore'ów. Dwa silniejsze rody potrafiły często brutalną siłą narzucić swoją wolę, nie przejmując się subtelnościami.

Thornowie z kolei odrabiali zazwyczaj pracę domową; w tej sytuacji przyniosło im to korzyść.

Uśmiechając się szeroko, Rowan rzucił zaklęcie przebudzenia zieleni, a zielone pędy zaczęły wyrastać ze szczelin pomiędzy wypolerowanymi na gładko przez stopy turystów kamieniami. Jego bluszcz wyrastał szybko i swobodnie, jakby szukał w powietrzu jakiejś kratki, wokół której mógłby się owinać, a zbroja klasnęła w rękawice i przepuściła Rowana.

Kiedy Gareth spróbował popędzić za nim, pusty rycerz rzucił się na niego i sięgnął do pochwy przytwierdzonej do jego pasa po miecz.

– Pędy z kamienia – rozkazał, a w jakby zardzewiałym tonie jego głosu dało się wyczuć groźbę i cień zniecierpliwienia.

– Serio? – warknął Gareth. – Thorn już ci odpowiedział! Czy tam cię spytał.

– My też musimy rzucić zaklęcie, debilu – wymamrotała Talia, zaciskając zęby i wyciągając dłonie, szykując się do akcji. Chociaż było to chyba najłatwiejsze z roślinnych zaklęć, które potrafiłyby rzucić w zasadzie każdy – nawet ja, gdybym miała dość czasu – dla niej, jako dziedziczki Avramovów, nie było łatwe. – Serdecznie witam konkurenta.

– Naprawdę musisz wciąż być taka wredna, Talio? – jęknął urażony Gareth. – To ty oszukujesz, ja nie zrobiłem nic, żeby...

– Weź się bujaj, Blackmoore, dobra?

Kiedy oboje zaczęli czarować, wciąż na siebie warcząc, ja popędziłam za Rowanem, który biegł przed siebie długim korytarzem ozdobionym przedstawiającymi polowania na lisy i średniowieczne bitwy arrasami i gargulcami wczepionymi w przestrzeń między wysokim sufitem a ścianami. Jeden z nich nagle ożył, wydając z siebie okropne skrzypienie, jakby śmieciarka próbowała połknąć zagubiony widelec. Przerażliwie zakrakał, po czym z hukiem spadł na korytarz (tak że cały zamek zdawał się trząść) i rozłożył skrzydła, zastępując Rowanowi drogę.

– Pióra z chmur – zakrakał. Był to jakiś gryfon o głowie jastrzębia i ciele lwa. Kiedy mówił, raz po raz wyciągał z pyska serpentynę języka.

Rowan skrzywił się, zaskoczony.

– Cholera, o czym on mówi? – wymamrotał sam do siebie, uderzając się pięścią w zmarszczone czoło. – Pióra z chmur, pióra z chmur, myśl, myśl człowieku.

Z bijącym mocno sercem czekałam, aż rozwiąże tę zagadkę – sama nie znałam pytania/odpowiedzi – licząc, że uda mu się to przed tym, jak Gareth znajdzie się w środku. Zanim jednak Rowan zdążył zrobić cokolwiek, dziedzic Blackmoore’ów sprintem wyłonił się zza rogu. Kiedy wiedział już, co ma zrobić, przebudzenie zieleni zajęło mu jakieś dwie minuty: przekłęci Blackmoore’owie i ta ich cholerna, głupia siła.

– Pióra z chmur – powtórzył gargulec, wpatrując się w Garetha swoimi kamiennymi oczami.

Zagryzłam wargi w nadziei, że ta zagadka też okaże się dla niego trudna, tym razem jednak jego twarz cała się rozpromieniła.

– Oddech anioła! – zawołał, całkiem nieironicznie unosząc pięść do góry. – To znaczy, czekaj... Czym jest oddech anioła?

Gryfon pokiwał głową i poruszył skrzydłami, wciąż skrzypiąc. Gareth otworzył usta i wypuścił powietrze, widoczne niczym obłoczek pary, jakby w holu było znacznie zimniej. Po chwili obłoczek ten zmienił się w pokryte śniegiem białe piórka, które leniwie opadły na ziemię.

Zakłęcie transmutacji – to również dość proste. W logice czarów pióra należały do tej samej kategorii bytów powietrznych co oddech, chociaż chemicy i biolodzy mogliby mieć w tej kwestii pewne wątpliwości. Ze złością pomyślałam, że nie było nic dziwnego w tym, że Gareth od razu je sobie przypomniał: Blackmoore’owie wciąż się tak popisywali.

Ze zwycięskim rykiem, który zatrzęsł murami zamku i sprawił, że z sufitu spadł deszcz kamiennych okruszków, gryfon opuścił skrzydła, żeby

przepuścić Garetha i zaraz uniósł je z powrotem, by Rowan nie mógł przejść. I dokładnie w chwili, w której Blackmoore popędził dalej, zza rogu wyłoniła się Talia. Czarny warkocz frunął za nią jak proporzec.

– Oddech anioła! – zagrzmiął Rowan przez ramię, słusznie zakładając, że może podpowiedzieć właściwe zaklęcie, skoro odpowiednie pytanie zostało już zadane przez innego zawodnika. Otworzył usta, by zacząć czarować, a na jego twarzy pojawiło się wyraźne skupienie.

Pozostawiając ich zadaniu, ruszyłam za Garethem, który podążył za żetonem na dziedziniec zamku, gdzie zazwyczaj odbywały się obowiązkowe pokazy rycerskie i jeździeckie. W jednym z rogów stała jaskrawo wymalowana rzeźba smoka, która służyła za rekwizyt do zdjęć pomiędzy pokazami. Jej szczękami można było poruszać w górę i w dół, żeby smok wyglądał, jakby chciał zjeść komuś głowę.

Teraz jednak naprawdę ożył: trzepotał skórzastymi skrzydłami i wypuszczał z pyska płomień. Podszedł do Garetha, otworzył ogromne szczęki, a żeton pofrunął mu prosto do pyska. Zębata paszcza smoka zamknęła się.

– Z życia nicość – wydyszał obłok dymu, a kiedy płomień zgasł, smok przysunął nos do twarzy Garetha. Jego oczy lśniły jak klejnoty, zaś blask żetonu wydobywał się spomiędzy żółtych zębów, które go strzegły.

Podobnie jak zawodnicy, którzy dawno temu wyciągali żeton z pyska hydry, Gareth miał go wydobyć z paszczy smoka, tym razem było to jednak wyzwanie sprawdzające nie siłę, lecz spryt. Gareth nie miał walczyć z potworem.

Kiedy Talia i Rowan wtoczyli się na dziedziniec, Blackmoore zdążył już wydedukować, co powinien zrobić.

– Czym jest klątwa dezanimacji? – zawołał triumfalnie. Jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu, kiedy wyciągnął przed siebie obie ręce, by rzucić zaklęcie, które miało uczynić smoka z powrotem nieożywionym, a jemu pozwolić spokojnie wyjąć żeton z jego pyska.

Zacisnęłam pięści z bezradną wściekłością: a więc to by było na tyle. To właśnie robi. Jak zawsze, jak za każdym cholernym razem ten dupek zwycięży.

– Rowan! – zawołała Talia, a jej spojrzenie miało błyskawice. – Na mój znak! Do biegu, gotowi... START!

Z jej dłoni wystrzeliła ektoplazma; spirala wijącej się czerni owinęła się wokół Garetha niczym całun. Zanim zdążył zareagować, pióropusze szmaragdowozielonych i bladoróżowych czarów Rowana splotły się z masą

ektoplazmy, wślizgując się w jej wszystkie szczeliny. Przez chwilę czary życia i śmierci tworzyły unoszący się w powietrzu pierścień, będący ucieleśnieniem ich sojuszu.

A jednak, pomyślałam, zaskoczona. Naprawdę zamierzali to zrobić, tak jak zaplanowaliśmy.

Aż nagle, z rykiem wstrząsającym jak grom dźwiękowy, ich połączona magia zmieniła się w coś całkiem innego.



Anatema

Tak jak obie z Talią przewidywałyśmy, wspólnota nie była przeznaczeniem czarów Avramovów i Thornów. Były one sobie z natury wzajemnie wrogie i bardzo nie chciały pozostawać częścią wieńca, który zapletli Rowan z Talią. Jednak, podobnie jak magia, te dwa włókna podlegały woli ich właścicieli. Dwie nieprzyjazne magiczne wstęgi starały się więc jak mogły spełnić ich życzenie i przeobraziły się w coś zupełnie nowego.

Garetha otaczała teraz substancja wyglądająca tak, jak zawsze wyobrażałam sobie ciemną materię: pierścień matowej czerni znacznie ciemniejszej i głębszej nawet niż ektoplazma Talii. Między jej nieprzepuszczalnymi fałdami błyszczały świetliste główki od szpilki niczym maleńkie gwiazdy. Bezradny Gareth był w niej uwięziony, a każde zaklęcie, które próbował rzucić, nikło w chwili spotkania z barierą mroku. Była to dokładnie takie pole antymagiczne, jakie wyobrażyłyśmy sobie z Talią.

Stojąc wciąż poza murami zamku, usłyszałam ostry syk Eleny Avramov.

– Nie powinni tego robić – powiedziała, a w jej głosie było takie przerażenie, że sama po raz pierwszy poczułam strach. Przyszło mi do głowy, że za moją namową Rowan i Talia zrobili coś bez precedensu... i że bardzo możliwe, że istnieją naprawdę niezłe powody, dla których nigdy dotąd niczego podobnego nie próbowano.

Gareth na dziedzińcu warczał wściekle, a żyły na jego skroniach pulsowały, jakby miał mu zaraz pęknąć tętniak.

– Wypuście... mnie... do... kurwy... nędzy! – zagrzemiał, wystrzeliwując w barierę kolejne serie magicznych zaklęć. Jego niekontrolowany szal rozwaliby cały zamek, gdyby nie fakt, że bariera pochłaniała je wszystkie.

– Rowan, biegnij – wydusiła z siebie Talia z uniesionymi, zgiętymi w nadgarstkach rękami. Z jej dłoni wypływała wciąż lśniąca jak atrament ciemność. – To należy się tobie. Jeśli... Jeśli się pospieszysz, sama dam tu sobie radę.

– Nie ma takiej opcji – wycedził Rowan przez zaciśnięte zęby. – Zrobię dwie rzeczy naraz. Nie zostawię cię samej.

Wystrzeliwując z jednej ręki zieloną materię, drugą sięgnął w stronę smoka i wypowiedział słowa klątwy dezanimacji. Kiedy walczył, z jego czoła spływały krople potu, a szyja napięła się z wysiłku. Chociaż wszystkie rodziny potrafiły w pewnym stopniu animować – zakłęcie ożywienia i jego przeciwieństwo należały do pierwszych, których uczyły się dzieci – były to jednak czary trudniejsze od dwóch wcześniejszych, co miało zresztą sens, biorąc pod uwagę, że była to ostatnia przeszkoda. A Rowan próbował rzucić zakłęcie, drugą ręką współtworząc barierę antymagiczną, co samo w sobie już stanowiło ogromny wysiłek.

– W ten sposób nie dasz rady, Rowan – wycharczała Talia, widząc jego męki, sama także śmiertelnie blada. – Przestań się głupio upierać i idź.

Rowan kątem oka spojrział na Garetha, który wciąż rzucał zaklęcia na lewo i prawo, wrzeszcząc ze złości, kiedy każde z nich po kolei znikало, ledwie dotknęło pierścienia.

– On ci zrobi krzywdę – wycedził przez zaciśnięte zęby Rowan, werbalizując także i mój lęk. – Talia, nie warto...

– Nie robi. IDŹ.

Ostatnie słowo wypowiedziała z takim przekonaniem, że Rowan z niechęcią pokiwał głową i zwolnił zakłęcia antymagiczne. Mając nagle do dyspozycji znacznie większą moc, zdołał urzeczywistnić klątwę dezanimacji, w jednej chwili zmieniając żywe, pokryte łuskami ciało smoka w jaskrawo wymalowane drewno i gips.

Starł dłonią pot z czoła, sięgnął do paszczy smoka i wyciągnął spomiędzy jego szczęk błyszczący żeton.

– Trzecie zwycięstwo należy do rodu Thornów! – zagrzała, kiedy blask rozprzestrzenił się po jego kończynach, rozbłyskując jasną bielą jego nagłego, szerokiego uśmiechu. – Rody Thornów, Blackmoore'ów i Avramovów muszą zawalczyć raz jeszcze, by przełamać remis.

– Co za bzdura! – wrzasnął Gareth, którego twarz stała się ze wściekłości niemal brązowa.

Szarpnął obiema rękami w powietrzu, plując i iskrząc magią tak potężną, że zniekształciła powietrze wokół niego. Z całej siły uderzył w barierę.

Antymagia, której nie zasilał już Rowan, zatrzęsała się... po czym rozerwała z dźwiękiem, który przypominał przedzieranie kosmicznie gigantycznej kartki. Uwolniona zielona magia Thornów kręciła się wokół, szukając jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby się spełnić, aż natrafiła na pobliską donicę, z której wystrzeliła zaraz bujna zieloność. Ozdobny krzak zmienił się w coś w rodzaju rozrastającego się figowca bengalskiego z licznymi pniami i masą liści, którego dotychczasowy pojemnik pękł na kawałki rozrzucone wokół korzeni.

A długi sznur ektoplazmy wrócił do miejsca swego pochodzenia – do piersi Talii. Uderzył w dziewczynę z taką prędkością i mocą, że powalił ją na ziemię i z całej siły uderzył jej ciałem w mur dziedzińca.



Muszą się wycofać

– Talia! – krzyknęłam, a grzmiący głos arbitra i mój własny lęk zmieniły to słowo w dźwiękowy kataklizm.

Powietrze wokół zdawało się drzeć, zebrani zasłonili uszy dłońmi, niektórzy opadli na kolana. Z wysiłkiem umilkłam, obawiając się, że stworzę zaraz uskok w ziemi albo spowoduję pod miastem jakąś tektoniczną katastrofę. Naprawdę nie trzeba nam było do tego wszystkiego jeszcze prawdziwego trzęsienia ziemi.

Jak kot w butach ledwie kilkoma susami znalazłam się na dziedzińcu. Świat wokół mnie się rozmywał. Moja ogromna sylwetka arbitra nie powinna się nawet zmieścić na krytym zwodzonym moście ani w podwójnych drzwiach, ale magia na wielką skalę, taka jak zakłęcie płaszcza, robiła z materią dziwne rzeczy. Popędziłam tymi samymi korytarzami, które wcześniej pokonali zawodnicy, głową ledwie muskając sufity, i wyłoniłam się na dziedzińcu, gdzie Talia uderzyła w ścianę i upadła na ziemię.

I gdzie teraz leżała, przerażająco małeńka, z szarą twarzą otoczoną kałużą czarnych włosów.

Rowan klęczał już nad nią, przestraszony, podczas gdy Gareth chodził koło niego w tę i z powrotem, trzymając się za głowę i powtarzając pod nosem: „Kurwa, kurwa, kurwa”. Być może on też szczerze się o nią martwił, ale moje myśli powędrowały od razu ku mniej życzliwej konkluzji, że rozważał, jakie mogą go czekać konsekwencje.

Antymagiczny wieniec zapletli Rowan i Talia, ale to Gareth uderzył w niego z taką mocą, że trafiły w nią jego odłamki.

– Ach, tu jesteś – Rowan odetchnął z ulgą, kiedy klęknęłam obok niego, wróciwszy do mojego normalnego rozmiaru. – Nie mam pojęcia, co mogę

zrobić. Jest z nią źle. Nic nie złamała, nie ma poważniejszych obrażeń fizycznych, ale... Emmy, spójrz jej w oczy.

Bardzo delikatnie przysunęłam ku sobie głowę Talii i wstrzymałam oddech. Jej piękne oczy były szeroko otwarte, ale ślepe i całkiem czarne. Nie było widać tęczy, twardówek ani skrawka bieli. Tylko lśniący mrok, jakby była po brzegi wypełniona ektoplazmą. Granat na jej szyi здаwał się mętny i martwy, w jego ściankach nie było ani odrobiny światła; na środku widniało pęknięcie w kształcie gwiazdy, jakby został roztrzaskany.

Z jakiejś przyczyny to przeraziło mnie najbardziej; serce podeszło mi do gardła. Co się działo z Avramovami, kiedy ich granat pękał?

– Czy wszystko z nią w porządku? – Rozbrzmiał za mną przestraszony głos Garetha. – Ja nie... Ja naprawdę nie chciałem...

– Nie wiem. Musimy wezwać starszyznę Avramovów – uciszyłam go pełnym napięcia głosem, który po części przynależał do mnie, a po części do płaszcza. – Potrzebujemy...

Usłyszałam szelest, a zaraz po nim głośnie kroki na kamieniu – matka Talii zmaterializowała się tuż obok mnie, jakby usłyszała moje wezwanie.

– Pozwólcie mi ją zobaczyć – rozkazała, a wokół jej ciała wciąż unosiła się ektoplazma pozostała po zaklęciu, które pozwoliło jej tak szybko się tu znaleźć.

Kiwnęłam głową i odsunęłam się, nie zadając żadnych pytań; cokolwiek się stało, magia płaszcza nie mogła nic zrobić dla Talii.

Elena z ponurą skutecznością badała swoją najstarszą córkę. Dotykała jej twarzy, gardła i klatki piersiowej, zaglądała w usta i w te niepokojąco czarne oczy. W tym czasie na dziedziniec dotarło więcej ludzi, a wszyscy rozmawiali zasmuconym półszepceniem, żeby jej zbyt nie przeszkadzać. Wszyscy seniorzy stali wraz z najbliższymi rodzinami; w jednym rogu Igraine z rodzicami Garetha Lyonese i Merrittem, a jasne głowy jego rodzeństwa, Gawaina i Nineve, poruszały się wokół nich nerwowo. Moi rodzice i Thornowie zajęli miejsce w pobliżu w grupce z obejmującymi się Linden i Larkiem pośrodku. Trójka rodzeństwa Talii stała w rzędzie po ich drugiej stronie niczym kruki, które przysiadły na telefonicznym kablu – blisko siebie, ale się nie dotykając.

Wszyscy najważniejsi członkowie czterech rodów czekali na to, co się wydarzy.

– W zasadzie nie jest ranna – powiedziała wreszcie Elena, unosząc na mnie wzrok, jednak w jej głosie nie sposób było nie wyczuć lęku. – Jest

nawiedzona. Kiedy ekto plazmiczna magia została tak brutalnie rozerwana, uderzyła w nią, zamiast znaleźć uziemienie czy przeniknąć z powrotem przez przesłonę. Powstała w ten sposób szczelina. A Talia doświadcza teraz... zamieszkania. Na niespotykaną skalę.

– Co to oznacza? – zapytałam. Serce podeszło mi do gardła, ściszałam płaszczykami.

– Oznacza to, że... że stała się w zasadzie otwartym przewodem między dwiema stronami przesłony – powiedziała łamiącym się głosem Elena. Zacisnęła zęby i z ogromnym wysiłkiem się opanowała. – Wszystko może przejść przez nią albo w nią wnikać i tam pozostać. Już teraz znajduje się w niej kilka cieni, a jeśli nie będziemy działać szybko, zaraz trafi ich tam dużo więcej. Cały legion.

Pomyślałam o pogrążonych w bólu drzewach Puszczy Czarownic, owijających się wokół zamieszkujących je, niespokojnych duchów; a w tych drzewach mieszkały tylko pojedyncze duchy, nie cała horda jak z horroru. Wstrząsała mną gwałtownie lęk o Talię i zrobiło mi się nagle rozpaczliwie smutno, że przynajmniej nie spróbowałam porozmawiać z nią przed wyzwaniem. A co, jeśli nigdy nie wróci? Jak mogłabym z tym żyć?

– Czego ci trzeba? – spytałam Elenę chrypiącym głosem, przerażona, czując, jak serce wali o moje żebra jak cymbały. – Co mogę zrobić?

– Musimy tu i teraz rzucić zaklęcie wygnania. Największe, jakie kiedykolwiek rzucaliśmy. Jesteśmy potrzebni wszyscy, do ostatniego Avramova. – Spojrzała na swoje dzieci i gestem kazała im podejść. – Micah, Isidoro, natychmiast wezwijcie całą rodzinę. Powiedzcie, że potrzebujemy ich wszystkich tu i teraz. Adriano, kotku, ty idź do The Bitters po szalej czarny, wilcze jagody i inne rzeczy, które mogą się nam przydać.

Kiedy wszyscy pospieszyli wykonać swoje zadania, Igraine zrobiła kilka kroków naprzód ze złożonymi przed sobą dłońmi.

– A co z turniejem, arbitro? – zapytała pogodnie, jakby zamieszkiwała jakąś całkiem inną, spokojną rzeczywistość. – Co zrobimy z remisem?

– Igraine! – warknęła wściekle Gabrielle. – Opanuj się! Przecież to nie pora!

– Oczywiście, że pora – odparła niezrażona matriarchini Blackmore'ów. – A kiedy niby miałabym zadać do pytanie? Owszem, zdarzył się straszny wypadek, ale to wypadek, który ściągnęła na głowę dziedziczki Avramovów wątpliwa strategia zawodników.

– Masz na myśli wypadek spowodowany przez twojego wnuka?! – odparła Gabrielle, a jej oczy aż błyszczały gniewem. – Tyle przynajmniej przyznaj.

– Jak mówiłam: niefortunny wypadek – powtórzyła Igraine, wzruszając wielkodusznie ramionami. – Być może mój wnuk faktycznie był jego katalizatorem, ale przygotowania rozpoczęli Thorn i Avramov. Wszyscy byliśmy tego świadkami. Pytanie brzmi: co teraz? Zgodnie z zasadami turnieju ostatnie wyzwanie ma odbyć się bezpośrednio po remisie.

Prawie wszystkie głowy na dziedzińcu zwróciły się ku mnie, czekając, aż podejmę decyzję jako arbiter. Przynajmniej Gareth miał dość przyzwitości, by odgrywać speszzonego, wyraźnie nieszczęśliwego na myśl o kolejnym wyzwaniu w chwili, w której Talia leży na zimnym kamieniu z duchami pływającymi w jej oczach.

Niestety, uważna lektura zasad turnieju potwierdzała słowa Igraine; co gorsza, także i płaszcz zdawał się z nią zgadzać. Czułam, jak z mojego wnętrza dobywa się uznanie dla jej propozycji i jak grymuar wzywa nas zza murów zamku, gdzie prawdopodobnie czekał już z nowym wyzwaniem, mającym przełamać remis.

– To prawda – potwierdziłam, choć słowa więzły mi w gardle. – Musimy kontynuować. Dziś wieczorem.

– Ale Avramovowie nie mają zawodnika! – zaprotestowała wściekle Elena, wciąż nie odrywając dłoni od czoła Talii. – Dopiero co powiedziałam, że zakłęcie wygnania wymaga obecności nas wszystkich i nie ma nikogo, kto mógłby zająć miejsce Talii! Jak mamy konkurować, skoro...

– A zatem Avramovowie muszą się wycofać – przerwała Igraine, jakby taka niesprawiedliwość była najsensowniejszą rzeczą na świecie. W jej głosie rozbrzmiewała jedwabista, złośliwa przyjemność, niemal niedostrzegalna dla tych, którzy słuchali mniej uważnie niż ja. Mimo całego wyćwiczonego dekorum, stara jęzda była wyraźnie zadowolona. Można było niemal usłyszeć, ile wysiłku wymagało od niej powstrzymanie uśmiechu. – I pozwolić dziedzicom Blackmoore’ów i Thornów kontynuować. Czyż nie, arbitro? Wydaje mi się, że odpowiedź znajdziemy w zasadzie dwudziestej drugiej: reguły gry w przypadku nieobecności jednego z zawodników.

Z nagłym ukłuciem podniecenia zdałam sobie sprawę, że w tychże zasadach jest pewna luka i w mojej głowie zaczął się formować plan. Reguły nie stawiały rezerwowemu uczestnikowi żadnych wymagań prócz tego, że nie mógł on pochodzić z dwóch pozostałych konkurujących rodów, co

oznaczało zazwyczaj, że musiał pochodzić z tej samej rodziny, co osoba, którą zastępuje.

Ale teraz...

– Owszem, tak jest – zgodziłam się. – A w zasadzie tak by było pod nieobecność jakiegokolwiek zawodnika rezerwowego.

Igraine wydawała się skonfundowana, w jej oczach zaczął rysować się cień podejrzenia.

– Wszak matriarchini Avramov właśnie potwierdziła tę nieobecność.

Kiedy wstawałam i rosłam znów do imponujących rozmiarów arbitra, pozwoliłam sobie chwilę pławić się w uniesieniu, jakie budziła we mnie magia płaszcza. Byłam teraz tak wysoka, że górowałam nad dziedzińcem, a zimny wiatr gwizdał w moich skroniach, tak że bez trudu mógł mnie zobaczyć nawet rój widzów zgromadzonych za wałami obronnymi. Bogini wyłaniająca się jak miecz z campowego kamienia zamku Camelot.

„Jak wam się podoba ta wersja Excalibura, dupki z rodu Blackmore’ów?”.

Nie miałam pojęcia, co właściwie, kurwa, wyczyniam i czy ma to jakiegokolwiek szanse powodzenia. Jednak niezależnie od tego, co miało się wydarzyć, wiedziałam, że Talia nie chciałaby, żebym porzuciła to, o co od początku walczyłyśmy we trzy z Linden.

Musiałam przynajmniej spróbować. Dla Talii.

– Przekazuję płaszcz i mój autorytet arbitra siódmych Zawodów w Zagajniku mojej kuzynce Delilah Harlow – ogłosiłam grzmiącym głosem. – A ja zajmuję miejsce zawodniczki rodu Avramovów.



Słowo i sen, serce i oko

Nad zamkiem Camelot zapadła absolutna cisza.

Po chwili przerwał ją piskliwy głos matriarchini Blackmoore'ów. Igraine była absolutnie niezdolna do wysiedzenia cicho w sytuacji, która szła nie po jej myśli.

– Nie możesz tego zrobić! – syknęła, a jej orle rysy twarzy napięły się ze złości, jakby była drapieżnym ptakiem o nastroszonych piórach. – To nie tylko wysoce nietypowe, to nieakceptowalne, by nie rzec: bezprawne! Harlowowie nie mogą konkurować w turnieju!

– Nieprawda – odpowiedziałam spokojnie, bo na tym etapie wiedziałam już, że mam rację, bo magia płaszczka nie protestowała przeciwko mojej decyzji, ale pulsowała we mnie, jakby chciała mnie zapewnić, że wciąż mnie wspiera. – Harlowowie wpierw wycofywali się z turnieju z wyboru, a następnie zgodnie z precedensem, po to, by móc zająć miejsce sędziego. Ja teraz postanawiam oddać płaszcz i konkurować w miejsce Talii. Jest to decyzja w pełni zgodna z zasadami turnieju.

– Ale... Ale tak się nie robi! – zaskrzeczała Igraine, której zabrakło argumentów opartych na faktach.

– Być może w normalnych okolicznościach rzeczywiście nie. Ale w normalnych okolicznościach dziedziczka Avramovów sama stanęłaby naprzeciwko dziedzica Blackmoore'ów – zwróciłam uwagę. – Czy naprawdę tak bardzo się martwisz, że jej miejsce zajmie ktoś z rodu Harlowów?

Wycofała się na te słowa, marszcząc brwi: to była oczywistość. Z jej perspektywy nie stanowiłam szczególnego zagrożenia; na pewno mniejsze niż Talia.

Szczerze mówiąc, z mojej perspektywy też nie byłam szczególnym zagrożeniem. Czarownica z rodziny Harlowów była w zasadzie najślabszą możliwą zastępczynią Talii – ale jedyną dostępną. I nie ulegało wątpliwości, że dam z siebie wszystko. Dla niej.

– Dobrze – zgodził się Igraine, marszcząc usta w dzióbek. – Niechętnie zgadzamy się na to zastępstwo. Proszę zaprotokołować.

Przewróciłam oczami i z szacunku spojrzałam na Thornów; nie potrzebowałam ich pozwolenia, tak jak nie potrzebowałam pozwolenia Igraine.

– Oczywiście, my również się zgadzamy – powiedziała Gabrielle, a Aspen się skłonił. Przez jego twarz przemknął uśmiech, jakby nie potrafił ukryć swojego szczęścia na myśl o tym przewrocie. A mój ojciec, który stał za nimi, poza polem widzenia Igraine nieśmiało pokazał mi dwa uniesione do góry kciuki, które dały mi więcej siły niż płaszcz, zapewniając, że podjęłam właściwą decyzję.

Potem spojrzałam na Elenę Avramov. Zaskoczona, zobaczyłam na jej twarzy szeroki uśmiech. Uśmiechała się szczerze, wręcz szokująco czule; słodycz nie pasowała do jej pięknej twarzy baśniowej łotrzycy. Jeszcze bardziej przypominała Talię.

– Naprawdę zależy ci na Natalii, prawda? – powiedziała, kiedy uklęknęłam przy Talii raz jeszcze. – To bardzo ciekawe.

Sięgnęłam, by pogłaskać czarne włosy i wilgotne czoło dziewczyny. Jej ciepło zniknęło.

– Tak, naprawdę mi na niej zależy – powiedziałam, a mój brzuch pulsował bólem. – Tak bardzo nie chcę jej zostawiać w takim stanie.

Elena ścisnęła moje ramię i zacisnęła wargi.

– Moja córka jest silna, a ty możesz mieć pewność, że dam sobie radę. Wszyscy wiemy, jak chronić się przed zamieszkaniem, to jedna z pierwszych rzeczy, których uczą się czarownicy z rodu Avramovów. – Będzie wiedziała, jak je wygnać, jak zachować bezpieczeństwo umysłu.

– Ale mówiłaś, że jest ich tak wiele... – powiedziałam, a głos wiązał mi w gardle. – A co, jeśli ona...

– Ja zajmę się Natalią – powiedziała matriarchini, obejmując mnie. Czule i energicznie, jak kompana na wojnie. Jej błyszczące, jadeitowe oczy były nieprzejednane. – A ty idź i zwycięż w tym cholernym turnieju w imieniu mojej córki.

Dziesięć minut później znów stałam przed zamkiem z Garethem i Rowanem. Przekazałam już płaszcz Delilah, której co prawda trudno było ukryć radość z powodu tego niespodziewanego rozwoju wypadków, ale która okazała się też zaskakująco uprzejma podczas przekazywania władzy.

– Dziękuję, Emmy – wymamrotała, kiedy zarzuciłam jej płaszcz na ramiona. – Wiem, że nie robisz tego dla mnie, ale i tak...

– Nie ma za co, Lilah – wyszeptałam, lekko ciągnąc ją za włosy. Pamiętałam, że dawno temu, kiedy byłyśmy małe, zanim jeszcze obrałyśmy tak odmienne drogi, byłyśmy przyjaciółkami. – Tak jak mówiłaś – to ty tu zostałaś. Być może powinien trafić do ciebie od razu. W każdym razie przyszła na ciebie pora.

Teraz to ona górowała nad nami, zasłaniając głową niebo błyszczące od gwiazd; końcówki jej długich włosów unosiły się na wietrze, od jej ciepłych, brązowych oczu nie dało się oderwać wzroku. Księżyc wisiał tuż nad jej głową jak improwizowana korona. Poczułam zaskakujący przypływ dumy na widok mojej nieznośnej kuzynki, która wyglądała jednocześnie pięknie i strasznie, jak Tolkienowska władczyni elfów podczas krótkiego przebywania ze słynnym pierścieniem.

Jakoś jej to pasowało.

Poczułam nagłą gorycz, że nigdy już nie włożę płaszcza, nigdy nie poczuję tego nagłego przypływu starej, potężnej magii w moich żyłach. Ale miałam też do zrobienia coś ważniejszego i cieszyłam się, że przynajmniej marzenie Delilah się spełni. Pewnie doceni ten zaszczyt bardziej, niż ja bym potrafiła, biorąc pod uwagę, że ja go w zasadzie wcale nie chciałam.

Głupia ja.

Grymuar rozbłysnął błękitem, a ja poczułam kolejne ukłucie straty, bo nie czułam go już; nie przyciągał mnie do siebie.

– Dziedzice Thornów, Blackmoore'ów i Harlowów – zagrzmiała Lilah, aż powietrze zadrżało od siły dźwięku. Tembr jej głosu był głębszy od mojego, a w rejestrze arbitra rozbrzmiewał jak *basso profundo*, który docierał aż do kości. – Wieniec czeka na was, ale musicie odnaleźć to, co pozostawili po sobie ojcowie założyciele i matki założycielki: słowo Eliasa, sen Caelii, serce Alastaira i oko Margarity. I duszę żyjącą w centrum tego, co razem stworzyli.

Z pozytywnych informacji: najwyraźniej skończyły się gówniane wiersze.

Kiedy zamilkła, z grymuaru wzniosły się świetliste płachty, które owi-
nęły się wokół naszych ciał – tak jak wtedy, kiedy przeniosły Garetha,
Rowana i Talię na miejsca ich pojedynków w sadzie.

Zamknęłam oczy, czekając na przeniesienie, ale kiedy je otworzyłam,
stałam dokładnie w tym samym miejscu obok Garetha i Rowana, a sznury
światła otaczały mnie perłowym blaskiem.

– Serce Alastaira – mamrotał pod nosem Rowan. – Czy to może być...

Zamknął oczy, by dokończyć zdanie, i już po chwili go tam nie było.
A więc rzeczywiście mieliśmy zastosować zakłęcie portalu, ale w pełni
kontrolowane przez posiadacza, co oznaczało, że to ja miałam wiedzieć,
dokąd magia ma mnie zabrać, jak podczas samodzielnie zaplanowanych
podchodów.

– Sen Caelii! – wybuchnął Gareth, jakby jego też nagle olśniło. Potem
i on zniknął, zostawiając mnie samą.

Gwałtownie obudziły się we mnie wszelkie możliwe instynkty rywaliza-
cji, a bogini wie, że mam ich całą kolekcję. Nie było opcji, żebym miała
tam stać samotnie jak jakaś ignorantka.

– Sen Caelii, słowo Eliasa, serce Alastaira, oko Margarity – zanuciłam
sama do siebie, czując jak dłonie poca mi się ze zniecierpliwienia. Zakłada-
łam, że grymuar nie ma na myśli fizycznych części ciała; z tego, co było mi
wiadome, nikt nie trzymał w słoiku serca Alastaira ani gałek ocznych Mar-
garity, chociaż z Avramovami, oczywiście, nigdy nic nie wiadomo. W każ-
dym razie sen i słowo na pewno były abstrakcyjne...

Wtedy nagle spłynęła na mnie inspiracja i wiedziałam już, gdzie mam
szukać.

„Woluminy & Wróżby” – pomyślałam, zamykając oczy. „Woluminy &
Wróżby”. Poczułam w żołądku szarpnięcie, świat zaczął wirować wokół
mnie, a potem poczułam znajomy zapach kurzu, atramentu i suchego,
papierowego rozkładu. Dzwonek przy drzwiach uprzedził o moim przyby-
ciu, chociaż nie było tu nikogo, kto mógłby go usłyszeć.

Otworzyłam oczy w ciemnej księgarni ojca, odczekałam chwilę, by mój
wzrok się przyzwyczaił, dostrzegłam zarysy półek z książkami, po czym
popędziłam schodami na strych.

– Niechże mam rację, niechże tylko mam rację – wyszeptałam sama do
siebie, biegnąc na górę z głośnym grzechotem.

Ledwie otworzyłam drzwi, wiedziałam już, że ją mam: strych lśnił nie-
ziemskim błękitem, tym samym, który zawsze wznosił się ponad grymuar.

Popędziłam do jego źródła, szklanej gabloty, która znajdowała się w części archiwum poświęconej Harlowom – tam trzymaliśmy pióro sowy, którym Elias Harlow spisał oryginał księgi zaklęć.

Ponad gablotą unosiły się trzy pióra utkane z delikatnego, niebieskiego światła: ich chorągiewka, dutka, promienie, wszystko było idealnie odtworzone. Naliczyłam trzy pióra, po jednym dla każdego zawodnika.

A jako że wszystkie wciąż tu były, najwyraźniej to ja dotarłam na miejsce jako pierwsza.

Z szerokim uśmiechem sięgnęłam po jedno z nich. Ledwie go dotknęłam, moja dłoń wchłonęła je z łaskoczącym sykiem. Zaczęłam obracać w głowie pozostałe wskazówki. Słowa „sen Caelii” w zasadzie nic mi nie mówiły, chociaż na ich dźwięk rozbłysła mi w głowie jakaś maleńka lampka, jakby ktoś zapalił świeczkę kilka pokoi dalej. Światełko było obecne i natarczywe, ale niewiele mi wyjaśniało.

„Serce Alastaira” przywiodło mi na myśl coś bardziej konkretnego – wspomnienie znacznie młodszej Linden, która prowadziła mnie wiosną do zagajnika za Miodową Chatą, gdzie oparła dłoń o pień drzewa obsypanego bladoróżowymi kwiatkami przypominającymi pastelowe gwiazdki.

– To było ulubione drzewo mojego praprapraprapradziadka Alastaira – powiedziała mi, gładząc korę z czułością i szacunkiem jednocześnie. Uśmiechnęłam się na to wspomnienie – zawsze umieszczała przed jego imieniem jakąś arbitralną liczbę „pra”. – Pierwsze, które zasadził na naszej ziemi. Kiedy się pod nim zasypia, śni się o nim. Mnie zawsze się to przydarza.

Wspomnienie zbladło, a ja zamknęłam oczy i skierowałam się myślami ku pradawnemu głógowi Alastaira.

Kiedy je otworzyłam, stałam naprzeciw niego. Jego gałęzie były ciężkie od szkarłatnych owoców przypominających krople skryzalizowanej krwi. Pod jednym z sięgających nisko konarów wisiała jedna błyszcząca, niebieska jagódka – jakby duch pozostałych – z dwoma wykończonymi falbanką listkami z obu stron. Sięgnęłam po nią ze smutkiem; skoro została tylko jedna, to znaczy, że Gareth i Rowan dotarli tu już przede mną. Rowan oczywiście wiedział, gdzie szukać serca Alastaira; Garetha pewnie przyprowadziła tu Linden, kiedy jeszcze sądziła, że są w sobie zakochani.

Zrobiło mi się niedobrze na myśl o tym, że wykorzystał tę podstępem zdobytą wiedzę – to kolejna rzecz, którą ukradł Lin i wykorzystał na swoją

korzyść. Fala podniecenia zalała mnie jednak na myśl, że przecież ja też mam swoje insajderskie informacje do wykorzystania.

Jedną laskę z rodu Avramovów poznałam całkiem nieźle – i tak się akurat składa, że ona pokazała mi już „oko” Margarity.

Kilka sekund później byłam w pomalowanym na niebiesko pokoju Talii, a znajoma woń jej perfum wdzierała mi się w nozdrza. Zapach przywołał bolesne wspomnienia chwil, które spędziłyśmy tu razem, unosząc się w ciemności niczym promienne widma, kiedy to, niczym przeciwności cieni, zrzucaliśmy z siebie całe zapamiętane ciepło i światło. Łzy napłynęły mi do oczu i odsunęłam od siebie tę myśl; wróć do niej potem, kiedy to wszystko dobiegnie końca. Nie mogłam dać się teraz porwać emocjom.

Przesunęłam się do wróżącego lustra, które emanowało niebieskim blaskiem; unosiły się w nim dwie imitacje granatu; nie nad nim, ale jakby za szybą, tak że wydało mi się, że by jedną z nich wyciągnąć, będę musiała zanurzyć dłoń w szkle. Zastanawiałam się, który z moich konkurentów zdobył już jeden z tych przedmiotów; stawiałam na Rowana, który dowiedział się o lustrze podczas naszych spotkań przed turniejem. Nie mogłam jednak wykluczyć, że Gareth usłyszał o nim podczas swoich igraszek z Talią.

Musiałam grymuarowi przyznać, że rozgrywka ta była dezorientująco pomysłowa. Znacznie bardziej mylący wydał mi się taki wyścig, podczas którego nie mieliśmy pojęcia, kto co już zdobył, niż fizyczna pogoń przez miasto.

– Sorry, Biała Damo – wymamrotałam pod nosem, dotykając chłodnej powierzchni lustra. – Proszę, nie potraktuj tej gadki o „oku” zbyt dosłownie.

Przez chwilę szkło nie chciało mnie wpuścić, nie ustępowało ani odrobinię – potem rozstąpiło się pod moją skórą jak skrzyżowanie rtęci i mrożonej galaretki. Sięgnęłam po jeden z pozostałych żetonów i poczułam na dłoni muśnięcie chłodnych palców, nie do pomylenia z niczym innym, jakby zza przesłony ktoś witał mnie nieśmiało albo może nawet mi gratulował. Zaskowytałam i wycofałam rękę, jakby coś mnie użądliło. Światło granatu rozpląnęło mi się na dłoni.

W moich uszach rozbrzmiał widmowy śmiech i wydało mi się, że kątem ucha słyszę, jak ktoś z rozbawieniem szepcze: „co za potworne dziewuchy...”.

Chociaż poznałam fundatorkę na żywo – czy może powinnam powiedzieć „na nieżywo” – bycie tu bez Talii służącej jako bufor między nami

wydało mi się nagle na tyle przerażające, że zapragnęłam się stąd jak naj-
szybciej zabrać.

Wpadłam już na rozwiązanie ostatniej zagadki – wiedziałam, co jest
duszą żyjącą w centrum tego, co założyciele stworzyli; musiało chodzić
o Lady's Lake. To chciałam sobie jednak zostawić na koniec. Pomyślałam
o tym miejscu jako o domknięciu okręgu, jako o kulminacji, jako o czymś,
co powinno stać się finałem. Jednak „sen Caelii” wciąż mi umykał. Co to
mogło być? Gareth kiedyś powiedział mi coś szczególnego o swojej przod-
kini, co miało jakiś związek ze snem, poduszką, a może z łóżem...

Cokolwiek to było, musiał mi to powiedzieć dekadę temu, a teraz nie
mogłam przypomnieć sobie, o co konkretnie chodziło.

Wciąż cała pokryta gęsią skórką usiadłam na krawędzi łóżka Talii, scho-
wałam głowę w dłoniach i myślałam. Sen, odpoczynek, łóżko... z każdą
chwilą moja panika narastała. Gareth na pewno już rozwiązał zagadkę:
słowa „sen Caelii” wypowiedział, jeszcze zanim zniknął z zamku Camelot.
A chociaż teoretycznie to Harlowowie byli kujonami najlepiej znającymi
sekrety miasta, wiedziałam, że nie powinnam lekceważyć Rowana, który
dowiódł swojej siły, sprytu i wytrwałości podobnej do mojej. Gdyby
wygrał, nie miałabym z tym problemu. W pewnym sensie byłoby to też
zwycięstwo Linden, z którego mogłabym się tylko cieszyć.

Nie mogłam jednak znieść myśli o kolejnym zwycięstwie Blackmo-
ore'ów; zwłaszcza gdyby wygrać miał księżę dupków Gareth Blackmoore.

Co więcej, teraz, kiedy postanowiłam ją zastąpić, ze wszystkich sił pra-
gnęłam zwyciężyć dla Talii.

– Cholera jasna, gdzie ty jesteś, śnie Caelii? – wymamrotałam, przyci-
skając dłonie do oczu, aż pod moimi powiekami zaczęły się pojawiać muli-
ste plamy. – Kurwa, jak ja cię znajdę?

Wtedy poczułam, jak ogarnia mnie coś podobnego jak wtedy, kiedy
byłam tu ostatnio, na parapecie razem z Talią, i po raz kolejny poczułam
Thistle Grove jako naturalne przedłużenie samej siebie. Tym razem było to
jeszcze bardziej szokujące i niewytłumaczalne – nie byłam już przecież
arbitrką – ale wciąż, niemal bez wysiłku, czułam wszystko. Każde zagłębie-
nie i szczelinę w ziemi, wszystkie zakamarki tego miasta.

I kształt magii, która niczym tkanka łączna albo rzeka płynęła przez nie
wszystkie.

Byłam Thistle Grove, a Thistle Grove było mną – oboje dźwięczący
i żywi.

W moim mieście zrobiło się późno, było już po północy; tłumy turystów pochowały się w ciepłych łóżkach w hotelach i uroczych pensjonatach. Moja świadomość dotarła jednak także do maruderów, wytaczających się z barów, stukających obcasami o mój bruk, wydychających dym papierosowy i śmiejących się w moim chłodnym powietrzu. Cienie dryfowały w moim zaczarowanym lesie, koty leżały na płotach i skradały się po ulicach pod moim księżycem, masa małych zwierząt skrobała o aksamitną zieleni mojej, położonej w centrum miasta, łąki.

A nad zamkiem Camelot unosiła się potężna, czarodziejska wrzawa. Na dziedzińcu Avramovowie utworzyli krąg wokół Talii, która znajdowała się w powietrzu z głową odrzuconą w tył i szeroko otwartymi ustami. Ciemność wylewała się z niej w przeciągłym krzyku przypominającym zawodzenie zjaw.

Z wysiłkiem odwróciłam uwagę od tej sceny. Nie mogłam nic zrobić, żeby im pomóc, a ból, który czułam, obserwując ją, niszczył mój spokój umysłu, głębokie poczucie siebie jako miasta.

Musiałam zobaczyć coś jeszcze, mniejsze poruszenie na cmentarzu. Kolejny element czarodziejskiej nieregularności, znacznie bardziej niewinny, lecz wciąż wyraźny.

Kryptę Caelii Blackmoore na cmentarzu Thistle Grove.

W jednej chwili stałam w jej grobowcu, wdychając zimne, zatechłe powietrze, nieporuszone od wieków. Nie powinno być tu nic prócz ciemności, jednak krypta Caelii świeciła na niebiesko. Na środku pomieszczenia stało ogromne, królewskie łóżce z baldachimem, oczywiście zaczarowane, by powstrzymać postępującą zgniliznę. Czułam zapach żółtych i białych płatków róż rozrzuconych na poduszkach, równie świeżych co tego dnia, kiedy rozrzučili je tu Blackmoore'owie chowający swoją matriarchinię.

Ledwie je zobaczyłam, przypomniałam sobie wreszcie, co Gareth powiedział mi pewnego słonecznego dnia dawno temu, kiedy leżeliśmy razem pod jedną z wielu płaczących wierzb w Tintagelu, pod chmurami wyłaniającymi się z jej opadających liści. Mówił wtedy, że Caelia Blackmoore chciała, by jej łóżce zostało zachowane w miejscu jej pochówku i obsypane płatkami róż; tak by jej duch miał zawsze miejsce, gdzie mógłby wracać i spać słodko nawet po śmierci.

Wizja ducha Caelii powracającego na łóżko, z dłońmi skrzyżowanymi na piersi i złotymi włosami rozsypanymi na poduszce, była dziwnie piękna. Było w niej coś jednocześnie groźnego i upiornie romantycznego – dokład-

nie taką kuszącą informacją warto przekazać dziewczynie, którą zamierza-
łeś rzucić jakąś miesiąc później.

Przyszło mi teraz do głowy, że matriarchini Blackmoore'ów musiała być
pobłażającą sobie hedonistką, która po prostu bardzo kochała swoje łóżko,
z czym mogłam się zresztą w pełni utożsamić.

W odróżnieniu od lustra Avramovów, tu nie czułam żadnej obecności,
oddechu samej Caelii. Tylko wszechogarniającą ciszę krypty i słaby, lecz
uparty wiatr, który przeciskał się przez szczeliny – i blask dwóch niebie-
skich róż, które unosiły się nad poduszką. Ich kolce były lekko zakrzy-
wione, a płatki miały idealny kształt.

A więc Rowan jeszcze tu nie dotarł, to już coś... Choć nie miałam poję-
cia, ile żetonów udało się zgarnąć Garethowi. Mógł mnie przecież wyprze-
dzić, mógł dotrzeć już nad jezioro, może nawet do zamku Camelot, ze
wszystkimi artefaktami w dłoni.

Sięgnęłam po jedną z róż, a jej światło wniknęło w moją dłoń. Myśl
o tym, jak mało zostało mi czasu, przesypywała się przez moją głowę jak
piasek w klepsydrze.

Zamknęłam oczy i przeniosłam się myślami nad Lady's Lake.



Zwycięstwo należy do...

Talia mówiła mi, że pięknie wyglądam w świetle księżyca. To samo można było powiedzieć o Jeziorze Damy.

Księżyc w pełni odbijał się w czarnym jedwabiu jego powierzchni, a wokół niego lodowe gwiazdki migotały jak świetliste wróżki zatopione w głębinach. Miałam wszechogarniające poczucie wielkości, dzikiej, ogromnej magii, która zapierała dech w piersiach. Święte niebo i jego wodny bliźniak; klejnot jeziora na wzgórzu i świetliste miasto u jego podnóża, gdzie cała ta magia spływała niczym czarodziejska kaskada.

Jak na górze, tak na dole. Wszystkie czarownice uczyły się tego w dzieciństwie.

Gdzieś głęboko pod wodą, kilka metrów od brzegu, widziałam zamgloną smugę błękitu. Musiałam tam popłynąć, a potem zanurkować w jeziorze – które teraz musiało już być przejmująco zimne. Rowan przepłynął je podczas pierwszego wyzwania, ale wtedy było nieco cieplej; on poza tym z pewnością znał co najmniej jedno sympatyczne zaklęcie egzotermiczne.

W odróżnieniu ode mnie.

Zdjęłam kardigan i ściągnęłam buty, pozbyłam się wszystkich przedmiotów, które obciążąłyby mnie po zamoczeniu. Ledwie dotknęłam palcami stóp zimnej trawy, zaczęłam szczękać zębami. Podeszłam na skraj jeziora i uklęknęłam. Zanurzyłam palce w wodzie; zimno w jednej chwili wsiąknęło mi w skórę, a potem wbiło mi się w kość, zwijając mi stawy niczym artretyzm w płynie.

Wyciągnęłam dłoń z powrotem, klnąc pod nosem. Co miałam teraz zrobić, do cholery? Nie miałam czasu, żeby wybrać się do najbliższego sklepu sportowego i nabyć piankę.

Kucnęłam i objęłam kolana ramionami, wściekła, że powstrzymuje mnie coś tak przyziemnego. Gdyby Gareth i Rowan się tu pojawili, oznaczałoby to mój koniec: ta przeszkoda nie zatrzymałaby ich na dłużej niż minutę. Był to jeden z powodów, dla których Harlowowie nie brali udziału w turnieju: nasza magia była słaba i, jak przzerośnięta Złotowłosa, nie byliśmy w stanie poradzić sobie nawet z ekstremalnymi temperaturami.

No chyba że chodziło o napoje. Na tę myśl przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Nawet jako dziecko zawsze potrafiłam podgrzewać i chłodzić moje napoje, aż osiągnęły idealną temperaturę. Oczywiście nie próbowałam zrobić tego samego z galonami wody w jeziorze, ale co by było, gdyby...

Wstałam i przywołałam zakłęcie umiaru, jedyną magiczną sztuczkę, w której Harlowowie byli naprawdę niezli.

Kiedy ciepła, iskrząca magia zbierała się w moich dłoniach, powoli przeciągnęłam nimi po ciele, od podeszew stóp po czubek głowy. Zaczarowałam siebie w taki sposób, by woda, której dotknę, przyjęła przyjemną temperaturę kąpieli. Nie dając sobie czasu na zastanowienie ani na wątpliwości, pobiegłam w stronę jeziora. Zacisnęłam mocno powieki, jeszcze zanim moje stopy dotknęły nakrapianej gwiazdami czerni. Przygotowałam się na paraliżująco lodowate dotknięcie wody na skórze, na zimno wlewające mi się do uszu i do nosa.

Poczułam jednak rozkoszne ciepło, owijające mnie wszędzie prócz tych kilku miejsc, których nie udało mi się osiągnąć czarującymi dłońmi. Przejmujące zimno czułam pomiędzy łopatkami i pod lewą pachą, której nie poświęciłam najwyraźniej dość dużo czasu.

Ale mogłam to spokojnie wytrzymać przez czas potrzebny, by dotrzeć do zatopionych żetonów – a były to dwa unoszące się w wodzie kwiaty ostu, podobne do tego, który miałam wytatuowany na ramieniu. Drobną, kwiecistą broń z najeżonymi główkami i ostrymi listkami.

„A zatem albo Rowan, albo Gareth był tu przede mną” – pomyślałam ze smutkiem, kiedy wyciągnęłam dłoń, by dotknąć jednego z kwiatów. A zatem albo ktoś już zwyciężył, albo nie zachował tego miejsca na koniec.

Ledwie moje palce zacisnęły się wokół łodyżki ostu, zakłęcie portalu zaciągnęło mnie z powrotem do zamku Camelot.

Dysząc ciężko i ociekając wodą, zmaterializowałam się dokładnie tam, skąd się przeniosłam – przed murami zamku, między Garethem a Rowanem. Delilah górowała nad nami jak ludzki drapacz chmur. Dwaj pozostali

zawodnicy mieli oszołomione miny, jakby ich powrót tutaj zaskoczył ich tak samo jak mnie.

– Jasna cholera – skrzywił się Gareth. – Ja przecież nie...

– Talia? – spytałam z niepokojem, poszukując Avramovów w zebranych tłumie. Nie dostrzegłam ani jednego. – Czy ona... czy oni wszyscy jeszcze tam są?

– Zawodnicy – zagrzmiała Delilah, zwracając na siebie moją uwagę. – Pokażcie dłonie.

Gareth i ja unieśliśmy nasze prawe dłonie, Rowan – lewą. Z naszych rąk wystrzeliło niebieskie światło, które ukształtowało się w zebrane przez nas żetony. Te wznosiły się w kręgu ponad naszymi głowami. Wyginając szyję, zobaczyłam, że Rowan zebrał owoc głogu Alastaira, pióro Eliasa, granat Margarity i oset znad Lady's Lake, ale róży Caelii nie. Gareth miał głóg i granat oraz różę Caelii, ale brakowało mu wciąż pióra Eliasa i ostu znad jeziora.

Tylko ja miałam pięć żetonów.

Tylko ja zdobyłam je wszystkie.

Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, szczęka mi opadła. Żetony nad naszymi głowami krążyły coraz szybciej i szybciej, aż z szafirowym błyskiem moje splotły się w srebrny wieniec, a te Garetha i Rowana zniknęły.

Kiedy świeży wieniec pofrunął nad wyczekującą dłoń Delilah, w tłumie rozległy się zduszone okrzyki. Uśmiech przemknął przez jej tytaniczne wargi, rozłożyła ceremonialnie ramiona. Zatrąbiła głośno:

– Zwycięstwo w siódmym turnieju Thistle Grove... dla rodu Avramovów zdobywa ich zawodniczka z rodu Harlowów!

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć – powiedziałam, splatając palce na kubku gorącego kakao.

Siedziałam w salonie z rodzicami, zwinięta na kanapie w puszystych skarpetach mamy. Za oknem nadchodził świt; różowe i złote nici wplatały się w perłową szarość nieba jak połyskujący haft. Po powrocie z zamku Camelot nie było mowy o spaniu, więc razem czuwaliśmy nad Talią; wygnanie zajęło całą noc i najwyraźniej wciąż nie dobiegło końca. Chociaż Avramowowie z pewnością usłyszeli, jak Delilah ogłasza moje/ich zwycięstwo, byli zbyt zajęci odprawianiem rytuału, by się tym właściwie przejąć. Zakładałam, że jako pierwsi dowiemy się, kiedy skończą i Talia wróci do siebie.

Raz po raz powtarzałam sobie, że to się na pewno stanie; nie dopuszczałam do siebie żadnych negatywnych myśli. Od instagramowych czarownic nauczyłam się, jak ważne jest trwanie w nadziei pomimo wszystko.

Miałam też nadzieję, że kiedy już do siebie wróci, znów będzie chciała ze mną rozmawiać – bo nie mogłam się doczekać, żeby opowiedzieć jej o tej cudownej chwili, w której Gareth zdał sobie wreszcie sprawę z ogromu swojej porażki.

– To jakieś szaleństwo – ciągnęłam, popijając kakao. – Nie powinnam w ogóle znaleźć róży Caelii. Strasznie długo zastanawiałam się nad tą wskazówką.

Ojciec zmarszczył brwi i odstawił kubek na stolik. Przez całą noc mało rozmawialiśmy; po wzniesieniu obowiązkowego toastu szkocką, głównie siedzieliśmy razem w milczeniu.

– To jak ci się to udało? – zapytał z zainteresowaniem. Wnikliwy umysł naukowca uruchomił się jak silnik napędzany ciekawością.

– Sama nie wiem – przyznałam. – W pewnym sensie Thistle Grove pokazało mi, gdzie szukać. Wiem, że to brzmi kretyńsko, ale tak właśnie było.

Próbowałam wytłumaczyć mu wielowarstwową świadomość, sposób, w jaki stopiłam się z esencją miasta.

– Przydarza mi się to, odkąd wróciłam – ciągnęłam. – Czuję się, jakbym... jakoś łączyła się z Thistle Grove. Rozumiem, że to brzmi niepokojąco, ale nie ma w tym nic strasznego. Myślałam, że ma to związek z magią płaszcz, bo tylko to się zmieniło po moim powrocie. Ale potem przekazałam płaszcz Lilah i wciąż to czułam...

– To nie płaszcz, iskierko – powiedział tata, a w jego uśmiech zakradł się cień smutku. – To ty. Twoja krew Harlowów.

– Krew Harlowów? O czym ty mówisz? – Nie rozumiałam.

– Pewna część naszej historii zarezerwowana jest jedynie dla starszyzny – powiedział, odkasłując. – Rola, którą nasza rodzina odgrywa w tym mieście. To Elias Harlow odnalazł to miejsce, usłyszał jego wołanie w dalekiej Wirginii. Był już tutaj, kiedy, niewiele później, dołączyła pozostała trójka – a oni mogli tu przybyć tylko dzięki temu, że złagodził magię na tyle, by oni też ją poczuli. Uczynił ją... dostępną dla pozostałych czarowników.

Na powierzchnię mojego umysłu wypłynęły zaskakujące słowa Margarity. „Za życia był strasznym nudziarzem, ale to miasto bez jego pracy byłoby niczym”.

– Wciąż nie rozumiem.

– Magia Thistle Grove pochodzi z jeziora – ciągnął. – Nie wiemy, dlaczego ani jak, ale wszyscy wiemy, że tak jest. Wydobywa się jednak z niego w surowej formie jako gwałtowny prąd, dziki i nieposkromiony. Dla większości czarodziejów próba czerpania z niej byłaby jak przyłożenie ust do węża pożarniczego. Ale nie dla Eliasa. I nie dla nas, jego potomków, w których żyłach płynie jego krew. Kiedy magia przeniknie przez nasze dusze, staje się potężnym źródłem mocy dla innych posiadających dar. To znaczy dla pozostałych rodzin.

Przycisnęłam palce do skroni, które zaczęły mnie boleć z wysiłku. Nigdy nie przysłoby mi do głowy, że intensywność, z jaką odczuwam Thistle Grove, nie jest taka sama dla wszystkich wiedźm. Skąd miałabym wiedzieć, że pozostali czują się inaczej?

– Czyli jesteście jak filtry? – zapytałam.

– Tak, bardzo dobrze! – zawołał z szerokim uśmiechem, jakby zamierzał mi przylepić złotą gwiazdkę w nagrodę. – Wszyscy Harlowowie z Thistle Grove są jak sito. Ale to rozcieńczanie magii... paradoksalnie czyni nas słabszymi od pozostałych rodzin. Prawdopodobnie dlatego, że większość naszego daru zajęta jest przez cały czas filtrowaniem surowej magii, tak by stała się bardziej posłusznym paliwem.

Niestety, było to w pewien sposób logiczne. Byliśmy zajęci destylowaniem czegoś tak ogromnego, tak żywiołowego, że proces ten pozostawiał niewiele miejsca na prawdziwe zaklęcia, które moglibyśmy rzucać sami. Nasze magiczne twarde dyski były niemal pełne, tak że procesorowi brakowało mocy.

Jak mówiła babcia Caro, kiepsko wyszliśmy na tym układzie. Musiała mieć to na myśli, gdy wypowiadała słowa: „To miasto płynie w twojej krwi, nawet jeśli jeszcze nie do końca to rozumiesz”.

Wtedy sądziłam, że to jakaś metafora. Teraz nabrała więcej sensu – ale jedno wciąż pozostawało dla mnie niejasne.

– W takim razie czemu moja magiczna moc po opuszczeniu miasta nie stała się silniejsza, lecz słabsza? – zapytałam.

– Bo życie w tym mieście zmieniło wszystkie rodziny, odmieniło fundamentalną strukturę naszego rzucania zaklęć – odparł, poprawiając sobie okulary palcem wskazującym. – Jesteśmy już przyzwyczajeni do mocy jeziora, zależymy od niej. Stała się częścią zarówno nas samych, jak i mia-

sta – magicznym paliwem, po które instynktownie sięgamy, z którym potrafimy najlepiej pracować. Poza jego zasięgiem nasze dary słabną.

– Czemu więc nie czułam tego, zanim wyjechałam? – spytałam. – Czemu nie czułam miasta? Wszystko zaczęło się dopiero wówczas, kiedy dotknęłam oryginalnego grymuaru.

– Jeśli dobrze się zastanowisz, przypomnisz sobie, że wszystko zaczęło się już wtedy, kiedy wróciłaś do miasta na turniej w oficjalnej roli dziedziczki Harlowów – poprawił mnie ojciec i faktycznie miał rację: przypomniałam sobie, jak przyплыw magii, większej niż cokolwiek, czego doświadczyłam do tamtej pory, przywitał mnie, kiedy przekroczyłam granice Thistle Grove. – To był początek przeniesienia ze mnie na ciebie.

– Jakiego przeniesienia? – Aż zakręciło mi się w głowie. Dotąd nie zmrużyłam oka, byłam wykończona wczorajszą pracą arbitra i opadała ze mnie adrenalina po szaleństwie, jakim było ostatnie wyzwanie. Choć wciąż bałam się o Talię, zaczynałam odpływać.

– Senior rodu Herlowów jest kimś w rodzaju... awatara miasta – powiedział. – Choć wszyscy członkowie naszego rodu biorą udział w destylacji, tylko jeden z nas w danym czasie zachowuje tak bliski związek z Thistle Grove. Teraz, kiedy wróciłaś i jesteś już w odpowiednim wieku, by wziąć na siebie tę rolę, moc ta przenosi się ze mnie na ciebie.

– A co by było, gdybym nie wróciła?

– Wtedy moc przeniosła się na Delilah, podobnie jak rola arbitra.

A jednak wróciłam i za jednym zamachem popsułam kuzynce wszystkie szyki.

– Czemu nic z tego nie jest zapisane w grymuarze? – zapytałam, masując pulsujące skronie. To całkowicie zmieniało moją pozycję w mieście. My, Harlowowie, nie byliśmy jedynie kronikarzami, ale kimś znacznie ważniejszym i dziwniejszym. A jednak, myślałam z rosnącą irytacją, nigdy dotąd mi o tym nie wspomniano. – Nie ma o tym ani słowa w historii o powstaniu Thistle Grove. Czemu w życiu o tym nie słyszałam?

Gdybym wiedziała o tym wcześniej, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Być może nigdy nie byłabym osobą, która może zostać w taki sposób skrzywdzona przez Garetha. Być może nawet nigdy bym nie wyjechała, zbyt świadoma własnej wartości, by ktoś taki jak on mógł mną wstrząsnąć.

Być może też – zastanawiałam się nad tym jeszcze głębiej – to właśnie dlatego długie panowanie Blackmoore'ów nie szkodziło Harlowom. Być może jako „magiczne przewody” byliśmy odporni na wahania spowodowane

wane przez wyniki turnieju, nawet jeśli sami nie czerpaliśmy z nich korzyści.

– To taki podstęp – przyznał. – Elias uznawał tę rolę za wielki przywilej, niezrównany zaszczyt. Nie chciał, żeby dostąpił go ktoś, kto nie kocha tego miasta na tyle, by zostać tu, nawet nie mając daru, będącego nagrodą za wierność. Gdyby więc dziedzic Harlowów wyjechał, nim przekazana mu została zdolność komunii z miastem...

– ... nigdy by jej nie zaznał – dokończyłam chłodno. – Łał. Co za stary złośliwiec.

– Też tak uważam – wyszeptała w swój kubek mama, która odezwała się po raz pierwszy od dawna. – No co, James? Trzymanie tego daru w tajemnicy to absurdalny, archaiczny nonsens. Zawsze tak było. Dobrze o tym wiesz.

– To tradycja – zaprotestował tata.

– To patriarchalne bzdury – podsumowała, unosząc brwi ponad krawędzią kubka. – Jakby nawet nie zastanowił się nad konsekwencjami dla pozycji swojej rodziny. Miasto, które dziś znamy, nie mogłoby istnieć bez Harlowów – i przydałoby się, żeby pozostałe rody zaczęły to łaskawie zauważać.

– Czekajcie, czy to dlatego nie bierzemy udziału w turnieju, a tylko w nim sędziujemy? – zapytałam, coraz bardziej wkurzona. – Może byśmy zbyt często nie wygrywali, ale zwycięstwo daje przecież dużą przewagę, a nam nie jest dane nawet spróbować! I to niby dlaczego? Bo mamy się cieszyć naszym „odczuwaniem miasta”, jakby zwycięzcy turnieju nie dostawali żadnych innych nagród?

– Elias wierzył, że bycie głosem, duszą Thistle Grove powinno wystarczać każdemu czarownikowi – powiedział ojciec, bezradnie wzruszając ramionami. – Podejrzewam, że długie życie, szczęście i całą resztę uważał za mniej istotne.

Podczas gdy pozostałych przodków zobaczyłam ostatnio w całkiem nowym świetle, Elias Harlow okazywał się dokładnie takim nudziarzem, jakiego się spodziewałam – a co więcej, nudziarzem niezbyt ambitnym. Owszem, miał rację, że poczucie komunii z Thistle Grove jest spektakularne, niemal niewypowiedziane cudowne; wydawało się jasne, że ojcu będzie go bardzo brakować, kiedy mi je w pełni przekaże. Ale po co nakładać na własnych potomków takie ograniczenia? Czemu nakazywać nam bycie tylko tym i niczym więcej? Czy Elias miał w ogóle prawo zadecydo-

wać, że kolejne pokolenia czarowników z Thistle Grove nic innego nie będą chciały od życia?

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że gdybym trzysta lat wcześniej była na jego miejscu, postąpiłabym zupełnie inaczej.

Ale tak czy inaczej to odkrycie zmieniło moją sytuację w niespodziewany sposób.

– A więc, jeśli wyjadę – powiedziałam ponuro – utracę tę moc na zawsze. Przeniesie się na Delilah.

– Niestety tak – pokiwał głową ojciec, a okulary zsunęły mu się z nosa.

– Tak to właśnie wygląda, isquierko.



Więcej niż dość

Nie widziałam Talii aż do balu maskowego w wigilię Samhain, podczas którego miała zostać uroczyście koronowana jako zwyciężczyni turnieju.

Elena poinformowała mnie, że jej córka doszła do siebie; ostatnie z nawiedzających ją duchów zostały wygnane o świcie. Avramovowie zakończyli swoje egzorcyzmy mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ja odkrywałam, że moją relację z Thistle Grove wypadałoby podsumować frazą „to skomplikowane”. Sama Talia nie odezwała się jednak do mnie, nie podziękowała nawet, że zajęłam jej miejsce i zwyciężyłam w jej zastępstwie. Nie w tym celu to zrobiłam, ale i tak jej zachowanie było wymowne. Pomyślałam, że to, co wydarzyło się między nami w wieczór seansu, jest dla niej wciąż zbyt bolesne.

Ja też się z nią nie skontaktowałam. Nie chciałam tego robić, póki nie będę wiedziała, co jej powiedzieć.

Większość czasu od zakończenia turnieju spędzałam z Jasperem nad Jeziorem Damy. Patrzyłam na przesuwające się na niebie słońce, pozwalając, by zalewały mnie kolejne fale magii roztaczającej w powietrzu zapach kadzidła. Łączyłam się z miastem, aż ziemia wydawała mi się równie znajoma co własna skóra, wiatr równie znajomy co oddech, lepka żywica równie znajoma co krew płynąca w moich żyłach, tyle tylko, że jej przepływ realnie czułam w sobie.

Wciąż się zastanawiałam, czy to mi wystarczy. Czy to może mi wystarczyć? A jeśli nie i postanowię wyjechać, jak mogłabym zapomnieć, jak cudownie było tu wrócić, znaleźć w tym mieście stare i nowe rzeczy do pokochania? Z kolei gdybym została, wciąż nie miałabym magicznej mocy porównywalnej do pozostałych rodzin – a znałam siebie już dość dobrze, by

wiedzieć, że to ograniczenie wciąż będzie mnie dręczyć. Zwłaszcza teraz, kiedy byłam świadoma własnego wkładu w ich moc.

No i, przede wszystkim, musiałam rozważyć kwestię Talii. Jeśli ona po wszystkim wciąż nie zmieniła zdania na mój temat.

Dzień przed balem podskoczyłam, zaskoczona, kiedy Delilah zakradła się cicho jak duch i usiadła koło mnie; nawet Jasper nie zauważył, że się zbliża.

– Wiesz, to wzgórze nie należy do ciebie – zauważyła, widząc moje zaskoczenie, i uśmiechnęła się półgębkiem. – Chociaż wyraźnie go strzeżesz.

– Sorry – powiedziałam, dusząc śmiech. – Nie chciałam przywłaszczyć sobie Lady's Lake. Chociaż wygląda na to, że w sumie bym mogła.

Kuzynka przechyliła pytająco głowę. Teoretycznie miałam nie mówić o swoim statusie nikomu, kto nie był seniorem, ale szczerze mówiąc – jebać dziadka Eliasa i jego sztywniackie zasady. Delilah należała do Harlowów i jeśli ktokolwiek zasługiwał na to, by poznać nasze skomplikowane dziedzictwo, to właśnie ona.

Właśnie w tym momencie mogłam zacząć zmieniać zasady gry, dynamikę władzy, zgodnie z którą pozostawaliśmy zawsze odstawieni na boczny tor.

– Wiedziałam – odparł, kiedy skończyłam mówić, i klepnęła się dłonią w kolano. – Wiedziałam, że Elias nie był jedynie jakimś bezwartościowym skrybą.

– I miałaś rację. Chociaż mnie nie wydaje się też godny szczególnych zachwytów. Wiele jego decyzji budzi moje wątpliwości.

Pokiwała lekko głową, jakby nie chciała się w tej kwestii spierać.

– No to co teraz zrobisz? – spytała, patrząc mi prosto w oczy. Muszę przyznać, że tym razem nie czułam z jej strony presji ani osądu. – Podjęłaś decyzję?

– Jeszcze nie wiem – przyznałam, opierając podbródek o kolana. Poczulałam na policzkach lekki, chłodny wiatr. – Przykro mi, Lilah. Wiem, że ta decyzja wpływa nie tylko na mnie – wiem także, jak ogromne znaczenie miałby dla ciebie mój wyjazd. Ale muszę rozważyć wiele czynników.

– Chodzi o twoją pracę w mieście, prawda? – pokiwała głową. – No i oczywiście o Talię Avramov. Nie patrz tak na mnie, Emmy, nie jestem ślepa. Mam nawet serce. To oczywiste, że ona wiele dla ciebie znaczy.

– To prawda – wymamrotałam przez zaciśnięte gardło. – A praca... ow-
szem, ona też ma znaczenie. Chicago ma znaczenie. No ale są też moi
rodzice, Lin, to wszystko, co sprawia, że chciałabym tu zostać.

– Ja to naprawdę rozumiem, wiesz? – Pokręciła głową krzywiąc się
lekko. – Wiem, co to znaczy, chcieć wielu rzeczy jednocześnie. To dla mnie
całkiem znajoma sytuacja.

– Lilah, powinnaś pracować w Woluminach – wypaliłam nagle. –
Naprawdę. Niezależnie od tego, czy wyjadę, przynajmniej tyle ci się należy.

– Bardzo bym tego chciała. – Kąciki jej ust uniosły się nieśmiało, jej
lśniące loki trzepotały na wietrze. Uniosła dłoń, żeby zebrać je z twarzy,
nim znów na mnie spojrzała. – Może... mogłabyś się za mną wstawić
u wujka Jamesa? Przydałaby mu się pomoc, ale sama wiesz, jaki on jest.
Trzyma miejsce dla swojego skarbeńka. Jeśli mówisz serio, jeśli jesteś
gotowa zrzec się Woluminów... musisz go o to poprosić, Emmy. Musi mieć
pewność, że nie daje ci po prostu kolejnego powodu do wyjazdu.

– W takim razie zapewnię go, że ma w tej kwestii moje błogosławień-
stwo – powiedziałam, odruchowo chwytając ją za rękę. – OK? Wiem, że
w przeszłości nie byłam dla ciebie zbyt hojna i może... nie, na pewno była
to tylko moja wina. Ale to naprawdę chciałabym dla ciebie zrobić.

Uśmiechnęła się szerzej i ścisnęła moją dłoń w odpowiedzi. Siedziały-
śmy tak przez kilka minut, ręka w rękę, wygrzewając się w czarach dobie-
gających znad jeziora. Dwie córki Harlowów na szczycie swojego wzgórze.

– Jeśli zostaniesz – powiedziała wreszcie Delilah, przerywając przyjazną
ciszę – mam nadzieję, że zrobisz to nie tylko ze względu na twoją komunie
z miastem. Mam nadzieję, że zostaniesz, bo naprawdę ci się tu podoba i nie
wyobrażasz sobie, że mogłabyś zapaść korzenie gdzie indziej. Bo to mia-
sto tylko na to zasługuje, Emmy. To miasto i my, jego mieszkańcy.

Kiedy weszłyśmy z Linden do ozdobnej sali balowej Tintagelu – zwień-
czone łukami okna wypełniały misterne witraże, na wysokim, katedralnym
suficie widniały wizerunki heraldycznych bestii i wysp spowitych mgłą,
pod stopami migotała marmurowa mozaika nakrapiana złotem – w gęstym
tłumie bawiących się gości nie zauważyłam Talii.

Chociaż rzucała się w oczy, w taką noc jak dzisiejsza była z pewnością
trudniejsza do rozpoznania; koronacja, przypadająca zawsze w wigilię
Wszystkich Świętych, odbywała się podczas balu maskowego.

– Jesteś gotowa, Em? – spytała mnie Linden, która kroczyła ze mną pod ramię. Była przebrana za nagietek: w lśniącej złotej sukience i z wiankiem na głowie, twarz ukryła za zwiewną, żółtą maską. Barwy te pięknie kontrastowały z głębokim brązem jej skóry; wyglądała bardziej jak słońce niż jak kwiat.

– Bardziej gotowa już nie będę – odparłam. Choć pragnęłam zobaczyć się z Talią, jednocześnie strasznie się denerwowałam. Nawet w najspokojniejszych chwilach była jak burza i nie miałam pojęcia, czego mogłam się po niej spodziewać dziś. – Przynajmniej nie szczydzili wina.

Udało nam się do niego dostać, ledwie przyszyliśmy; kieliszki były chłodne, cieniutkie jak wafle, niemal nic nie ważyły. Wino smakowało jak bardzo drogie suszone wiśnie namoczone w mleku; jego smak był absurdalnie zrównoważony i łagodny. Okazuje się, że niektóre spośród najlepszych rzeczy na świecie jednak da się kupić.

Blackmoore'owie absolutnie nie hamowali się w wydatkach, chcąc pewnie pokazać, że ich porażka nie miała najmniejszego wpływu na ich poczucie własnej wartości. Ekstrawagancki bufet, złożony z czarodziejsko samouzupełniających się eleganckich przystawek, dymiących pieczeni i maleńkich, lukrowanych ciasteczek, rozstawiony był na stołach bankietowych wzdłuż jednej ze ścian. Ponad naszymi głowami ogniste jesienne liście układały się w ozdobne wzory niczym kolaż pozostający w nieustannym ruchu, zaś pokój oświetlały setki miniaturowych księżyców przechodzących swoje kolejne fazy. Nie wiem, jacy słudzy Blackmoore'ów mieli za zadanie przez tak długi czas rzucać te wymagające zaklęcia, ale naprawdę czekało ich dużo pracy.

Nawet Blackmoore'owie nie byli jednak w stanie całkiem zamaskować straty morale; ponurego całunu, który nad nimi zawisł. Z tego, co widziałam, Gareth nawet się nie pojawił: pewnie lizał gdzieś rany, zbyt zawstydzony, żeby się pokazać; albo może za karę został zmuszony do rzucania jakichś wyjątkowo skomplikowanych zaklęć. Było to mało prawdopodobne w przypadku tak rozpieszczonego bachora, ale bawiła mnie ta myśl. Avramowie dla odmiany wydawali się gotowi na imprezę: klepali się w ramiona, podśpiewywali kawałki dziwnych pieśni i zasadniczo, jak na nich, doskonale się bawili.

Nagle rozstąpili się, by przepuścić Talię, która zauważyła mnie i Lin i ruszyła w naszym kierunku.

Miała na sobie gorset barwy morwy ze skóry i satyny, a do niego sięgającą ziemi grafitową spódnicę z wielu warstw tiulu; przypominała niesamowicie punkową pannę młodą. Jej srebrna maska była pokryta łuskami, a oprócz naprawionego granatu miała na szyi wisior w kształcie wilczej głowy. Włosy miała częściowo spięte, a misternie splecione wokół jej głowy warkocze ozdobione były kwiatami ostu.

Wyglądała jak czarny anioł, istota zrodzona w jakimś cienistym raju. Na jej widok serce zaczęło niemal boleśnie walić mi w piersi, a żołądek podszedł do gardła, jakbym jechała windą, która gwałtownie zahamowała.

– A więc mściwe wiedźmy znów się spotykają – powiedziała z chłodnym uśmiechem, kiedy do nas dołączyła. – I świętują zwycięstwo!

– A jakże! – Linden uniosła kielich. – Gratulacje dla wszystkich. A jeśli obawiasz się, że moglibyśmy mieć coś przeciwko, zapewniam, że Thornowie cieszą się waszym szczęściem. Dzięki swojej roli w porażce Blackmore’ów Rowan został w zasadzie ogłoszony bohaterem.

– Nie obawiałam się – przyznała Talia. – Pierwszy raz przyszła nasza kolej. Poza tym złość do ciebie nie pasuje, aniołku.

Przechyliła głowę i spojrzała na mnie zza maski swoimi wilczymi oczami, a mnie oddech uwiązł w gardle.

– Dzięki za ten dar, Harlow – powiedziała tak oficjalnie, że ścisnęło mnie w piersi. – Moja rodzina ma u ciebie dług. A czego by o nas nie mówić, nie zapominamy o naszych przyjaciółach.

A więc znów zwracała się do mnie po nazwisku, a co gorsza, zostałam „przyjaciółką rodziny”. Nagle poczułam falę determinacji. Pieprzyć to.

– Chciałabym zatem skorzystać z waszej łaski od razu – powiedziałam, unosząc podbródek. – I zaprosić cię do tańca.

Talia przez chwilę się wahała, wyraźnie rozdarta. Wolałabym, żeby jej maska była nieco mniejsza, nie zakrywała jej twarzy aż tak dokładnie. Nie wiedziałam, jak czytać nieugięty kształt jej pełnych warg, zaciśniętej szczęki. Czy była to tylko wypracowana fasada, mająca chronić jej prawdziwe uczucia, czy też powinnam porzucić wszelką nadzieję?

Wtedy lekko wzruszyła ramionami i wyciągnęła do mnie rękę.

– Nie jest to szczególnie uciążliwa przysługa. Bardzo proszę.

Podaliśmy kieliszek Lin i wzięłam Talię za rękę. Kiedy poczułam znajome ciepło jej dłoni, przeszedł mnie dreszcz. Pozwoliłam jej zaprowadzić się na parkiet. Całkiem ludzki sextet smyczkowy grający eleganckie, niewyma-

gające melodie w sam raz do bezmyślnego tańca wydał mi się całkiem konwencjonalny w porównaniu do tego, co działo się na gali w The Bitters.

– Puszczyk – powiedziała wreszcie, przyglądając się mojej masce obszytej piórami i sukni z gołębiego jedwabiu i białej koronki. – Ładnie. Tym razem wybrałaś kolory Harlowów?

– Powiedzmy, że jestem już grzeczna – odparłam, starając się brzmieć równie swobodnie co ona, nie okazywać poruszenia jej bliskością, jej dłonią na dole pleców, jej zapachem wnikałym w nozdrza. – Talio, czy ja... czy wolno mi o spytać o duchy?

– Jasne, czemu nie – powiedziała, wzruszając ramieniem, jakby bycie opętana przez legion duchów nie było znowu aż tak godne uwagi. – Czy będę o tym mówić, czy nie, przez dłuższy czas z pewnością o tym nie zapomnę. Było... to było serio kurewsko straszne. Ale też fenomenalne, nigdy nie doświadczyłam nic tak podniecającego. Byłam pewna, że umrę, jeśli to potrwa choć chwilę dłużej, a jednocześnie nie chciałam, by się kiedykolwiek skończyło. Naprawdę trudno to opisać.

Przełknęłam ślinę: nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, jak się czuła, zawieszona między dwiema stronami przeszłości.

– Tak mi przykro, że ci się to przydarzyło.

– Nie martw się. To akurat naprawdę nie twoja wina – powiedziała takim tonem, jakby był to absolutny wyjątek. – Wszyscy chcieliśmy spróbować. I udało się, czyż nie? Dzięki tobie załatwiliśmy tych dupków tak, jak na to zasłużyli. Sabat odrzuconych tobie zawdzięcza ostateczne zwycięstwo.

Czemu więc nie byłam szczęśliwsza? – zastanawiałam się smutno. Nie czułam między nami ani śladu tej elektrycznej energii, jakby została zdmuchnięta i zniknęła jak lotne pierwiastki o bardzo krótkim czasie półtrwania.

Fakt, że już jej nie czułam, nie oznaczał przecież, że jej nie ma, ale jedynie, że się ukryła. A to wszak potrafiłam zrozumieć.

– Zostaję – powiedziałam pospiesznie, zanim zdążyłam zwątpić w to, co zamierzałam jej powiedzieć. – Przynajmniej na dość długo, by przekazać potomności tę szaloną historię. Potem zobaczymy. Ale dałam już znać Enchantify, że chcę pracować zdalnie, i nie mają nic przeciwko pod warunkiem, że co miesiąc wpadnę na kilka dni spotkań. Zamierzam wynająć moje mieszkanie w Chicago i znaleźć w zamian coś tutaj.

Widziałam, jak brwi Talii unoszą się za jej maską, ale nie odezwała się, jakby była zbyt zaskoczona.

– Miałaś rację – dodałam. – Ukrywałam się. Myślałam, że zdołam stać się kimś innym, nowym... Ale okazuje się, że być może wcale tego nie chcę. Może chcę być tym, kim miałam być od początku: dziedziczką Harlowów, wiedźmą z Thistle Grove. A wiedźmy z Thistle Grove zawsze wracają.

Jej usta poruszyły się lekko, zanim znów zacisnęła wargi, ale był to jedyne dowód na to, że mnie w ogóle usłyszała.

– Przyszedł mi do głowy taki... dość szalony pomysł – ciągnęłam, nieco zdeprymowana jej obojętnością. – Żeby wejść we współpracę z Arcane Emporium przy tworzeniu comiesięcznych ekskluzywnych pudełek. Mam nadzieję, że zwycięstwo w turnieju i tak ściągnie do was więcej turystów, ale historia tego miasta i twój vibe seksownej wiedźmy czynią z Avramów internetowe złoto. Myślę, że udałoby mi się przedstawić Elenie solidny *pitch*, pokazać, ile zapasów moglibyście wykorzystać dzięki współpracy z Enchantify.

Przechyliła głowę, zamyślona, ale nadal się nie odezwała.

– Jeśli chodzi o nas, również miałaś rację – walczyłam dalej, chociaż obawiałam się, że zaraz upadnę pod naporem jej nieustępliwego milczenia. – O mnie i o ciebie. Ja też mogłabym poczuć do ciebie coś więcej. Szczerze mówiąc, Talio... chyba już czuję.

A ona w kryształowych oczach miała tylko ciemność i obserwowała mnie w milczeniu.

– Talio, czy mogłabyś się wreszcie odezwać? Błagam. Zaraz tu umrę.

– Czemu to robisz, Emmy? – spytała cichym, lekko chrapliwym głosem, który w niczym nie przypominał opanowanego tonu sprzed chwili. – Muszę znać odpowiedź. Nie może chodzić tylko o mnie. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu, a już na pewno nie wtedy, kiedy chodzi o ciebie. Musi tu czekać na ciebie coś jeszcze. Coś poza nami.

– O to właśnie chodzi, Talio. Jest coś jeszcze – powiedziałam, a serce omal nie stanęło mi w piersi, bo oto wreszcie otworzyła się na mnie. – Pamiętasz, jak... zanim my... no wiesz, w noc seansu, pamiętasz, że wiedziałam, że zaczęło padać? Okazuje się, że to wcale nie dzięki magii płaszcza.

Wy tłumaczyłam jej, na czym polegała moja komunia z Thistle Grove, i opisałam rolę Harlowów w filtrowaniu magii jeziora. Wyjaśniłam, jak moja dogłębna znajomość miasta pomogła mi nawet zdobyć dla niej zwycięstwo w turnieju.

– Bardzo ciekawe – powiedziała, kiedy zamilkłam, niechcący brzmiąc dokładnie jak jej matka. – I masz rację: to totalna bzdura, że nikt nawet nie wie, że Harlowowie są naszą elektrownią. Na waszym miejscu chciałabym, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Kurde, domagałabym się od reszty jakiejś dziesiątej części.

– Pomyślałam, że zacznę od tego, że napiszę o tym w swojej kronice – powiedziałam. – Żeby w przyszłości Harlowowie nigdy już nie wątpili w swoją wartość, w swoje znaczenie dla tego miasta. A to jeszcze nie koniec...

Urwałam na chwilę, zastanawiając się, jak wytłumaczyć, co się stało z moimi marzeniami, co powrót do tego miasta zrobił z moim sercem. Co pomogła mi zrozumieć Delilah, na swój dosadny, zgryźliwy sposób.

– Chodzi też o to, że uwielbiam to miejsce – dokończyłam. – Samo miasto. Jest takie, jak je zapamiętałam, ale znacznie lepsze. Nawet gdybym nie była jego głosem... chciałabym, żeby znów było moje. Chcę, żeby to było moje miasto.

– I naprawdę uważasz, że to ci wystarczy? – spytała i teraz usłyszałam w jej głosie ledwie powstrzymaną nerwowość, wzbierającą nadzieję podobną do mojej. – Że to ci już na zawsze wystarczy?

– Bez wątpienia – odparłam, ściskając jej dłoń. – Zwłaszcza jeśli będę z tobą.

Uśmiechnęła się lekko i pochyliła, żeby mnie pocałować, a przeze mnie przemknęła radość jak błysk ognia. Otoczyłam jej szyję obydwoma ramionami i przez chwilę kołysaliśmy się tylko, usta w usta, nie dbając o muzykę, zajęte jedynie sobą. W piersi wybuchały mi fajerwerki.

– A tak w ogóle, to ty też miałaś rację – powiedziała, odsuwając się. – Kiedy następnym razem pojedziesz do Chicago, chcę do ciebie dołączyć.

– Czekał... naprawdę?

– Naprawdę – zapewniła mnie z błyszczącymi oczami i delikatnym uśmiechem. – Chcę przynajmniej doświadczyć tego absurdu, jakim jest koktajl za piętnaście dolarów. Podobno nie ma nic lepszego.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, powietrze wypełniło piskliwe brzęczenie; Delilah stanęła na niewielkim podium na przedzie sali. W dłoniach trzymała wieniec. Nie miała już na sobie płaszcz, bo rola arbitra dobiegła końca. Turniej zamykała ceremonia przekazania wieńca.

– Nie ruszaj się stąd, Emmy Harlow – rozkazała Talia. Na jej twarzy znów widniał ten lekko złośliwy uśmiech, który kochałam tak bardzo, że

serce mocniej zabiło mi w piersi. – Uwierz mi, że będziesz to chciała zobaczyć.

– W życiu bym tego nie przegapiła – zapewniłam.

Kiedy stanęła na podium obok Delilah, nie mogłam powstrzymać uśmiechu na myśl o tym, że oto zostaję, że zostaję z nią, że to wszystko prawda. Byłam tak podekscytowana, tak wewnętrznie rozchichotana, że nie słuchałam nawet przemowy mojej kuzynki – z pewnością pieczołowicie przygotowanej.

A wtedy Delilah podała Talii wieniec.

– Czy ty, dziedziczko Avramovów, przyjmujesz Wieniec Zwycięzcy Turnieju i wszystko, co ten tytuł oznacza? – zapytała z uroczystym uśmiechem. Serio, moja kuzynka kochała to rytualne gównno.

– Nie – ogłosiła Talia donośnym głosem, który miał roznieść się po całej sali.

Wśród gości dało się słyszeć zaskoczony szepty, a mnie aż ścisnęło w dołku: co ona wyprawiała? I dlaczego?

A wtedy spojrzała prosto na mnie i, chociaż wciąż nie widziałam jej oczu, przysięgam, że wyczułam przebiegłą, migotliwą iskierkę.

– Przekazuję wieniec i wszystko, co on oznacza – ciągnęła – mistrzyni Emmeline z rodu Harlowów. Zwycięzcy Turnieju Thistle Grove.

Szum zaskoczenia przerodził się w zamęt, wrzawę chaotycznych okrzyków.

– Czy ona w ogóle może to zrobić? – zawołał ktoś, a zamieszanie tylko się wzmogło, kiedy Delilah pokiwała głową, bezradnie rozkładając ręce, lekko tylko zirytowana, że Talia całkowicie odwróciła uwagę od niej.

Wtedy Linden znalazła się koło mnie, uśmiechając się od ucha do ucha. Klepnęła mnie w tyłek.

– Słyszałaś, prawda? Idź po ten wieniec, tygrysico.

– Wiedziałaś, że to zrobi? – zapytałam. W uszach mi dudniło, a serce waliło w piersi tak mocno, że bałam się połamania żeber.

– Nie, ale nie jestem zaskoczona... To ruch w stylu Talii. A co więcej, ma do niego prawo. Zasłużyłaś na nagrodę, Emmy. I teraz ona ci ją daje.

Zachęcona przez Lin, ruszyłam przed siebie, ledwie czując napierający tłum, nim ten rozstąpił się, żeby mnie przepuścić. Moja twarz zdrętwiała, do głowy przychodziło mi tysiąc myśli na minutę – a potem nagle głęboko we mnie rozbłysła iskra podniecenia. Wszystko to, czego nie miałam jako potomkini Harlowów, wszystkie moje blizny i wszystkie tęsknoty... były

już bez znaczenia. Oto bowiem miałam stać się najważniejszą osobą, jaką mogłam sobie wyobrazić. Zwycięzczynią turnieju i głosem Thistle Grove jednocześnie.

Był to początek nowej historii, którą mogłam napisać sama.

Dłonie mi drżały, kiedy weszłam na podium obok Talii, ona jednak uspokoiła mnie, obejmując mnie w pasie i trącając biodrem. Lilah spojrzała na mnie, jakby w połowie cieszyła się moim szczęściem, a w połowie na maksa mnie nienawidziła – co było zresztą na tym etapie całkiem zrozumiałe.

– Czy ty, dziedziczko Harlowów, przyjmujesz Wieniec Zwycięzcy Turnieju i wszystko, co ten tytuł oznacza? – zapytała z pełną irytacji emfazą, jakby chciała powiedzieć: „Błagam, tylko nie róbcie już więcej bałaganu”.

– Tak – odparłam lekko tylko drżącym głosem i tym razem, ku mojemu zaskoczeniu, całą salę wypełniły brawa; wiwatowali Thornowie i Harlowowie, a nawet Avramovowie, kiedy zobaczyli, że ich matriarchini bije mi brawo z porozumiewawczym błyskiem w oku. Na jej ustach błąkał się sardoniczny uśmiech, jakby nie była w pełni zachwycona tym obrotem wypadków, ale uważała go za wysoce interesujący.

Trzeba przyznać, że doświadczyła ze strony Talii wielu podstępów i niespodzianek. Pewnie sama ją tego wszystkiego nauczyła.

W dalekim, lewym rogu sali balowej dostrzegłam wreszcie Garetha z paczką jego kumpli. Bił mi brawo powoli, z ironią, a na jego twarzy malowało się wypracowane znudzenie. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, w oczach miał jednak głęboki – i pełen głębokiej urazy – szacunek. Ukłonił mi się leciutko, jakby mówiąc: „Widzę cię, Emmy Harlow”.

Nie odwzajemniłam ukłonu, ale wytrzymałam jego spojrzenie, aż opuścił wzrok, a na jego szyję wstąpił rumieniec.

Nie potrzebowałam jego uznania, ale wciąż cieszyłam się, wiedząc, że nigdy więcej nie zapomni mojej twarzy.

Wszędzie wokół mnie zawirowały liście, wszystkie wiszące księżycy jednocześnie osiągnęły pełnię. Wieniec wylądował na mojej głowie, a ja zostałam zmieciona z podium zapierającym dech w piersiach wybuchem radości Harlowów. Babcia dosięgnęła mnie jako pierwsza i objęła mnie mocno, ogłaszając: „Jesteś absolutną mistrzynią, moja Emmy... Jestem z ciebie niesamowicie dumna, ptaszyno!” głosem tak dudniącym, że dało się go słyszeć pośród rosnącego zamętu.

Po niej pogratulowały mi ciotki Vivienne i Felicity, a następnie ich partnerzy i dzieci, i kuzyni ojca... i wreszcie moi rodzice, pod których maskami płynęły łzy.

– Jestem z ciebie taka dumna, kochanie – wyszeptała mi do ucha mama, bo biedny ojciec był zbyt wzruszony, żeby w ogóle cokolwiek powiedzieć. – Tak bardzo, bardzo się cieszę.

– Ja też się cieszę, mamó – wydukałam przez łzy. – To dla mnie... wszystko. Więcej, niż kiedykolwiek mogłabym sobie wymarzyć.

Następnie zwróciłam się ku czekającej na mnie Lin; ku przyjaciółce, która była domem, może jeszcze bardziej niż samo miasto. Położyłyśmy sobie nawzajem dłonie na ramionach i dotknęłyśmy się czołami, uśmiechając się do siebie trzpiotowato.

– Udało nam się, Lins – wyszeptałam, zagryzając wargę.

– Naprawdę nam się udało, koleżanko – odpowiedziała, przełykając lśniąca łza za maską z organzy. – We trzy rozwaliłyśmy system. No, z małą pomocą Rowana. A teraz ty masz szansę zbudować nowy.

– To będzie sprawiedliwy system naszych marzeń – zapewniłam ją. – I dziękuję ci za miłość. Nawet jeśli nie zawsze na nią zasługiwałam.

– Przecież dobrze cię znam. Zawsze wiedziałam, że prędzej czy później zasłużysz.

Puściła mnie, zmarszczyła nosek na pożegnanie i raz jeszcze ścisnęła mi dłoń, zanim wróciła do Thornów. Patrzyłam, jak odchodzi, wciąż przełykając łzy. Jakże wielkim szczęściem było dla mnie posiadanie w mojej najlepszej przyjaciółce takiej świątyni, w jej rodzinie zaś – mojej drugiej rodziny; bliskość ludzi tak hojnych, że po latach rozłąki i milczenia przyjęli mnie znów na swoje łono, jakbym była ich córką.

Być może jednak w poprzednim życiu nie zjadłam jakiejś porażającej liczby małych kotków.

Nagle pojawiła się Talia, która zaciągnęła mnie do ciepłej, pachnącej przystani swoich objęć. Przytuliłam ją tak mocno, że aż pisnęła.

– Uważaj, Harlow. Wiem, że jestem teraz twoją ulubienicą, ale nie zabij mnie z miłości. Bo inaczej będę cię nawiedzać przez niezwykle długi czas.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś! – powiedziałam, kręcąc głową, wciąż nie mogąc złapać oddechu. – Po prostu nie wierzę.

– Och, tak będzie lepiej. – Odsunęła się i uśmiechnęła szeroko, widząc moją radość. Kciukami starła mi łzy z policzków. – Powiedzmy sobie szczerze, Avramovowie znacznie lepiej nadają się do działalności wywroto-

wej niż do rządu. A ty będziesz w tym zajebiście dobra. Poza tym to Samhain, prawda? Pomyśl, że dostałaś ode mnie i cukierek, i psikus.

– Ja... dziękuję ci, Talio. Bardzo, bardzo ci dziękuję. – Próbowałam powstrzymać kolejne łzy, przytłoczona i tak szczęśliwa, że ledwie mogłam to znieść.

A więc to mieli na myśli ludzie, kiedy mówili o najpiękniejszej nocy swojego życia. Myślałam, że nie da się jej rozpoznać, kiedy trwa, że da się jej piękno dostrzec dopiero z perspektywy czasu, przez łaskawą soczewkę retrospekcji. Tej nocy jednak byłam w domu, w mieście, które skradło mi serce, z wieńcem na głowie i Talią Avramov w ramionach.

Nie czekało mnie już nic lepszego.

– To zdecydowanie najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam – powiedziałam, gładząc jej ciepły policzek.

– Mawiają o mnie, że jestem niezwykle troskliwa. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, zagryzła dolną wargę i wtuliła się w moją dłoń. – Ale jeszcze mi nie dziękuj. Nie powiedziałam ci nawet, gdzie będziemy świętować.

– Zatem mnie oświeć, kobieto.

– W Piołunowym Apartamencie w naszym domu. Przygotowałam dla nas coś... naprawdę wyjątkowego. – Przeczesła palcami moje włosy i przyciągnęła do siebie, by nasze wargi spotkały się w pocałunku. – Wtedy, na gali, obiecałam, że ci coś pokażę, pamiętasz? A, jak wspominałam, Avramovowie nigdy nie zapominają. Zwłaszcza kiedy są... tak jakby zakochani.

– Jesteś beznadziejną romantyczką, Talio Avramov – powiedziałam, śmiejąc jej się w usta. – Ale masz szczęście: ja też się w tobie tak jakby zakochałam. A wiesz, co jeszcze? Dopasowane tatuaże bywają bardzo stylowe.

– I o to chodzi, Harlow – wyszeptała Talia, znów przyciągając mnie mocno do siebie. – Wiedziałam, że zmienisz zdanie.

Podziękowania

Każda książka jest kulminacją marzenia – ta jednak była dla mnie wyjątkowa, bo pragnęłam opowiedzieć tę historię, odkąd zaczęłam pisać. Była też moim schronieniem, bezpieczną przystanią podczas pozornie nieskończonego, szalenie trudnego roku, który tak wielu z nas odebrał tak wiele. Dlatego też będę zawsze głęboko wdzięczna wszystkim tym, którzy pomogli mi w tej czarodziejkiej ucieczce (i w postawieniu kolejnego kroku w mojej karierze pisarskiej).

Moja agentka Taylor Haggerty i wszystkie pozostałe czarodziejki z Root Literary: zmieniacie marzenia w książki (i w zaliczki) i nie wyobrażam sobie wyruszenia w tę podróż bez was. Jestem szczególnie wdzięczna Taylor za użyczenie mi jej wyjątkowego mózgu i pomoc w opracowaniu pierwszego szkicu tej książki. Tay, nasza mailowa burza mózgów była niesamowicie inspirująca i zabawna, a możliwość dzielenia się z tobą moimi historiami to dla mnie ciągła radość i przywilej.

Cała ekipa Berkley Books, w tym, choć nie tylko: Jessica Brock, Stephanie Felty, Elisha Katz, Bridget O’Toole, Katie Anderson i Angela Kim. Zrobiłyście dla mnie i dla tej książki nieskończenie wiele i cieszę się bardzo, że mam was obok.

Moja wspaniąła redaktorka Cindy Hwang, absolutnie wyjątkowa osoba – możliwość pracy z tobą jest spełnieniem marzeń. Jestem bardzo świadoma tego, jak niewielu autorów ma tyle szczęścia, by dostąpić możliwości, które ty mi dałaś; nigdy nie zapomnę, jak dzielnie walczyłaś o mnie i o tę historię. Dzięki za to, że pokochałaś i „skumałaś” wiedźmy z Thistle Grove równie dobrze co ja, i obyśmy mogły spędzić z nimi jak najwięcej czasu!

Moja grupa przyjacielsko-krytyczna – Chelsea Sedoti, Adriana Mather i Jilly Gagnon – jesteście zawsze wśród moich pierwszych czytelniczek. Wszystkie świecicie jak diamenty i mam nadzieję, że nasze wspólne wtorki będą trwały w nieskończoność.

Miałam dość szczęścia, by poznać takich przyjaciół, którzy trwają przy tobie nawet, kiedy życie jest dziwniejsze od fikcji – wiecie, że do was mówię, kocham was. (Ale na wypadek, gdyby były jakieś wątpliwości, mówię do Danei, Sharee, Claire, Jilly, Julie, Cary i Elisara. Widzieliście już wiele, ale nie mogę się doczekać, kiedy znów usiądziemy razem nad gimletami). W Chicago również poznałam masę wspaniałych, nowych przyjaciół: Terezę, Mike'a, Sopię i Oliwię; Raquel, Ricka, Ricky'ego, Bellę i Micah; Nore, Mike'a, Bene'a, Myrę i Elle, i Alita – dziękuję wam, że poprawiacie mi humor i jesteście tak dobrymi sąsiadami.

Za każdym razem, gdy piszę książkę, wiele zawdzięczam mojej rodzinie, tym razem zawdzięczam jej jednak szczególnie wiele. Dziękuję mojemu bratu i rodzicom za ich ciągłe wsparcie; zwłaszcza mojej mamie, której wielkie poświęcenie (choć sama nigdy by go tak nie nazwała), jakim była niemal całodobowa opieka nad moim synem, dała mi wolność pisania.

Dziękuję Calebowi, który dał mnie i naszemu małemu misio-lwiątku Leo poczucie bezpieczeństwa w bardzo niespokojnych czasach, często własnym kosztem.

Wciąż żyję w strachu, że podczas pisania podziękowań zapomnę o kimś kluczowym; jeśli tym razem udało mi się to zrobić, wiedzcie, że wam też dziękuję, a błąd to wina covidu, a nie moja.

Przypisy

1. W. Szekspir, *Makbet*, przeł. Józef Paszkowski, w: *Tragedie*, Dzieła, tom V, PIW, Warszawa 1958, s. 791 [\[wróć\]](#)
2. W. Szekspir, *Sen nocy letniej*, w: *Komedie*, przeł. S Koźmian PIW, Warszawa 1958, s. 52. [\[wróć\]](#)
3. Fragment *Hamleta* Williama Shakespeare'a w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego. [\[wróć\]](#)